

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



ANTONI CZECHOW

**DROBIAZGI ŻYCIA**

Przekład Margarity Bartosik

## ZAMIESZANIE

Maszunia Pawlecka, młodziutka, świeżo upieczona absolwentka kursów pensjonarskich, była guwernantką u Kuszkinów. Wróciwszy pewnego razu ze spaceru zastała w domu straszne zamieszanie. Drzwi otworzył portier Michajło, podniecony i czerwony jak rak.

Z góry donosił się hałas.

„Pani chyba ma atak... – pomyślała Maszunia – albo z mężem się pokłóciła...”

W przedpokoju i na korytarzu kręciły się pokojówki. Jedna z nich płakała. Z pokoju Maszuni wyskoczył Nikołaj Sergieicz, mizerny, jeszcze nie stary człowiek z obrzmiałą twarzą i wielką łysiną. Był cały czerwony i się wzdygał... Przeszedł obok guwernantki, ale nawet jej nie zauważył, i unosząc ręce do góry, zawołał:

– O, jakie to okropne! Jakie nietaktowne! Jakie głupie, barbarzyńskie! Wstrętne!

Maszunia weszła do swego pokoju i pierwszy raz w życiu odczuła tak mocno, co znaczy być człowiekiem zależnym, uległym, zdanym na łaskę bogaczy, należących do wyższych sfer. Jej pokój był przewrócony do góry nogami. Fedosia Wasylewna, pulchna barczysta dama z gęstymi czarnymi brwiami, prostowłosa i niezgrabna, z ledwo dostrzegalnymi wąsikami i czerwonymi rękami, przypominająca twarzą i zachowaniem pospolitą babę–kucharkę, stała koło jej stołu i wpychała z powrotem do torby z robótkami kłębki włóczki, resztki materiału, papierki... Widocznie zaskoczył ją widok guwernantki, bo kiedy obejrzała się i zobaczyła jej bladą, zdziwioną twarz, trochę się zmieszała i wymamrotała:

– *Pardon*, ja... niechcąc rozsypałam... zaczęłam rękawem...

Powiedziała coś jeszcze i wyszła z pokoju szeleszcząc trenem. Maszunia ze zdziwieniem rozejrzała się po pokoju i nic nie rozumiejąc i nie mając pojęcia, o co tu chodzi, wrzuciła ramionami i nagle się wystraszyła... Czego Fedosia Wasylewna szukała w jej torbie? Jeżeli rzeczywiście, jak twierdzi, niechcąc zaczęła rękawem, to czemu Nikołaj Sergieicz wyskoczył z jej pokoju cały czerwony i roztrzęsiony? Czemu szuflada w stole jest trochę wysunięta? Skarbonka, do której guwernantka chowała drobne monety i stare znaczki, była otwarta. Otworzyć otworzyli, ale zamknąć już nie potrafili, choć cały zamek porysowali. Na etażerze z książkami, stole, pościeli – na wszystkim widać było świeże ślady rewizji. I w koszu na bieliznę też. Bielizna była dokładnie poskładana, ale inaczej niż zostawiła ją Maszunia, wychodząc z domu. Była to więc prawdziwa, najprawdziwsza rewizja, tylko dlaczego? Co się stało? Maszunia przypomniała sobie zdenerwowanego portiera, zamieszanie, zapłakaną pokojówkę; może to wszystko przez rewizję w jej pokoju? Może została wplątana w jakąś okropną historię? Maszunia zbladła i cała zdrętwiała opadła na kosz z bielizną.

Do pokoju weszła służąca.

– Lizo, nie wie pani, czemu przeszukiwali... moje rzeczy? – zapytała ją guwernantka.

– U jaśnie pani broszka za dwa tysiące zginęła... – powiedziała Liza.

– Ale czemu u mnie szukali?

– U wszystkich szukali, panienko. I mnie całą przeszukali... Rozebrali do naga i przeszukiwali... A ja, panienko, jak przed Panem Bogiem... Co tam broszka ichnia, nawet nie zbliżyłam się do toaletki. I na policji tak samo powiem.

– Ale... po co u mnie szukali? – nie mogła zrozumieć guwernantka.

– Przecie mówię, broszka zginęła... Pani własnoręcznie wszystkich obszukała. Nawet portiera Michajłę. Ależ wstyd! Nikołaj Sergieicz tylko gapił się i gdakał jak kura. Niepotrzebnie panienka tak się trzęsie. Niczego u panienki nie znaleźli! Jeśli to nie panienka wzięła, to nie ma czego się bać.

– Ależ, Lizo, przecież to nikizemne... poniżające! – powiedziała Maszunia, nie mogąc z oburzenia złapać powietrza. – Przecież to podłość, niegodziwość! Jakim prawem ona mnie podejrzewa i grzebie w moich rzeczach?

– U obcych mieszkacie, panienko – westchnęła Liza. – Choć i panienką jesteście, a jednak... niby służąca... To nie to samo, co z tatusem i mamusią mieszkać...

Maszunia runęła na łóżko i zaszczołała. Po raz pierwszy doznała takiego gwałtu na sobie, takiego straszego upokorzenia... Ją, dobrze wychowaną, wrażliwą dziewczynę, córkę nauczyciela, posądziło o kradzież, przeszukali jak jakąś ulicznicę! Czy może być coś gorszego?! Zaczęły ją nachodzić różne dziwaczne myśli. Jeżeli mogli ją podejrzewać o kradzież, mogą teraz i aresztować, rozebrać i przeszukać, potem prowadzić pod eskortą po ulicy, wsadzić do ciemnej, zimnej celi z myszami i stonogami, do takiej samej, w jakiej siedziała księżna Tarakanowa.\* Kto za nią się wstawi? Rodzice mieszkają na głębokiej prowincji, nie mają pieniędzy, żeby do niej przyjechać. Jest w stolicy zupełnie sama jak w szczerym polu, bez rodziny i znajomych. Mogą zrobić z nią, co zechcą.

„Pójdę do wszystkich sędziów i obrońców... – myślała Maszunia trzęsą się. – Wy tłumaczę im, przysięgnę... Uwierzą mi, że nie jestem złodziejką!”

Przypomniało jej się, że w koszu pod prześcieradłami leżą słodczyce, które chowała przy obiedzie do kieszeni i zabierała do pokoju jak to zwykła robić na pensji. Kiedy pomyślała o tym, że państwo znają teraz jej małą tajemnicę, zrobiło jej się gorąco i wstyd, z tego wszystkiego – strachu, wstydu, doznanej krzywdy – jej serce zaczęło walić tak mocno, że poczuła to w skroniach, rękach, głęboko w brzuchu.

– Podano do stołu! – zaprosili Maszunię.

„Iść czy nie?”

Maszunia poprawiła fryzurę, wytarła twarz mokrym ręcznikiem i zeszła do jadalni. Obiad zaczęli bez niej... Na jednym końcu stołu siedziała Fedosia Wasylewna, wyniosła, z tępą, poważną miną, na przeciwnym – Nikołaj Sergieicz. Po bokach rozmieścili się goście i dzieci. Do obiadu podawało dwóch lokajów we frakach i białych rękawiczkach. Wszyscy wiedzieli o tym, że w domu zamieszanie, że pani jest zrozpaczona, więc milczeli. Słychać było tylko przeżuwanie i brzęk łyżek o talerze.

Milczenie przerwała sama pani.

– Co mamy na trzecie? – zapytała lokajów cierpiącym głosem męczennicy.

– Esturżon a la russ!\* – powiedział lokaj.

– To ja, Feniu, zamówiłem... – pośpiesznie wtrącił Nikołaj Sergieicz. – Ryby się zachciało. Jeżeli nie chcesz, *ma chere\*\**, niech nie podają. Ja tak tylko... dodatkowo...

Fedosia Wasylewna nie lubiła, kiedy jedzenie zamawiano bez jej wiedzy i w jej oczach ukazały się łzy.

– Ależ przestańmy się denerwować – rzekł słodkim głosem Mamikow, jej domowy lekarz, lekko dotykając jej ręki i słodko się uśmiechając. – I bez tego jesteśmy zbyt nerwowe. Zapomnijmy o broszce! Zdrowie jest warte więcej niż dwa tysiące!

– Nie szkoda mi tych dwóch tysięcy! – powiedziała pani i wielka łza pociekła po jej policzku. – Oburzona jestem samym faktem! Nie zniosę w swoim domu złodziei. Nie, nie jest mi szkoda, niczego nie jest mi szkoda, ale kraść u mnie – jaka niewdzięczność! Oto jak odplacają mi za moją dobroć...

---

\* Jelizawiecia Tarakanowa - samozwanka, pretendująca do rosyjskiego tronu; osadzona przez Katarzynę II w więzieniu (*przyp. tłum.*).

\* Jesiotr po rosyjsku (z fr. *L'esturgeon a la russe*).

\*\* moja droga (*fr.*).

Wszyscy siedzieli ze wzrokiem wlepionym w talerze, ale Maszuni się wydawało, że po słowach pani wszyscy popatrzyli na nią. Spazm ścisnął jej gardło, z oczu polały się łzy, które zaczęła pośpiesznie wycierać chusteczką.

– *Pardon* – wymamrotała. – Przepraszam. Głowa mnie boli. Muszę wyjść.

Podniosła się niezgrabnie zza stołu, głośno odstawiając krzesło i coraz bardziej się pesząc, i wybiegła z pokoju.

– Jak Boga kocham! – powiedział krzywiąc się Nikołaj Sergieicz. – I trzeba było u niej szukać! To doprawdy... niepotrzebne.

– Nie twierdę, że to ona wzięła – powiedziała Fedosia Wasylewna – ale czy możesz za nią ręczyć? Przyznam się, że nie bardzo dowierzam tym uczonym biedaczkom.

– Doprawdy, Feniu, niepotrzebne... Przepraszam, Feniu, ale według prawa nie możesz robić rewizji.

– Nie obchodzi mnie wasze prawo. Wiem tylko, że zginęła mi broszka, i tyle. Ale znajdę ją! – Uderzyła widelcem w talerz i jej oczy gniewnie zabłyśły. – A wy jedzcie i nie wtrącajcie się do moich spraw!

Nikołaj Sergieicz z pokorą spuścił oczy i westchnął. Maszunia w tym czasie wróciła do pokoju i rzuciła się na łóżko. Nie czuła już ani strachu, ani wstydu, tylko gorąco pragnęła pójść i dać w twarz tej nieczulej, wyniosłej, tępej i szczęśliwej kobiecie.

Leżała wtulona w poduszkę i marzyła, jak dobrze by było kupić teraz najdroższą broszkę i rzucić ją w twarz tej despotce. Żeby Bóg sprawił, że Fedosia Wasylewna straciła nagle wszystko i poszła żebrać i zrozumiała cały koszmarny łączy i zależności od innych, i żeby poniżona Maszunia dała jej jałmużnę. O, żeby tak otrzymać duży spadek, kupić powóz i przejechać się z hukiem pod jej oknami, żeby zazdrościła!

Ale to są tylko marzenia, a rzeczywistość jest taka, że zostaje jedno – odejść jak najszybciej, ani godziny dłużej tu nie zostawać. Choć strasznie jest stracić pracę i wracać do rodziców, którzy nic nie mają, ale co robić? Maszunia nie mogła już znieść ani swojej chlebobawczyny, ani swojego małego pokoiku, dusiła się tu i bała. Fedosia Wasylewna, zwariowana na punkcie chorób i na swoim rzekomym arystokratyzmie, tak jej obrzydła, że wszystko dookoła wydawało jej się ordynarnym i odpychającym przez samą obecność tej kobiety. Zeskoczyła z łóżka i zaczęła się pakować.

– Mogę wejść? – zapytał zza drzwi Nikołaj Sergieicz, który podkradł się bezszelestnie do pokoju i mówił cichym, miękkim głosem. – Można?

– Proszę.

Wszedł i zatrzymał się na progu. Miał mętne oczy i błyszczący czerwony nos. Wypił po obiedzie piwo, co dało się zauważyć po tym, jak chodził i poruszał słabymi, bezwładnymi rękami.

– Co to ma znaczyć? – zapytał wskazując na kosz.

– Pakuję się. Proszę mi wybaczyć, Nikołaju Sergieiczu, ale nie mogę dłużej zostawać w pańskim domu. Jestem głęboko zraniona tą rewizją!

– Rozumiem... Tylko niepotrzebnie to pani robi... Po co? No przeszukali i co z tego... a pani od razu... Korona pani z głowy nie spadnie.

Maszunia nic nie powiedziała i pakowała się dalej. Nikołaj Sergieicz poskubał wąsy jakby zastanawiając się, co by tu jeszcze powiedzieć, i ciągnął prosiącym głosem:

– Oczywiście rozumiem panią, ale proszę o wyrozumiałość. Wie pani, żona jest nerwowa, kapryśna, nie można jej zbyt surowo osądzać...

Maszunia milczała.

– Jeżeli pani czuje się dotknięta – ciągnął Nikołaj Sergieicz – proszę bardzo, jestem gotów panią przeprosić. Przepraszam.

Maszunia nie odpowiedziała, tylko jeszcze niżej schyliła się nad walizką. Ten mizerny, nieśmiały człowiek nic w domu nie znaczył. Nawet służący odnosili się do niego jak do żalostnego darmożjada i osoby nikomu niepotrzebnej; jego przeprosiny też nic nie znaczyły.

– Hmm... Milczy pani? Nie wystarczy to pani? No to przepraszam zamiast żony. W imieniu żony... Postąpiła nietaktownie, przyznaję to jako szlachcic...

Nikołaj Sergieicz przeszedł się po pokoju, westchnął i mówił dalej:

– Wygląda na to, że chce pani, żebym jeszcze bardziej się męczył... Chce pani, żeby mnie sumienie ruszyło...

– Wiem, Nikołaju Sergieiczu, że to nie pańska wina – powiedziała Maszunia, patrząc mu prosto w twarz swymi dużymi, zapłakanymi oczami. – Więc po co ma się pan zamartwiać?

– To prawda... Ale wszystko jedno... niech pani zostanie... Proszę panią.

Maszunia pokręciła przecząco głową. Nikołaj Sergieicz zatrzymał się koło okna i zabębnił po szybie.

– Dla mnie takie nieporozumienia – prawdziwa męka – powiedział. – Mam przed panią na kolana paść czy jak? Pani duma została urażona, więc pani się popłakała i teraz odchodzi, ale ja też mam dumę, a pani ją nie szczędzi. Może chce pani, żebym wyznał to, o czym i na spowiedzi nie powiem? Chce pani? Proszę mnie posłuchać, chce pani, żebym przyznał się do tego, do czego nawet na łożu śmierci się nie przyznam?

Maszunia milczała.

– To ja wziąłem broszkę! – szybko powiedział Nikołaj Sergieicz. – Jest pani teraz zadowolona? Tak? No, wziąłem... Oczywiście, liczę na pani dyskrecję... Błagam panią, nikomu ani słowa, żadnej aluzji!

Zdziwiona i przerażona Maszunia pakowała się dalej; chwytła rzeczy, gniotła je i wrzucała do walizki i kosza. Teraz, po szczerym wyznaniu Nikołaja Sergieicza, ani chwili nie mogła tu zostać i nie rozumiała, jak wcześniej wytrzymała w tym domu.

– Nie ma czemu się dziwić... – rzekł Nikołaj Sergieicz po chwili milczenia. – Zwyczajna historia! Potrzebuję pieniędzy, a ona... nie daje. Przecież i tego domu i reszty mój ojciec się dorobił, Mario Andriejewno! Przecież to wszystko moje! A ona przywłaszczyła sobie, zawładnęła wszystkim... Do sądu nie pójdę, zgodzi się pani ze mną... Bardzo panią proszę o wybaczenie i...i niech pani zostanie. *Tout comprendre, tout donner.*\* Zostanie pani?

– Nie! – powiedziała Maszunia zdecydowanie cała drżąc. – Niech pan mnie zostawi, błagam pana!

– Jak pani sobie życzy – westchnął Nikołaj Sergieicz siadając na taboreciku obok walizki. – Przyznam, że podobają mi się tacy, co potrafią obrażać się, pogardzać i temu podobne. Wieki bym ot tak siedział i patrzył na pani twarz... Wygląda więc na to, że nie zostanie pani? Rozumiem... Inaczej i być nie mogło... No tak... Pani to dobrze, a co ja mam robić?! Nie ma wyjścia z tej ciemnicy. Mógłbym pojechać do którejś z naszych posiadłości, ale i tam wszędzie siedzą ci łajdacy żony... zarządcy, agronomowie, cholera by ich wzięła. Wszystko po stokroć zastawione... Ryby nie łowić, trawy nie deptać, drzew nie łamać.

– Nikołaju Sergieiczu! – rozniósł się z bawialni głos Fedosii Wasylewny. – Agnieszka, zawołaj pana!

– Więc nie zostanie pani? – zapytał Nikołaj Sergieicz szybko się podnosząc i idąc do drzwi. – Zostałaby pani, jak Boga kocham. Wpadałbym wieczorami do pani... pogadać. Co? Niech pani zostanie! Odejdzie pani i w całym domu ani jednej ludzkiej twarzy nie będzie. Przecież to okropne!

Na bladej, zmizerowanej twarzy Nikołaja Sergieicza rysowało się błaganie, ale Maszunia pokręciła przecząco głową, machnął więc ręką i wyszedł.

Pół godziny później była już w drodze.

1886

---

\* Wszystko zrozumieć, wszystko wybaczyć (*fr.*).

## DARMOZJADY

Mieszczanin Michaił Zotow, staruszek koło siedemdziesiątki, niedołączny i samotny, obudził się z zimna i, jak to w jego wieku się zdarza, łamania w całym ciele. Świeczka przed świętym obrazem już zgasła i w pokoju było ciemno. Zotow podniósł zasłonę i wyjrzał przez okno. Gęste chmury na niebie zaczynały blednąć i powietrze robiło się przezroczyście – musiało więc być po czwartej, nie później.

Zotow pochrząkał, pokaszlał i wstał kuląc się z zimna. Jak zwykle długo stał przed obrazem i modlił się. Odmówił "Ojczy nasz", "Matkę Boską", "Wierzę" i pomodlił się za spokój duszy wielu zmarłych. Kim byli ci zmarli, już od dawna nie pamiętał i modlił się wyłącznie z przyzwyczajenia. Tak samo z przyzwyczajenia pozamiatął pokój i przedsiónek i nastawił pękaty samowar na czterech nogach z czerwonej miedzi. Bez tych codziennych czynności nie wiedziałby, czym wypełnić swoją starość.

Nastawiony samowar rozgrzewał się powoli, aż nagle zadudnił drżącym basem.

– O, zadudnił! – burknął Zotow. – A pocałuj ty mnie w nos!

I tu przypomniał sobie, że śnił mu się tej nocy piec, a to oznacza zmartwienia i troski.

Tylko sny i przepowiednie mogły pobudzić go jeszcze do myślenia. Zaczął więc z przyjemnością się zastanawiać: co znaczy dudnienie samowara i jaki smutek przepowiada piec? Sen sprawdził się natychmiast: kiedy Zotow wypłukał czajnik i chciał zaparzyć herbatę, okazało się, że pudełko jest puste.

– Nie życie, a katorga! – marudził przesuwając językiem w ustach okruchy czarnego chleba. – Co za pieskie życie! Nawet herbaty nie mam! Co innego, jakbym prostym chłopem był, a to mieszczanin, kamienicznik! Hańba!

Marudząc i mówiąc do siebie, Zotow włożył podobne do krynoliny palto, wsunął nogi w ogromne, niezgrabne kalosze (uszyte przez szewca Prochorycza w 1867 roku) i wyszedł na dwór. Powietrze było szare, zimne, nieruchome i ponure. Wielkie podwórko, porośnięte kędzierzawym rzepem i usłane żółtymi liśćmi, srebrzyło się z lekka jesiennym szronem. Cisza i spokój. Zotow usiadł na stopniu pochylonego ganka i jak co dzień, podbiegł do niego Łysek, duży wyliniały kundel, biały z czarnymi łatami, który już ledwo się ruszał i miał przymknięte prawe oko. Zbliżał się nieśmiało i tchórzliwie się kręcąc jakby stąpał nie po ziemi, a po nagrzanym piecu. Całe jego niedołączne ciało mówiło jak bardzo się boi. Zotow udawał, że go nie widzi, ale kiedy pies, niepewnie ruszając ogonem i kręcąc całym ciałem, liznął go w kalosze, gniewnie tupnął nogą.

– A poszedł mi stąd, żebyś zdechł! – krzyknął. – Przeklęty-y!

Łysek odszedł parę kroków i siadł, nie spuszczać z pana swego jedyne oko.

– Diabelskie nasienia! – ciągnął Zotow. – Tylko mi was, przeklętych, brakowało!

I z nienawiścią popatrzył w stronę szopy z krzywym, porośniętym dachem; zza jej drzwi gapił się na niego duży koński łeb. Zachęcony chyba tym, że pan patrzy w jego stronę, łeb zaczął się ruszać, napał do przodu i na podwórko wyszedł siwy, cienkonogi koń z zapadniętym brzuchem i kościstym grzbietem, tak samo niedołączny jak Łysek i tak samo nieśmiały i zahukany. Zatrzymał się niezdecydowany jakby się zmieszał.

– A żeby was... – powiedział Zotow. – I kiedy to zejdziecie z moich oczu, faraony przekłete... A może jedzenia jeszcze sobie życzycie! – skrzywił rozzłoszczoną twarz w pogardliwym uśmiechu. – Proszę bardzo, już się robi! Dla tego pięknego kłusaka najlepszego owsa ile zechce! Proszę! Służę uprzejmie! I wspaniałego bezcennego psa też jest czym nakarmić! Jeżeli nie chce chleba, to może wołowinki?!

Zotow marudził przez pół godziny, wściekając się coraz bardziej; w końcu, nie mogąc dalej znieść wezbranej w nim złości, podskoczył, zatupał kaloszami i zaczął wrzeszczeć na całe podwórko:

– Nie jest moim obowiązkiem was karmić, darmozjady! Nie jestem milionerem jakimś, żebyście mnie objadały i opijały! Sam nie mam nic do jedzenia, mordy przekłete, żeby was cholera wzięła! Ani uciechy z was, ani pożytku, tylko nieszczęścia same i wydatki! Czemu nie zdychacie? Co za ważniaki z was takie, że nawet śmierć się was nie ima? A cholera z wami, żyjcie, ale karmić was nie mam zamiaru! Dosyć! Nie będę!

Oburzał się, wrzeszczał, a koń i pies stały i pokornie słuchały. Nie wiadomo, czy te dwa darmozjady rozumiały, że wypominają im kawałek chleba, ale ich brzuchy zapadały się coraz bardziej, a one same coraz bardziej się kulily, przygasały i robiły się coraz bardziej zahukane. Ich pokora całkowicie rozłóściła Zotowa.

– Wynocha! – zawołał w jakimś uniesieniu. – Wynocha z mojego domu! Zejdźcie mi z oczu! Nie mam obowiązku trzymać na podwórku różne paskudztwo! Wynocha!

Stary pobiegł do bramy, otworzył ją, podniósł z ziemi pałkę i zaczął wyganiać z podwórka swoich darmozjadów. Koń pokręcił głową, poruszał łopatkami i pokuśtykał do bramy, pies za nim. Zwierzęta wyszły na ulicę, przeszły ze dwadzieścia kroków i zatrzymały się koło płotu.

– Ja wam dam! – pogroził im Zotow.

Wygoniwszy darmozjadów od razu się uspokoił i zaczął zamiatać podwórko. Zerkał od czasu do czasu za bramę: koń i pies stały jak wryte koło płotu i ponuro gapiły się w jego stronę.

– No, spróbujcie beze mnie sobie poradzić! – burczał stary czując, że ulżyło mu na sercu. – Niech kto inny teraz wami się zaopiekuje! A ja jestem skąpy i zły...u mnie paskudnie się żyje, więc u innych spróbujcie... Tak to...

Nacieszywszy się widokiem strapionych darmozjadów i nagderawszy do woli, Zotow wyszedł za bramę i krzyknął ze wściekłą miną:

– I czego stoją? Na kogo czekają? Sterczą pośrodku drogi i przejść przeszkadzają! Jazda mi na podwórko!

Koń i pies, pełne skruchy, spuściły głowy i skierowały się do bramy. Łysek cichutko skomlał – chyba uważał, że nie jest wart przebaczenia.

– Proszę bardzo, mieszkajcie tu, ale jedzenia – figę dostaniecie! – powiedział Zotow, wpuszczając ich na podwórko. – Możecie nawet zdechnąć z głodu.

Słońce zaczęło przebijać przez poranną mgłę; jego ukośne promienie mknęły po jesiennym szronie. Rozległy się głosy i kroki. Zotow odstawił miotłę na miejsce i poszedł do swego kuma i sąsiada Marka Iwanycza, który prowadził sklepik spożywczy. Usiadł u niego na rozkładanym krześle, westchnął z powagą, pogłaskał brodę i zaczął rozmowę o pogodzie. Od pogody kumowie przeszli do nowego diakona, od diakona do chórzystów – i rozmowa się potoczyła. Za rozmową i czas mijał niezauważalnie, a kiedy chłopiec ze sklepiku przytaszczył duży czajnik z wrzątkiem i kumowie wzięli się za picie herbaty, czas poleciał szybko jak ptak. Zotow ogrzał się, poweselał.

– Mam do ciebie prośbę, Marku Iwanyczu – zaczął po szóstej szklance, bębniąc palcami po ladzie. – Bądź tego...łaskaw, pożycz i dziś miarkę owsa.

Zza dużej skrzyni na herbatę, za którą siedział Mark Iwanycz, rozległo się głębokie westchnienie.

– Daj, bądź łaskaw – ciągnął Zotow. – Herbaty, niech tam, nie dawaj dzisiaj, a owsa daj... Wstyd prosić, zamęczyłem cię już swoją nędzą, ale... koń głodny.

– Dać można – westchnął kum. – Czemu nie? Ale na kiego czorta, powiedz, te zdechlaki trzymasz? Żeby jeszcze koń porządny jakiś był, a to – tfu! Pożal się Boże... A pies – toż sam szkielet! Na cholere je karmisz?

– A co mam z nimi zrobić?

– Wiadomo co. Na rakarnię do Ignata zaprowadzić – i po sprawie. Dawno powinny były tam się znaleźć. Tam ich miejsce.



– Może i masz rację!.. Chyba tak...

– Żyjesz z jałmużny i jeszcze byś było trzymasz – ciągnął kum. – Owsa mi nie szkoda... Niech ci będzie, ale więcej już, bracie, tego... nie mogę ciągle dawać. Końca twej nędzy nie widać! Daję, daję i nie wiem, kiedy to się skończy.

Kum westchnął i pogłaskał czerwoną twarz.

– Umarłbyś już, czy co! – powiedział. – Żyjesz i sam nie wiesz po co... Jak Boga Kocham! A jak Pan Bóg śmierci nie zsyła, poszedłbyś dokądś, do przytułku czy do schroniska.

– Po co? Krewnych mam... Wnuczkę ...

I Zotow zaczął długo opowiadać, że gdzieś na chutorze mieszka jego wnuczka Głasza, córka kuzynki Kateriny.

– Ma obowiązek mnie karmić! – mówił. – Dom jej zostawię, to niech karmi! Wezmę i pójdę do niej. To, wychodzi, Głasza... córka Kati, a Katia – brata mego Pantieleja pasierbica... rozumiesz? Dom jej zostawię... Niech mnie karmi!

– No właśnie! Zamiast na cudzy koszt żyć, dawno trzeba było do niej iść.

– I pójdę! Jak Boga Kocham, pójdę. Ma obowiązek!

Kiedy godzinę później kumowie wypili po kieliszeczku, Zotow stanął pośrodku sklepiku i powiedział z zapalem:

– Od dawna do niej się wybieram! A nawet dziś jeszcze pójdę!

– Ano tak! Miast tutaj bez potrzeby łązić i z głodu zdychać, dawno byś poszedł na chutor.

– Zaraz pójdę! Przyjdę i powiem: bierz mój dom, a mnie karm i szanuj. Ma obowiązek! A jak nie, to nie ma ani domu, ani mego błogosławieństwa! Żegnaj, Iwanyczu!

Zotow wypił jeszcze kieliszek i, zapalony nowym pomysłem, poleciał do domu... Po wódce go rozebrało, w głowie się kręciło, nie położył się jednak do łóżka, spakował całe swoje ubranie do tobołka, pomodlił się, wziął do ręki pałkę i wyszedł z domu. Przeszedł całą ulicę nie oglądając się za siebie, coś mamrocząc pod nosem i stukając pałką o kamienie, aż znalazł się w polu. Do chutoru było z jakiegoś dziesięć – dwanaście wiorst. Szedł po suchej drodze, patrzył na miejskie stado bydła, które leniwie przeżuwało żółtą trawę, i rozmyślał o nagłej zmianie w swoim życiu, której tak zdecydowanie dokonał. Myślał i o swoich darmożjadach. Wychodząc nie zamknął bramy, żeby mogły iść, dokąd chcą.

Ale nie zdążył pokonać i wiorsty, jak usłyszał z tyłu kroki. Obejrzał się i gniewnie zamachał rękami: za nim, z opuszczonymi głowami i podkulonymi ogonami, cicho stąpały koń i Łysek.

– A poszły z powrotem! – zamachnął się na nie.

Zatrzymały się, popatrzyły na siebie, potem na niego. Ruszył dalej, a one za nim. Wtedy się zatrzymał i zaczął się zastanawiać. Nie mógł iść do mało znajomej wnuczki Głaszy z tymi stworzeniami, nie chciał też wracać z powrotem i zamykać ich na podwórku, a i jak tu zamkniesz, kiedy brama do niczego.

„Zdechną w szopie – myślał Zotow. – Może rzeczywiście do Ignata?”

Chata Ignata stała na pastwisku, jakieś sto kroków od szlabanu. Skierował się niezdecydowany w jej stronę nie wiedząc, co robić. Kręciło mu się w głowie i miał ciemno przed oczami...

Nie pamiętał dobrze, co się działo na podwórku rakażka Ignata. Przypominał mu się później wstrętny, ciężki smród skóry, smaczna para, unosząca się nad barszczem, który chleptał Ignat, kiedy przyszedł Zotow. Widział jak we śnie, jak Ignat, przetrzymawszy go przez dwie godziny, coś przygotowywał, przebierał się, rozmawiał z jakąś babą o chlorku rtęciowym; pamiętał, jak koń został postawiony do kojca, po czym rozległy się dwa głuche uderzenia: jedno w czaszkę, drugi od upadku dużego ciała. Kiedy Łysek, widząc śmierć swego przyjaciela, rzucił się skowycząc na Ignata, rozległo się trzecie uderzenie, które

gwałtownie ucięło jego skowyt. Pamiętał jeszcze, jak sam, po pijanemu i z głupoty, zobaczywszy dwa trupy, podszedł do kojca i nadstawił własny łeb...

A potem do samego wieczora stała przed jego oczami mętna mgła i nie potrafił rozróżnić nawet własnych palców.

1886

## DROBIAZGI ŻYCIA

Nikołaj Iljicz Bielajew, petersburski kamienicznik, grywający często na wyścigach, człowiek młody, trzydziestodwuletni, dobrze odżywiony i różowy, wpadł pewnego wieczoru do pani Irninej, Olgi Iwanowny, z którą utrzymywał bliskie stosunki, czy, jak się sam wyrażał, ciągnął nudny i długi romans. Pierwsze strony tego romansu, ciekawe i natchnione, dawno już zostały przeczytane; w chwili obecnej zaś ciągnęły się jedna za drugą, nie wnosząc nic nowego i interesującego.

Nie zastawszy Olgi Iwanowny w domu, mój bohater wyciągnął się w salonie na sofie i postanowił zaczekać.

– Dobry wieczór, Nikołaju Iljiczu! – usłyszał dziecięcy głos. – Mama zaraz wróci. Poszła z Sonią do krawcowej.

W tym samym salonie leżał na wersalce syn Olgi Iwanowny, Alosza, ośmioletni chłopiec, zgrabny, zadbany, ubrany jak z obrazka w aksamitną kurteczkę i długie czarne pończochy. Leżał na atlasowej poduszce i, chyba naśladując akrobatę, którego widział niedawno w cyrku, podnosił do góry raz jedną, raz drugą nogę. Kiedy jego zgrabne nogi się męczyły, używał rąk albo gwałtownie podnosił się i stawał na czworakach, próbując później stanąć na głowie. Wykonywał to wszystko strasznie zasapany i z taką poważną miną jakby jego samego męczyło ruchliwe ciało, jakim obdarzył go Bóg.

– A, witam, przyjacielu! – rzekł Bielajew. – To ty? Byłbym nie zauważył. Mama zdrowa?

Alosza chwycił prawą ręką czubek lewej nogi i przybierając bardzo niewygodną pozę przewrócił się, zerwał i popatrzył się na Bielajewa zza dużego włochatego klosza.

– Jak by to panu powiedzieć? – wzruszył ramionami. – Mama w zasadzie nigdy nie bywa zdrowa. Przecież to kobieta, a u kobiet, Nikołaju Iljiczu, zawsze coś boli.

Bielajew z nudów zaczął przypatrywać się twarzy Aloszy. Przez cały czas znajomości z Olgą Iwanowną ani razu nie zwrócił uwagi na chłopca i absolutnie nie zauważał jego istnienia: sterczy przed oczami jakiś chłopak, a co on tu robi, jaką rolę odgrywa – nawet zastanawiać się nad tym jakoś nie chciało.

W zmierzchu twarz Aloszy z jego jasnym czołem i czarnymi, nieruchomymi oczami przypomniawszy nagle Bielajewowi Olgę Iwanowną, jaką była na pierwszych stronach ich romansu. I zachciało mu się przygarnąć chłopca.

– Chodź tu, mały! – powiedział. – Daj ci się lepiej przyjrzeć.

Chłopiec zeskoczył z wersalki i podbiegł do Bielajewa.

– No? – zaczął Nikołaj Iljicz kładąc rękę na jego chudym ramieniu. – Co u ciebie? Jak leci?

– Jak by to panu powiedzieć? Przedtem lepiej się żyło.

– Czemuż to?

– A tak! Przedtem mieliśmy z Sonią tylko muzykę i czytanie, a teraz jeszcze wiersze po francusku zadają. A pan niedawno się strzygł?

– Tak, niedawno.

– Widzę właśnie. Bródkę ma pan krótszą. Mogę pociągnąć za nią? Nie boli?

– Nie, nie boli.

– Dlaczego tak jest, że kiedy za jeden włos ciągniesz, to boli, a kiedy ciągniesz za pęk, ani trochę? Ha, ha! Wie pan co? Musi pan bokobrody zapuścić. O, tu zgolić, a po bokach...o tu, zostawić włosy...

Chłopiec przytulił się do Bielajewa i zaczął bawić się jego łańcuszkiem.

– Kiedy będę w gimnazjum – mówił – mama mi zegarek kupi. Poproszę ją, żeby taki łańcuszek mi kupiła... Ale–eż medalion! Tatuś taki sam ma, tylko u pana pasczki, a u niego literki... A w środku portret mamy. Tatuś teraz inny łańcuszek ma, nie kółeczka, a tasiemka.

– Skąd wiesz? Widujesz się z tatusiem?

– Ja? Hmm...nie! Ja...

Alosza się zaczerwienił, okropnie się zmieszał przyłapany na kłamstwie i zaczął starannie drapać paznokciem medalion. Bielajew uważnie popatrzył mu w twarz i zapytał:

– Widujesz się z tatusiem?

– N...nie!..

– O nie, szczerze powiedz, z całego serca... Po twarzy widzę, że kłamiesz. Jak już się wygadałeś, to nie kręć teraz. Mów, widujesz się? No, po przyjacielsku!

Alosza zamyślił się.

– A pan mamie nie powie? – spytał.

– Skądże!

– Słowo honoru?

– Słowo honoru.

– Niech pan przysięgnie!

– Ależ ty jesteś! Za kogo mnie bierzesz!

Alosza rozejrzał się dookoła, zrobił wielkie oczy i wyszeptał:

– Tylko błagam, niech pan mamie nie mówi... W ogóle nikomu, bo to tajemnica. Broń Boże, żeby mama się dowiedziała, wtedy i ja, i Sonia, i Pelagia oberwie... No to, niech pan słucha. Widujemy się z tatusiem razem z Sonią w każdy wtorek i piątek. Kiedy Pelagia prowadzi nas przed obiadem na spacer, zachodzimy do cukierni Apfela, a tam już tatuś na nas czeka... Zawsze w osobnym pokoiku siedzi, gdzie, wie pan, stół taki z marmuru i popielniczka w kształcie gęsi bez grzbietu...

– I co tam robicie?

– Nic! Najpierw się witamy, potem siadamy przy stoliku i tatuś częstuje nas kawą i pierożkami. Sonia lubi pierożki z mięsem, a ja nie cierpię! Lubię z kapustą i jajkami. Tak się najadamy, że później przy obiedzie, żeby mama nie zauważyła, próbujemy jeść jak najwięcej.

– A o czym rozmawiacie?

– Z tatusiem? O wszystkim. Całuje nas, przytula, opowiada różne śmieszne historie. Wie pan co, on mówi, że kiedy wyrośniemy, zabierze nas do siebie. Sonia nie chce, a ja owszem. Będę, oczywiście, tęsknił za mamą, ale przecież będę do niej pisał! Dziwnie to będzie wyglądało, ale można będzie nawet w święta do niej przychodzić – nieprawdaż? Tatuś jeszcze mówi, że kupi mi konia. Dobry z niego człowiek! Nie wiem czemu mama zabrania nam się widywać i nie zgadza się, żeby z nami zamieszkał. Przecież on bardzo mamę lubi. Zawsze pyta nas, jak się czuje i co robi. Kiedy była chora, za głowę się chwycił, o tak, i...i cały czas biegał, biegał. Ciągle nas prosi, żebyśmy były grzeczne i szanowały ją. Prawda, że jesteśmy nieszczęsne?

– Hm... Czemuż to?

– Tatuś tak mówi. Mówi, nieszczęsne dzieci. Dziwne. Wy, mówi, nieszczęsne, ja nieszczęsny i mama nieszczęsna. Módlcie się, mówi, za siebie i za nią.

Alosza zatrzymał swój wzrok na wypchanym ptaku i zamyślił się.

– Ta-ak... – wymamrotał Bielajew. – To wy tak, wychodzi. W cukierni zjazdy urządzenie. I mama o niczym nie wie?

– Nie-e... Skąd? Przecież Pelagia za nic w świecie by jej nie powiedziała. A przedwczoraj tatuś gruszkami nas częstował. Słodkie jak konfitury! Dwie zjadłem.

– Hm... Tego... a o mnie tatuś nic nie mówi?

– O panu? Jakby to powiedzieć?

Alosza badawczo popatrzył się w twarz Bielajewa i wzruszył ramionami.

– Nic ciekawego.

– Co, na przykład?

– Nie obrazi się pan?  
– Ależ skąd? A co, coś złego o mnie mówi?  
– Nie, ale, wie pan... gniewa się na pana. Mówi, że przez pana właśnie mama cierpi i że pan... mamę zgubił. Dziwny jakiś! Tłumaczyłem mu, że pan jest dobry i nigdy na mamę nie krzyczy, a on tylko głową kiwa.  
– Tak i mówi, że ja ją zgubiłem?  
– Tak. Proszę się nie obrażać, Nikołaju Iljiczu!  
Bielajew podniósł się, postać chwilę i zaczął przechadzać się po salonie.  
– I dziwnie i... śmiać się chce! – wymamrotał, wzruszając ramionami i ironicznie się uśmiechając. – Sam jest wszystkiemu winien, ale to ja ją, wychodzi, zgubiłem, co? Jakie niewinne jagnię się znalazło. Tak i powiedział, że to ja twoją mamę zgubiłem?  
– Tak, ale... przecież pan obiecał, że nie będzie się obrażał!  
– A ja się nie obrażam i... i nie wtrącaj się! No nie, to... to wprost śmieszne! Wpadłem jak śliwka w kompot i jeszcze winny jestem!  
Rozległ się dzwonek. Chłopiec zerwał się z miejsca i wybiegł z pokoju. Za chwilę do salonu weszła dama z małą dziewczynką. Była to Olga Iwanowna, matka Aloszy. On sam szedł za nią w podskokach, głośno śpiewając i wymachując rękami. Bielajew kiwnął głową i przechadzał się dalej.  
– No tak, kogo teraz winić, jak nie mnie? – mamrotał fukając. – Ma rację! Znieważony mąż!  
– O co ci chodzi? – zapytała Olga Iwanowna.  
– O co?.. Posłuchaj tylko, co twój dostojny małżonek wygaduje! Okazuje się, że jestem łajdakiem i kanalią i wszystkich zgubiłem. Wszyscy jesteście nieszczęśliwi, tylko ja jeden ogromnie szczęśliwy! Strasznie, strasznie szczęśliwy!  
– Nie rozumiem cię, Nikołaju! Co się stało?  
– Posłuchaj, no, tylko tego młodego człowieka! – powiedział Bielajew i wskazał na Aloszę.  
Alosza zaczerwienił się, potem zbladł i jego twarz skrzywiła się ze strachu.  
– Nikołaju Iljiczu! – wyszeptał głośno. – Pst!  
Olga Iwanowna ze zdumieniem popatrzyła na Aloszę, na Bielajewa, potem znów na Aloszę.  
– Jego zapytaj! – mówił Bielajew. – Twoja Pelagia, głupie babsko, prowadzi ich do cukierni i urządza tam spotkania z tatuśkiem. Ale nie o to chodzi, rzecz w tym, że tatusiek męczennikiem jest, a ja – łotrem i łajdakiem, który życie wam zniszczył...  
– Nikołaju Iljiczu! – wyjęczał Alosza. – Przecież pan słowo honoru dał!  
– E tam, odczep się! – machnął Bielajew ręką. – Tutaj poważniejsze sprawy. Mierzi mnie ta obłuda, zakłamanie!  
– Nie rozumiem! – powiedziała Olga Iwanowna i łzy ukazały się w jej oczach. – Posłuchaj, Lelka – zwróciła się do syna – widzisz ojca?  
Ale Alosza nic nie słyszał i z przerażeniem patrzył się na Bielajewa.  
– To niemożliwe! – powiedziała matka. – Pójdę Pelagię wypytam.  
Olga Iwanowna wyszła.  
– Proszę pana, przecież pan słowo honoru dał! – powiedział Alosza, który drżał na całym ciele.  
Bielajew machnął na niego ręką i przechadzał się dalej. Rozpamiętywał swą krzywdę i nie zwracał już żadnej uwagi na chłopca. Był dorosłym, poważnym człowiekiem i nie chciał zwracać sobie głowy jakimiś chłopcami. A Alosza usiadł w kącie i z przerażeniem opowiadał Soni, jak go okłamali. Drżał, jękał się i płakał; pierwszy raz w życiu, ot tak, bez osłonek, zetknął się twarzą w twarz z kłamstwem; nie wiedział wcześniej, że prócz słodkich

gruszek, pierożków i drogich zegarków, istnieje na tym świecie wiele innych rzeczy, które nie mają nazwy w języku dzieci.

1886

## WROGOWIE

Pewnego wrześnieowego wieczoru, gdzieś po dziewiątej, u ziemskiego doktora Kirilowa zmarł na błonicę jedyny syn, sześćioletni Andriej. Zrozpaczona doktorowa stała na kolanach przed łóżeczkiem zmarłego dziecka, kiedy w przedpokoju rozległ się dzwonek.

Cała służba jeszcze rankiem została odesłana z domu. Kirilow bez surduta, w rozpiętej kamizelce, nie wycierając mokrej twarzy i poparzonych karbolem rąk, sam poszedł otworzyć drzwi. W przedpokoju było tak ciemno, że zobaczył tylko, że przybysz jest średniego wzrostu i ma biały szalik i twarz, dzięki czemu w przedpokoju zrobiło się jakby jaśniej...

– Czy pan doktor jest w domu? – szybko zapytał przybysz.

– Jestem – odpowiedział Kirilow. – Czego pan sobie życzy?

– Ach, to pan? Bardzo mi miło! – ucieszył się przybysz i zaczął szukać w ciemnościach ręki doktora, znalazł i mocno uściśnął ją w swych dłoniach. – Bardzo...bardzo mi miło! Znamy się z panem!.. Jestem Abogin... miałem przyjemność poznać pana latem u Gnuczewa. Bardzo się cieszę, że zastałem pana w domu... Błagam, żeby pojechał pan teraz ze mną... Moja żona jest bardzo chora... Mam powóz...

Głos i ruchy przybysza zdradzały wielkie zdenerwowanie. Był jak ktoś przestraszony pożarem lub wściekłym psem, z trudem łapał oddech, mówił szybko, drżącym głosem, brzmiącym rozbijającą szczerze, po dziecięcemu małodusznie. Rzucił krótkie, ucięte zdania jak ktoś przestraszony albo oszołomiony, używając dużo zbędnych, nie dotyczących sprawy, słów.

– Bałem się, że nie zastanę pana – ciągnął. – Zadręczałem się, póki jechałem... Proszę się ubierać i jedziemy, błagam pana... A stało się to tak. Przyjechał do mnie Papczyński, Aleksander Semionowicz, którego pan zna... Rozmawiamy... potem siadamy pić herbatę; nagle żona szybko wstaje, chwyta się za serce i pada na oparcie krzesła. Odnieśliśmy ją na łóżko i... i amoniakiem jej skronie nacierałem, i wodą kropiłem...leży jak martwa... Obawiam się, że to tętniak. Jedziemy... Jej ojciec też na to zmarł...

Kirilow słuchał i milczał jakby nie rozumiał po rosyjsku.

Kiedy Abogin znów wspomniął o Papczyńskim i ojcu swej żony i ponownie zaczął szukać w ciemnościach jego ręki, doktor potrząsnął głową i powiedział apatycznie rozciągając słowa:

– Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę jechać... Przed chwilą... zmarł mój syn.

– Co pan mówi? – wyszeptał Abogin cofając się. – Mój Boże, w jaki niedobry moment trafiłem! Jakiś wyjątkowo nieszczęśliwy dzień... zadziwiająco! Jaki zbieg okoliczności...jaki pech!

Abogin chwycił za klamkę i opuścił głowę, zastanawiając się nad czymś. Najwyraźniej się wahał i nie wiedział, co robić: wyjść, czy dalej prosić doktora.

– Niech pan mnie posłucha – powiedział gorąco, chwytając Kirilowa za rękaw – współczuję panu! Bóg mi świadkiem, jest mi wstyd, że niepokoję pana w takiej chwili, ale co mam zrobić? Niech pan sam pomyśli, do kogo mam jechać? Przecież oprócz pana nie ma tu żadnego innego lekarza. Błagam pana, niech pan ze mną pojedzie! Nie dla siebie proszę... Nie ja jestem chory!

Zapanowała cisza. Kirilow odwrócił się do Abogina plecami, na chwilę się zatrzymał i poszedł powoli z przedpokoju do salonu. Sądząc po tym, jak szedł chwiejnym, machinalnym krokiem i z jaką uwagą poprawiał w salonie włochaty klosz na lampie oraz zerknął do grubej książki, leżącej na stole, nie miał w teraz ani zamiaru, ani chęci myśleć o czymkolwiek i chyba już nie pamiętał, że ktoś obcy stoi w przedpokoju. Mrok i cisza salonu zwiększyły w nim poczucie strasznej pustki. Idąc do gabinetu, unosił prawą nogę wyżej niż trzeba, szukał rękami futryny i w całej jego postaci czuło się jakieś zaskoczenie jakby trafił do cudzego mieszkania czy po raz pierwszy w życiu się upił i teraz ze zdziwieniem doświadczał czegoś

nowego. Na ścianie gabinetu, gdzie stały szafy z książkami, ciągnął się szeroki pas światła, które, razem z ciężkim i gęstym zapachem amoniaku, przebijało się przez otwarte drzwi sypialni... Doktor opuścił się na krzesło przy stole; otepiałym wzrokiem popatrzył na oświetlone książki, podniósł się i poszedł do sypialni.

W sypialni panował martwy spokój. Tu każdy szczegół przypominał o przeżytej niedawno burzy, zmęczeniu i marzeniu o odpoczynku. Świeczka, stojąca na taborecie wśród tłumnie zgromadzonych flakoników, pudełeczek i słoików i duża lampa na komodzie rzucały ostre światło na cały pokój. W łóżku, koło samego okna, leżał chłopczyk z otwartymi oczami i wyrazem zdziwienia na twarzy. Nie ruszał się, ale jego otwarte oczy, jak się zdawało, robiły się z każdą chwilą coraz ciemniejsze i zapadały się w głąb czaszki. Przed łóżkiem, trzymając ręce na jego tułowiu i chowając twarz w zmiętej pościeli, klęczała matka. Była nieruchoma jak chłopczyk, ale w całym jej ciele czuło się skrywane napięcie. Z taką mocą i żarem przyłgnęła do łóżka jakby na zawsze chciała zostać w tej spokojnej i wygodnej pozycji, którą znalazła wreszcie dla swego umęczonego ciała. Kołdry, szmaty, miednice, kałuże na podłodze, porozrzucone dookoła pędzelki i łyżki, biała butla z wodą wapienną, samo powietrze, zatechłe i ciężkie – wszystko zamarło i zatrzymało się w czasie.

Doktor stanął koło żony, wsadził ręce do kieszeni spodni i przechyliwszy głowę na bok, spojrzał na syna. Twarz miał obojętną, tylko po kropelkach, błyszczących na brodzie, było widać, że niedawno płakał.

Nie wyczuwało się w sypialni tej odpychającej zgrozy, która przychodzi na myśl, kiedy mówi się o śmierci. W panującym bezruchu, w pozycji matki, w obojętności twarzy doktora było coś przyciągającego, wzruszającego – delikatne, ulotne piękno ludzkiego nieszczęścia, które nie tak szybko jeszcze zostanie zrozumiane i opisane i które potrafi wyrazić chyba tylko muzyka. Piękna była również posępna cisza; ani Kirilow, ani jego żona nie mówili, nie płakali jakby prócz ciężaru straty rozumieli cały tragizm swego życia: jak kiedyś, w swym czasie, minęła ich młodość, tak teraz, razem z tym chłopcem, rozwiało się na zawsze i bezpowrotnie ich marzenie o dzieciach! Doktor ma czterdzieści cztery lata, jest już siwy i wygląda jak starzec; jego zwiędła i schorowana żona ma trzydzieści pięć. Andriej był dzieckiem nie tylko jedynym, ale i ostatnim.

W odróżnieniu od żony doktor należał do tych osób, które w czasie silnych przeżyć odczuwają potrzebę ruchu. Postąpił więc chwilę obok żony i wysoko podnosząc prawą nogę przeszedł z sypialni do małego pokoju, połowę którego zajmowała duża szeroka wersalka; stąd przeszedł do kuchni. Pobłądził koło pieca i posłania kucharki, schylił się i przeszedł przez małe drzwi do przedpokoju.

Tu znów zobaczył biały szalik i bladą twarz.

– Nareszcie! – westchnął Abogin chwytając klamkę. – Jedziemy, błagam pana!

Doktor westchnął, popatrzył na niego i przypomniał sobie...

– Przecież mówiłem już panu, że nie mogę jechać! – powiedział ożywiając się. – Dziwny pan jest!

– Panie doktorze, nie jestem bez serca, bardzo dobrze rozumiem pańską sytuację...współczuję panu! – powiedział błagalnie Abogin, przyciskając rękę do swego szalika. – Ale nie za siebie przecież proszę... Moja żona umiera! Jakby słyszał pan ten krzyk, widział jej twarz, zrozumiałby pan moją uporczywość! Mój Boże, a już myślałem, że pan poszedł się ubierać! Panie doktorze, czas nagli! Jedziemy, proszę pana!

– Nie mogę! – wymówił powoli Kirilow i zrobił krok w stronę salonu.

Abogin poszedł za nim i chwycił go za rękaw.

– Spotkało pana nieszczęście, współczuję panu, ale nie zęby przecież proszę pana leczyć, nie diagnozę stawiać, a życie ludzkie ratować! – błagał jak żebrak. – Życie jest cenniejsze od osobistej tragedii! Proszę o poświęcenie, odwagę! W imię miłości bliźniego!



– Miłość bliźniego – kij o dwóch końcach – powiedział z rozdrażnieniem Kiriłow. – W imię tejże miłości bliźniego proszę zostawić mnie w spokoju. Dziwny pan jest, jak Boga kocham! Ledwo na nogach się trzymam, a pan miłością bliźniego mnie straszy! Do niczego nie jestem teraz zdolny... za nic w świecie nie pojedę, poza tym z kim żonę zostawię? Nie, nie...

Kiriłow zamachał rękami i zaczął się cofać.

– I... i niech pan nawet nie prosi! – ciągnął przestraszonym głosem. – Proszę mi wybaczyć... Według trzydziestego tomu prawa mam obowiązek jechać i pan może mnie nawet za kołnierz ciągnąć... Proszę bardzo, niech pan ciągnie, ale... nie jestem w stanie... Nawet mówić nie jestem w stanie... Proszę mi wybaczyć...

– Niepotrzebnie zwraca się pan do mnie takim tonem, panie doktorze! – powiedział Abogin, znów biorąc doktora za rękaw. – Bóg z nim, z trzydziestym tomem! Nie mam żadnego prawa pana zmuszać. Jak pan nie chce – niech pan nie jedzie, nie do woli pańskiej się zwracam, tylko do uczucia. Umiera młoda kobieta! Mówił pan, że przed chwilą zmarł pański synek, więc kto, jak nie pan, może zrozumieć mój koszmar?

Głos Abogina drżał ze zdenerwowania; to, oraz jego ton, były bardziej przekonujące niż słowa. Był szczery, ale co by nie powiedział, wszystko brzmiało pompatycznie, bezdusznie, było nie na miejscu kwieciste i wydawało się znieważające dla atmosfery mieszkania doktora i umierającej gdzieś kobiety. Sam to dobrze wiedział i obawiając się, że nie zostanie zrozumiany, z całych sił próbował mówić głosem miękkim i delikatnym, żeby przekonać, jeżeli nie za pomocą słów, to chociażby szczerością tonu. Tak w ogóle, mowa, jeśli nawet i jest piękna i głęboka, działa tylko na obojętnych, ale nie zawsze potrafi dotrzeć do szczęśliwych lub nieszczęśliwych; bo najwyższym wyrazem szczęścia lub nieszczęścia jest przeważnie milczenie; zakochani lepiej się rozumieją bez słów, a gorące, namiętne przemówienie na grobie porusza tylko postronnych, wdowie i dzieciom zmarłego wydaje się chłodne i nic nie znaczące.

Kiriłow milczał. Kiedy Abogin wygłosił jeszcze parę zdań o wysokim posłannictwie lekarza, o poświęceniu etc., doktor zapytał pośpiesznie:

– Daleko to jest?

– Wiorst gdzieś ze trzystaście – czternaście. Mam dobre konie, doktorze! Obiecuję panu, że zajmie to godzinę w obie strony. Tylko godzinę!

Ostatnie słowa podziały na doktora bardziej niż powoływanie się na miłość bliźniego czy posłannictwo lekarza. Zastanowił się i powiedział z westchnieniem:

– Dobrze, jedziemy!

Szybko, już twardym krokiem, poszedł do gabinetu i wrócił za chwilę w długim surducie. Uradowany Abogin, przebierając nogami i szurając, pomógł mu włożyć palto i wyszedł z domu razem z doktorem.

Na dworze było ciemno, ale nie tak bardzo jak w przedpokoju. W tych ciemnościach wysoka, zgarbiona postać doktora z długą wąską brodą i orlim nosem rysowała się dość wyraźnie. U Abogina, prócz bladej twarzy, uwidoczniła się duża głowa i malutka studencka czapeczka, ledwo przykrywająca ciemię. Biały szalik zwisał tylko z przodu, z tyłu był schowany pod długimi włosami.

– Proszę mi wierzyć, potrafię docenić pańską wielkoduszność – mamrotał Abogin, pomagając doktorowi wsiąść do powozu. – Szybko dolecimy. A ty, Łuko, jedź no, kochany, jak najszybciej! Proszę!

Woźnica jechał szybko. Najpierw ciągnął się rząd niepokąźnych zabudowań na szpitalnym podwórku; wszędzie było ciemno, tylko w głębi podwórka z czyjś okna przebijało się przez żywopłot mocne światło i trzy okna górnego piętra w szpitalu wydawały się być jaśniejsze od powietrza. Potem powóz znalazł się w zupełnych już ciemnościach; wokół

unosił się wilgotny zapach grzybów i słychać było szept drzew; obudzone wrony krzątały się w liściach i podnosiły trwożny smętny krzyk jakby wiedziały, że doktorowi zmarł syn, a żona Abogina jest chora. Ale oto zaczęły przemykać się pojedyncze drzewa i krzaki; ponuro błysnął staw, na którym spoczywały duże czarne cienie, powóz potoczył się po gładkiej równinie. Krzyk wron stawał się coraz mniej donośny, coraz bardziej się oddalał, aż wreszcie całkiem ucichł.

Prawie przez całą drogę Kiriłow i Abogin milczeli. Tylko raz Abogin ciężko westchnął i wymamrotał:

– Co za męka! Nigdy tak nie kochasz bliskich, jak wtedy, kiedy możesz ich stracić.

Kiedy powóz cicho przekraczał rzekę, Kiriłow nagle się zerwał jakby obudzony pluskiem wody i zaczął się miotać.

– Proszę mnie posłuchać, niech pan mnie puści – powiedział tęsknie. – Później do pana przyjadę. Muszę tylko felczera do żony wezwać. Przecież jest całkiem sama!

Abogin nie odpowiedział. Powóz kołysząc się i stukając o kamienie przejechał przez piaszczysty brzeg i potoczył się dalej. Kiriłow miotał się w tęsknocie i rozglądał się dookoła. Z tyłu, przy skąpym blasku gwiazd widać było drogę i znikające w ciemnościach przybrzeżne wierzby. Z prawej strony ciągnęła się równina, gładka i bezkresna jak niebo; gdzieś daleko tu i ówdzie, chyba na torfowych bagnach, paliły się przyćmione ogniki. Na lewo, równoległe z drogą, wznosił się pagórek, kędzierzawy od drobnych krzaków, a nad pagórkiem nieruchomo wisiał duży czerwony półksiężyc z lekka zaćmiony przez mgłę i otoczony drobnymi chmurkami, które, wydawało się, oglądały go ze wszystkich stron i pilnowały, żeby nie uciekł.

W całej przyrodzie odczuwała się jakaś beznadziejność i rezygnacja; ziemia jak upadła kobieta, która siedzi w samotności w ciemnym pokoju i próbuje nie myśleć o przeszłości, męczyła się wspomnieniami o wiosnie i lecie i z pokorą czekała na nieuniknioną zimę. Gdziekolwiek nie spojrzeć krajobraz wyglądał jak ciemna, bezdena i zimna dziura, z której nie zdołają wydostać się ani Kiriłow, ani Abogin, ani czerwony półksiężyc...

Im bliżej celu znajdował się powóz, tym bardziej zniecierpliwiony robił się Abogin. Kręcił się, podskakiwał, wypatrywał czegoś z przodu przez ramię woźnicy. Jego oddech drżał, kiedy powóz zatrzymał się wreszcie koło ganku gustownie udrapowanego pasiastym płótnem, a on patrzył na oświetlone okna na drugim piętrze.

– Jeżeli coś się stanie, nie...nie przeżyję – powiedział wchodząc z doktorem do przedpokoju i zacierając ze zdenerwowania ręce. – Ale nie słychać zamieszania, więc na razie wszystko w porządku – dodał nasłuchując.

Do przedpokoju nie dochodziły ani głosy, ani kroki i wydawało się, że cały dom spał, chociaż był jasno oświetlony. Doktor i Abogin, którzy znajdowali się do tej pory w ciemnościach, mogli nareszcie przypatrzeć się sobie. Doktor był wysokiego wzrostu, nieco przygarbiony, ubrany niedbale i twarz miał brzydką. Coś nieprzyjemnie oschłego, zimnego i surowego było w jego grubych jak u murzyna wargach, orlim nosie i apatycznym, obojętnym wzroku. Rozczochrane włosy, zapadnięte skronie, przedwczesna siwizna w długiej, wąskiej brodzie, przez którą przeświecał podbródek, bladoszary kolor cery i niedbale kanciaste ruchy – wszystko to swą oschłością przypominało o przeżytych nieszczęściu, niepowodzeniu, zmęczeniu życiem i ludźmi. Patrząc na jego bezduszną postać, nie chciało się wierzyć, że ten człowiek ma żonę i mógł oplakiwać śmierć dziecka. Abogin wyglądał zupełnie inaczej. Był to krzepki okazały blondyn, z dużą głową i z wyrazistymi, lecz miękkimi rysami twarzy, ubrany z elegancją według ostatniej mody. W jego postawie, w starannie zapiętym surducie, w grzywie włosów i w twarzy było coś szlachetnego, coś z lwa; chodził z wysoko podniesioną głową i wypiętą do przodu piersią, mówił przyjemnym barytonem, a w tym, jak zdejmował szalik czy poprawiał włosy na głowie, czuła się delikatna, prawie kobieca wytworność. Nawet bladość i dziecinny strach, z jakim rozbierając się zerkał na schody prowadzące na górę, nie

psuły dobrego wrażenia i nie przynosiły żadnej ujmy jego zdrowiu, sytości i pewności siebie, którymi tryskał.

– Nikogo nie ma i nic nie słyhać – powiedział wchodząc po schodach. – Wszystko spokojnie. Daj Boże!

Zaprowadził doktora z przedpokoju do dużego salonu, gdzie czernił się fortepian i wisiał żyrandol w białym pokrowcu; przeszli stamtąd do małej, bardzo przytulnej i pięknej bawialni, którą wypełniał przyjemny różowy półmrok.

– Proszę tu zaczekać, panie doktorze – powiedział Abogin – zaraz wracam. Pójdę zobaczyć i uprzedzić.

Kiriłow został sam. Przepych bawialni, przyjemny półmrok i sama jego obecność w obcym, nieznanym domu, mająca charakter przygody, jak widać, nie poruszyły go. Siedział w fotelu i przyglądał się swym poparzonym karbolem rękoma. Tylko mimochodem zerknął na jaskrawoczerwony klosz, futerał od wiolonczeli i spojrzawszy z ukosa w stronę tykającego zegarka, dostrzegł wypchanego wilka, tak samo okazałego i sytego, jak Abogin.

Było cicho... Gdzieś daleko w sąsiednich pokojach ktoś głośno powiedział „a!”, zadzwieczyły szklane drzwi, chyba od szafy, i znów zapanowała cisza. Oczekawszy z pięć minut, Kiriłow przestał przyglądać się swym rękoma i podniósł oczy na drzwi, za którymi zniknął Abogin.

Ten właśnie stał na ich progu, ale zmieniony nie do poznania. Nie wyglądał już na zadowolonego i wytwornego; jego twarz, ręce i cała postać były zniekształcone jakimś okropnym skurczem przerażenia lub strasznego fizycznego bólu. Nos, wargi, wąsy, wszystko to ruszało się i, jak się wydawało, próbowało oderwać od twarzy, a oczy jakby śmiały się z bólu.

Abogin zrobił ociężały i zamaszysty krok na środek bawialni, zgarbił się, jęknął i potrzęsął pięściami.

– Oszukała! – zawołał głośno, wydzielając sylabę *ka*. – Oszukała! Odeszła! Rozchorowała się i wysłała mnie po lekarza tylko po to, żeby móc uciec z tym kłownem Papeczyńskim! Mój Boże!

Abogin zrobił ciężki krok w stronę doktora, wyciągnął do niego swoje białe miękkie pięści i potrzęsając nimi zaczął zawodzić:

– Odeszła!! Oszukała! Ale po co te kłamstwa?! Mój Boże! Mój Boże! Po co te brudne, szulerskie sztuczki, ta podstępna diabelska gra? Czym wobec niej zawiniłem? Odeszła!

Łzy polały się z jego oczu. Obrócił się na pięcie i zaczął miotać się po bawialni. W krótkim surducie i modnych wąskich spodniach, w których nogi wydawały się zbyt cienkie w stosunku do tułowia, z grzywą bujnych włosów na zbyt dużej głowie był w tej chwili niezwykle podobny do lwa. Na obojętnej twarzy doktora ukazała się ciekawość. Podniósł się i zaczął przyglądać Aboginowi.

– Za pozwoleniem, gdzie jest chora? – zapytał.

– Chora! Chora! – krzyknął Abogin śmiejąc się i płacząc jednocześnie i ciągle jeszcze potrzęsając pięściami. – To nie chora, tylko przekłeta! Nikczemność! Podłość, gorszego świństwa chyba sam diabeł by nie wymyślił! Odeszła, żeby móc uciec, uciec z tym kłownem, tępym błaznem, alfonsem! O Boże, lepiej by zmarła! Nie zniosę tego! Nie zniosę!

Doktor wyprostował się. Zamrugał oczami, w których zbierały się łzy, jego wąska bródka zaczęła się ruszać w różne strony razem ze szczęką.

– Przepraszam, ale co to wszystko ma znaczyć? – zapytał i rozglądał się ze zdziwieniem. – Dziecko mi zmarło, żona w rozpacz, sama w całym domu...ledwo na nogach się trzymam, przez trzy noce nie spałem...i co widzę? Zmuszają mnie, żeby grać w jakieś płaskiej farsie rolę rekwizytu! Nie...nie rozumiem!

Abogin rozwarł pięść, rzucił na podłogę zmięty list i nadepnął na niego jakby to był jakiś robak, którego trzeba rozdeptać.

– A ja nie widziałem...nie rozumiałem! – mówił przez ściśnięte zęby, wymachując koło swej twarzy pięścią, i z takim grymasem jakby ktoś nadepnął mu na odcisk. – Nie zwracałem uwagi, że codziennie tu bywa i że dziś przyjechał powozem! Dlaczego powozem? A ja nie zwracałem uwagi! Ależ dureń ze mnie!

– Nie... nie rozumiem! – mamrotał doktor. – Co to ma znaczyć? Przecież to znęcanie się nad człowiekiem, szydzenie z ludzkich cierpień! Coś niesamowitego... pierwszy raz w życiu widzę coś podobnego!

Z tępym zdziwieniem człowieka, który dopiero co zrozumiał, jak ciężko został znieważony, doktor wzruszał ramionami, rozkładał ręce i nie znajdując słów opadł w końcu bez sił na fotel.

– Załóżmy, że już mnie nie kocha, innego pokochała – niech jej będzie, ale po co kłamać, po co ten nikczemny, zdradziecki chwyt? – mówił rozpaczliwym tonem Abogin. – Po co? I za co? Co złego ci zrobiłem? Proszę mnie posłuchać, panie doktorze – powiedział gorąco podchodząc do Kirilowa. – Był pan mimowolnym świadkiem mego nieszczęścia, więc nie będę ukrywał przed panem prawdy. Przysięgam panu, że kochałem tę kobietę, ubóstwiałem jak niewolnik! Poświęciłem dla niej wszystko: pokłóciłem się z rodziną, rzuciłem pracę i muzykę, wybaczałem jej to, co nie mógłbym wybaczyć matce albo siostrze Nie miałem do niej żadnych pretensji...sam żadnego powodu ku temu nie dawałem! Więc za co takie kłamstwo? Nie żądam miłości, ale po co te podłe kłamstwa? Nie kochasz, to powiedz otwarcie, szczerze, tym bardziej, że znasz moje poglądy w tej sprawie...

Ze łzami w oczach, drżąc na całym ciele, Abogin szczerze wylewał przed doktora swe żale. Mówił otwarcie, przyciskając obydwie ręce do serca, obnażał bez wahania swoje rodzinne tajemnice i chyba nawet cieszył się z tego, że może wreszcie komuś o tym powiedzieć. Jakby miał możliwość mówić o tym godzinę, dwie, wypowiedzieć wszystko, co mu leżało na sercu, poczułby się bez wątpienia lepiej. Jakby doktor go wysłuchał, okazał mu po przyjacielsku współczucie, kto wie, może, jak to nieraz bywa, pogodziłby się ze swym nieszczęściem, nie czyniąc niepotrzebnych głupstw... Ale tak się nie stało. W tym czasie, jak Abogin mówił, obrażony doktor wyraźnie zmieniał się na twarzy. Wyraz obojętności i zdziwienia powoli ustępował wyrazowi gorzkiego żalu, oburzenia i gniewu. Rysy jego twarzy robiły się coraz bardziej oschłe, sztywne i nieprzyjemne. Kiedy Abogin pokazał mu zdjęcie młodej kobiety z piękną, ale oziębłą i beznamiętną jak u mniszki twarzą i zapytał, czy można, patrząc na tę twarz, dopuścić, że potrafi kłamać, doktor nagle się zerwał z błyszczącymi oczami i powiedział, wyraźnie wydzielając każde słowo:

– Po co pan mi to wszystko mówi? Nie chcę tego słuchać! Nie chcę! – krzyknął i wałnął pięścią o stół. – Niepotrzebne mi, do diabła, wasze banalne tajemnice! Nie waż się pan mówić mi o takich banalnościach! A może pan uważa, że jeszcze nie dość mnie obraził? Że jestem lokajem, którego można ciągle obrażać? Tak?

Abogin cofnął się przed nim i wlepił w niego przerażony wzrok.

– Po co pan mnie tu przywiózł? – ciągnął doktor potrząsając brodą. – Jeżeli z nudów się żenicie, jeżeli za dobrze wam się powodzi, więc w melodramaty się bawicie, to co ja z tym mam wspólnego? Co ja mam wspólnego z waszymi romansidłami? Zostawcie mnie w spokoju! Uprawiajcie szlachetne sporty, popisujcie się wzniosłymi ideami, grajcie ( tu doktor zerknął z ukosa na futerał z wiolonczelą) – grajcie na kontrabasach i puzonach, tyjcie jak kapłony, ale nie ważcie się znęcać nad człowiekiem! Nie potraficie go uszanować, to chociażby zostawcie go w spokoju!

– Przepraszam, co to wszystko znaczy? – zapytał Abogin czerwieniąc się.

– A to znaczy, iż niegodziwie i podle jest tak wykorzystywać ludzi! Jestem lekarzem, a wy uważacie lekarzy i w ogóle wszystkich pracujących, od których nie pachnie perfumami i prostytutką, za swoich lokaj i mowetonów,\* no i niech wam będzie, ale nikt nie dał wam prawa odnosić się do człowieka, który cierpi, jak do rzeczy!

– Jak pan śmie tak do mnie się zwracać? – zapytał cicho Abogin i jego twarz znów zadrgała, tym razem już wyraźnie z oburzenia.

– Nie, to jak pan śmiał, wiedząc o moim nieszczęściu, przywozić mnie tutaj po to, żebym wysłuchiwał banałów? – krzyknął doktor i znów wałnął pięścią o stół. – Kto panu dał prawo tak znęcać się nad nieszczęsnym człowiekiem?

– Pan zwariował! – krzyknął Abogin. – Jest pan podły! Ja też jestem głęboko nieszczęśliwy i... i...

– Nieszczęśliwy – ironicznie uśmiechnął się doktor. – Niech pan nie używa tego słowa, bo go pan nie rozumie. Łobuzy, którzy nie mają czym spłacić weksli, też uważają się za nieszczęśliwych. Kapłon, którego zbędny tłuszcz uciska, też cierpi. Nikczemnicy!

– Łaskawy panie, zagalopował się pan! – krzyknął Abogin. – Za takie słowa... biją! Rozumie to pan?

Abogin gorączkowo wsadził rękę do kieszeni, wyciągnął stamtąd portmonetkę i wydobywszy z niej dwa papierki rzucił je na stół.

– Oto panu za wizytę! – powiedział poruszając nozdrzami. – Zapłacono panu!

– Nie waż się pan proponować mi pieniądze! – krzyknął doktor i zrzucił papierki ze stołu na podłogę. – Za znieważenie nie płaci się pieniędzmi!

Abogin i doktor stali twarzą w twarz i bez opamiętania obrzucali się niezasłużonymi obelgami. Chyba nigdy w życiu, nawet w malignie, nie wypowiedzieli tyle niesprawiedliwego, okrutnego i bzdurnego. Obojgiem kierował egoizm ludzi cierpiących. Ludzie cierpiące są egoistyczni, źli, niesprawiedliwi, okrutni i jeszcze mniej niż głupcy, potrafią się porozumieć. Nieszczęście nie łączy, lecz dzieli, nawet tam, gdzie ludzie, wydaje się, powinni być związani jednym nieszczęściem, jest o wiele więcej niesprawiedliwości i okropieństwa niż w środowisku stosunkowo zadowolonym.

– Zechce pan kazać odwieść mnie do domu! – krzyknął doktor z trudem łapiąc powietrze.

Abogin głośno zadzwonił. Kiedy na jego wołanie nikt się nie zjawił, jeszcze raz zadzwonił i rozwścieczony rzucił dzwonek na podłogę; ten z głuchym dźwiękiem uderzył o dywan i wydał żałosny jakby przedśmiertny jęk. Zjawił się lokaj.

– Gdzie się, do cholery, pochowali? – rzucił się na niego z zaciśniętymi pięściami pan. – Gdzieś ty był? Idź powiedzieć, żeby temu panu podstawili powóz, a dla mnie każ karetę zaprząć! Czekaj no! – krzyknął, kiedy lokaj chciał już iść. – Jutro żeby mi ani jednego zdrajcy w domu nie było! Wszyscy precz mi stąd! Zatrudniam nowych! Gady!

Czekając na pojazd Abogin i doktor milczeli. Do pierwszego wrócił już wyraz sytości i delikatnej wytworności. Przechadzał się po bawialni, ładnie potrząsał głową i chyba coś zamierzał. Nie całkiem jeszcze ochłonał, ale starał się udawać, że nie zauważa swego wroga... Doktor zaś stał, opierając się jedną ręką o brzeg stołu, i patrzył na Abogina z tym głębokim, nieco cynicznym i brzydkim wyrazem pogardy, z jakim potrafią patrzeć tylko nieszczęście i bieda, kiedy widzą przed sobą dostatek i wykwintność.

Chwilę później wsiadł do powozu i odjechał, a w jego oczach dalej malowała się pogarda. Było ciemno, o wiele ciemniej niż godzinę temu. Czerwony półksiężyc schował się już za pagórkami i pilnujące go chmury ciemnymi plamami kładły się wokół gwiazd. Karetą z czerwonymi światłami zabębniła na drodze i wyprzedziła doktora. To Abogin jechał protestować i robić głupstwa...

---

\* ludzie bez dobrych manier (z fr. *mauvais ton*).

Przez całą drogę myśli doktora były zajęte nie żoną i Andriejem, a Aboginem i ludźmi, mieszkającymi w domu, który właśnie opuszczał. Myśli te były niesprawiedliwe i niehumanitarne. Osądził i Abogina, i jego żonę, i Papczyńskiego, i wszystkich tych, co mieszkają w różowym półmroku i od których pachnie perfumami; przez całą drogę nienawidził ich i pogardzał aż do bólu. I w jego świadomości kształtowało się mocne przekonanie o nich.

Ból Kiriłowa z czasem minie, ale przekonanie to, niesprawiedliwe i niegodne człowieka, nie zmieni się i pozostanie w nim aż do śmierci.

1887

## WIEROCZKA

Iwan Aleksejewicz Ogniew dobrze pamiętał, jak otworzył tamtego sierpniowego wieczoru brzęczące szklane drzwi i wyszedł na taras. Miał wtedy na sobie lekką pelerynę i słomiany kapelusz z szerokim rondem, o, właśnie ten, co wala się teraz razem z kozakami pod łóżkiem. W jednej ręce trzymał duży plik książek i zeszytów, w drugiej – gruby sękaty kij.

Za drzwiami, oświetlając mu lampą drogę, stał gospodarz domu Kuzniecowa, łysy staruszek z długą siwą brodą, ubrany w śnieżnobiałą pikową marynarkę. Życzliwie się uśmiechał i kiwał głową.

– Żegnaj pana! – krzyknął do niego Ogniew.

Kuzniecowa postawił lampę na stoliku i wyszedł na taras. Dwa długie, wąskie cienie przesunęły się po schodkach w stronę klombów z kwiatami, zachwiały się i oparły głowami o pnie lip.

– Żegnaj pana i jeszcze raz wielkie dzięki, mój drogi! – powiedział Iwan Aleksejewicz. – Dziękuję za pańską serdeczność, ciepło, miłość... Nigdy, przenigdy nie zapomnę pańskiej gościnności. I pan jest miły, i pańska córka, i wszyscy tu u was są sympatyczni, weseli i serdeczni... Tacy wspaniali ludzie, że brak mi słów!

Nadmiar uczuć i wpływ wypitej przed chwilą nalewki sprawiły, że Ogniew mówił melodyjnym jak u seminarzysty głosem i był tak wzruszony, że wyrażał swoje uczucia nie tyle słowami, co mruganiem oczu i wzruszaniem ramion. Kuzniecowa, również podchmielony i rozczulony, przyciągnął do siebie młodego człowieka i ucałował go.

– Jak pies do was się przywiązałem! – ciągnął Ogniew. – Prawie codziennie tu przyjechałem, z dziesięć razy nocowałem, a ile nalewki wypilem, aż strach! A głównie za to panu jestem wdzięczny, Gawryle Piotrowiczu, że z pracą mi pan pomógł. Bez pana grzebałbym się tu ze swoją statystyką do października. Tak i napiszę w przedmowie, że gorąco dziękuję przewodniczącemu N-go urzędu ziemskiego Kuzniecowskiemu za jego uprzejmą pomoc. Statystyka ma przed sobą piękną przyszłość! Wierzę Gawryłownie proszę przekazać moje uszanowanie, a doktorom, obydwóm sędziom śledczym i pańskiemu sekretarzowi proszę powiedzieć, że nigdy nie zapomnę ich pomocy! A teraz uściśnijmy się i ucałujemy po raz ostatni.

Rozmiękczony Ogniew jeszcze raz pocałował się ze staruszką i zaczął schodzić po schodkach. Na ostatnim stopniu obejrzał się i zapytał:

– Zobaczymy się jeszcze kiedyś?

– Bóg jeden wie! – odpowiedział stary człowiek. – Chyba nie!

– Ma pan rację! Do Petersburgu pan za nic w świecie nie zechce przyjechać, a ja już chyba nie trafię po raz drugi do tego samego powiatu. Więc żegnaj pana!

– Zostawiłby pan te książki! – krzyknął za nim Kuzniecowa. – Chce się panu ciągnąć ze sobą taki ciężar? Przyślę je panu jutro przez umyślnego.

Ale Ogniew już go nie słyszał i szybkim krokiem oddalał się od domu. W rozgrzanym winem sercu czuł jednocześnie radość, ciepło i smutek... Szedł i rozmyślał nad tym, jak często zdarza się spotkać w życiu dobrych ludzi i jaka szkoda, że nie pozostaje po tych spotkaniach nic, prócz wspomnień. Bywa, że przemkną na horyzoncie żurawie, słaby wiatr przyniesie ich tęskny, pełen uniesienia krzyk, a za chwilę, ile nie wpatruj się z nadzieją w siną dal, żadnego śladu już nie zobaczysz, żadnego dźwięku nie usłyszysz. Tak samo jest z ludźmi, z ich twarzami i mową – przemkną przez nasze życie i znikną w przeszłości, nie pozostawiając po sobie nic, prócz ledwo zauważalnych śladów w pamięci. Przebywając od wiosny w N-skim powiecie i wpadając do gościnnych Kuzniecowa prawie codziennie, Iwan Aleksejcz przywiązał się do staruszka, jego córki i służących jak do własnej rodziny, poznał na wylot cały dom, przytulną werandę, zakręty alejek, kontury drzew nad kuchnią i łaźnią; ale wyjdzie

zaraz przez tę furtkę i wszystko stanie się wspomnieniem i nie będzie już miało dla niego takiego znaczenia, a za rok czy dwa obrazy całkiem wyblakną i nie będą warte więcej niż wymysły i twory wyobraźni.

„Najważniejsze w życiu – to ludzie! – myślał rozrzuwiony, idąc aleją w stronę furtki. – Tak!”

W ogrodzie było cicho i ciepło. Pachniało rezedą, tytoniem i heliotropem, które jeszcze kwitły na klombach. Cała przestrzeń między krzakami i pniami drzew wypełniona była mgłą, rzadką, delikatną, na skroś przesiąkniętą światłem księżyca. Najbardziej zapadło w pamięć Ogniewa, jak przepływały przez aleję kłaki mgły, bezszelestne jak zjawy. Wysoko nad ogrodem wisiał księżyc, a pod nim przemykały się na wschód przezroczyste mgliste plamy. Wydawało się, że cały świat składał się wyłącznie z czarnych konturów i błakających się cieni. I Ogniew miał nieodparte wrażenie, że widzi nie zjawisko przyrody, a sztuczną dekorację. Oto niezdarni pirotechnicy, chcąc oświetlić ogród białym sztucznym ogniem, schowali się pod krzakami i razem ze światłem wypełnili przestrzeń białym dymem.

W tym czasie, gdy Ogniew zbliżał się do ogrodowej furtki, od niewysokiego żywopłotu oddzielił się ciemny cień i ruszył mu naprzeciw.

– Wiero Gawryłowno! – ucieszył się Ogniew. – To pani? A ja szukam pani, szukam, chciałem się pożegnać... – Żegnam panią, wyjeżdżam!

– Tak wcześniej? Dopiero jedenasta.

– Nie, czas na mnie! Pięć wiorst przede mną, a jeszcze spakować się muszę. Jutro trzeba wcześniej wstać...

Przed Ogniewem stała córka Kuzniecowa Wiera, dwudziestojednoletnia dziewczyna, jak zwykle smutna, niedbale ubrana i ładna. Dziewczyny, które dużo marzą i przez cały dzień leżą i leniwie czytają wszystko, co wpadnie im w ręce, które nudząc się i smucą, ubierają się przeważnie niedbale. Owa lekka niedbałość w ubiorze nadaje wyjątkowy urok tym z nich, które przyroda obdarzyła dobrym gustem i wrażliwością na piękno. Ogniew, w każdym bądź razie, wspominając później śliczną Wieroczkę, nie mógł jej sobie wyobrazić bez obszernej bluzki, która marszczyła się w pasie dużymi fałdami i nie przylegała całkiem do figury, bez loczka, zwisającego na czoło z wysokiej fryzury, bez czerwonej, robionej na drutach chusty z włochatymi pomponami na brzegach, która jak flaga w bezwietrzną pogodę ponuro zwisała z ramion Wieroczki wieczorem i wałała się w ciągu dnia wśród męskich czapek w przedpokoju albo na kufrze w jadalni, gdzie nachalnie spała na niej stara kotka. Tchnęło od tej chusty i fałd bluzki niczym nie skrepowanym lenistwem, domatorstwem, serdecznością. Może dlatego, że Wiera podobała się Ogniewowi, dostrzegał w każdym jej guziku i loczku coś ciepłego, naiwnego, coś miłego i poetyckiego, czego brakuje kobietom nieszczerym, zimnym, bez poczucia piękna.

Wieroczka miała zgrabną figurę, regularne rysy twarzy i piękne falujące włosy. Ogniew, który nie znał w swym życiu zbyt wielu kobiet, uważał ją za piękność.

– Jadę! – mówił żegnając się z nią koło furtki. – Niech pani mnie źle nie wspomina! Dzięki za wszystko!

I tym samym melodyjnym głosem seminarzysty, jakim rozmawiał ze staruszką, tak samo mrugając oczami i wzruszając ramionami, zaczął dziękować Wierze za gościnność, ciepło i serdeczność.

– Wspominałem o pani w każdym liście do matki – mówił. – Jakby wszyscy byli tacy jak pani i pani tatuś, żyć by wtedy i nie umierać. Wszyscy tu u was są wspaniałymi ludźmi! Naród prosty, serdeczny, otwarty.

– Dokąd pan teraz jedzie? – zapytała.

– Jadę do matki do Orła, pobędę u niej ze dwa tygodnie, a potem – do Pitra, do pracy.

– A później?



– Później? Przez całą zimę będę tam pracował, a wiosną znów do jakiegoś powiatu, materiał zbierać. No, powodzenia i długich lat życia... proszę źle mnie nie wspominać. Więcej się nie zobaczymy.

Ogniew schylił się i ucałował Wieroczkę w rękę. Milczał przez chwilę wzruszony, poprawił pelerynę, wziął wygodniej plik książek i wreszcie powiedział:

– Ależ mgły nawaliło!

– Tak. Niczego pan u nas nie zapomniał?

– Chyba nie...

Ogniew zastał chwilę nic nie mówiąc, odwrócił się niezgrabnie do furtki i wyszedł z ogrodu.

– Proszę zaczekać, odprowadzę pana do naszego lasu – powiedziała Wiera wychodząc za nim.

Poszli drogą. Drzewa nie zasłaniały już nieba i horyzontu. Wszystko dookoła chowało się za przezroczystą matową mgielką jak za woalką. Mgła, gęściejsza i bielsza niż przedtem, kładła się nierównomiernie obok snopów i krzaków, albo kłębiła się na drodze i lgnęła do ziemi jakby nie chciała przystłaniać sobą całej przestrzeni. Droga z ciemnymi rowami po obu stronach ciągnęła się aż do lasu. Rowy były porośnięte niskimi krzakami, które przeszkadzały kłębowi mgły swobodnie w nich błędzić. Pas lasu należący do Kuzniecowa zaczynał się jakieś pół wiorsty od furtki.

„Po co ona ze mną poszła? Przecież trzeba ją będzie później odprowadzać z powrotem!” – pomyślał Ogniew, ale zerknął na Wieroczkę i czule się uśmiechnął:

– Ależ się nie chce wyjeżdżać w taką piękną pogodę! – powiedział. – Wieczór taki romantyczny, z księżycem, ciszą i wszystkim, co trzeba. Wie pani co, Wiero Gawryłowno? Żyję na świecie od dwudziestu dziewięciu lat, a nigdy jeszcze romansu nie miałem. W ciągu całego życia ani jednej romantycznej historii, o randkach, westchnieniach i pocałunkach w parku wiem tylko ze słyszenia. Przecież to nie jest normalne! Nie odczuwasz tego siedząc w pokoju w mieście, ale tu, na łonie natury, mocno to daje o sobie znać... Nawet przykro się robi!

– Czemuż to tak?

– Sam nie wiem. Chyba czasu nie miałem, a może po prostu nie spotkałem kobiety, która... Tak w ogóle, nie mam za dużo znajomych i nigdzie nie bywam.

Przez dłuższy czas szli milcząc. Ogniew rzucał spojrzenia na Wieroczkę i w jego pamięci ożywały wiosenne i letnie dni, kiedy porzuciwszy ponury petersburski pokój i ciesząc się z serdeczności miłych ludzi, z przyrody i ulubionego zajęcia, nie zauważał, jak po porannych zorzach nadchodziły wieczorne i jak jeden po drugim milkły najpierw słowik, potem przepiórka, a za nią derkacz, zwiastując koniec lata... Czas leciał niezauważalnie, a to znaczy, że żyło się beztrudnie i przyjemnie... Zaczął opowiadać, z jaką niechęcią, będąc niebogatym, nieprzyzwyczajonym do zmian i ludzi człowiekiem, jechał pod koniec kwietnia do N-kiego powiatu, gdzie oczekiwał nudy i obojętnego stosunku do statystyki, którą uważał za najważniejszą z nauk. Przyjechał pewnego kwietniowego poranka do powiatowego miasteczka N., zatrzymał się w zajeździe u starowiercy Riabuchina, gdzie za dwadzieścia kopiejek za dobę dostał jasny i czysty pokój pod warunkiem, że palić będzie na dworze. Kiedy po odpoczynku dowiedział się, kto jest przewodniczącym ziemskiego urzędu, natychmiast wyruszył na piechotę do Gawryły Piotrowicza. Przyszło mu iść cztery wiorsty przez przepiękne łąki i młode zagajniki. W obłokach drżały skowronki, wypełniając powietrze srebrzystymi dźwiękami, a nad zielonymi polami krążyły gawrony, statecznie i solidnie wymachując skrzydłami.

– Mój Boże – zachwycał się Ogniew – czy tutaj zawsze oddychają takim powietrzem, czy to tylko dzisiaj tak jest, bo ja przyjechałem?

Licząc na suche oficjalne przyjęcie, wchodził do domu Kuzniecowa nieśmiało, patrzył spode łba i targał w zamieszaniu brodę. Staruszek na początku się chmurzył i nie rozumiał, na co młodemu człowiekowi i jego statystyce urząd ziemski, ale kiedy Ogniew cierpliwie mu wyjaśnił, co to jest materiał statystyczny i gdzie go zbierają, Gawrył Piotrowicz się ożywił, zaczął się uśmiechać i z dziecinną ciekawością zaglądał do jego zeszytów... Wieczorem tego samego dnia Iwan Alekseicz był już u Kuzniecowa na kolacji, szybko robił się pijany od mocnej nalewki i patrząc na spokojne twarze i leniwe ruchy swych nowych znajomych, czuł w całym ciele słodką, odprężającą błogość, kiedy chce się spać, przeciągać i uśmiechać. Jego nowi znajomi zaś dobrodusznie mu się przyglądali i wypytywali, czy żyją jeszcze rodzice, ile zarabia miesięcznie i czy często bywa w teatrze...

Przypomniały się Ogniewowi jego rozjazdy po gminach, pikniki, łowienie ryb, wyjazd z całym towarzystwem do żeńskiego klasztoru do przeoryszy Marfy, która każdemu z gości dała w prezencie sakiewkę z paciorków, przypomniały się gorące, nie kończące się, typowo rosyjskie spory, kiedy dyskutanci, bryzgając śliną i waląc pięściami w stół, nie mogą się porozumieć i przerywają jeden drugiemu, nawet tego nie zauważając, przeczą sami sobie w każdym zdaniu, co chwilę zmieniają temat i śmieją się po dwóch–trzech godzinach:

– Diabli wiedzą, o co nam chodziło! Zaczęliśmy o jednym, a skończyliśmy na czymś zupełnie innym!

– Pamięta pani, jak jeździliśmy konno razem z doktorem do Szestowa? – mówił Iwan Alekseicz do Wierzy, kiedy zbliżali się do lasu. – Obląkanego wtedy spotkaliśmy. Dałem mu piątaka, a on trzy razy się przeżegnał i rzucił mojego piątaka w żyto. Mój Boże, tyle wrażeń ze sobą wiozę, że jakby zebrać je wszystkie w jedną zwartą masę, dobra sztabka złota by wyszła! Nie rozumiem, czemu to mądrzy i wrażliwi ludzie tłoczą się w stolicach i nie jadą tutaj? Czy na Newskim i w wielkich wilgotnych domach więcej jest przestrzeni i prawdy niż tutaj? Doprawdy, zawsze uważałem, że te umeblowane pokoje do wynajęcia, zapchane malarzami, naukowcami i dziennikarzami, są konwenansem.

W dwudziestu krokach od lasu był przerzucony przez drogę wąski mostek ze słupkami po brzegach, na którym zwykle w czasie wieczornych spacerów na krótko zatrzymywali się Kuzniecowa i ich goście. Stąd chętni mogli przedrzeć się leśne echo i widać było, jak droga znikła w czarnej przesiece.

– A oto i mostek! – powiedział Ogniew. – Musi pani wracać...

Wiera zatrzymała się i odetchnęła.

– Posiedzimy tu – powiedziała siadając na jednym ze słupków. – Przed odjazdem, kiedy się żegnają, zwykle siadają na chwilę.

Ogniew przycupnął koło niej na swoich książkach i mówił dalej. Wiera ciężko oddychała po spacerze i patrzyła nie na Iwana Alekseicza, ale gdzieś w bok, więc nie widział jej twarzy.

– I nagle spotkamy się, tak lat za dziesięć – mówił. – Jacy wtedy będziemy? Pani będzie poczciwą matką rodziny, a ja autorem jakiegoś solidnego, nikomu niepotrzebnego statystycznego zbioru, grubego jak czterdzieści tysięcy zbiorów. Spotkamy się i powspominamy o starych czasach... Teraz żyjemy rzeczywistością, która pochłania nas całkowicie, ale jeśli się spotkamy, nie będziemy już pamiętali ani daty, ani miesiąca, ani nawet roku, w którym widzieliśmy się po raz ostatni na tym mostku. Pani chyba się zmieni... Zmieni się pani, nieprawdaż?

Wiera wzdrygnęła i obróciła do niego twarz.

– Pan coś mówił? – zapytała.

– Pytałem panią...

– Przepraszam, nie dosłyszałam pana.

Dopiero teraz zauważył w niej zmianę. Była blada, oddychała z trudem, a drżenie jej oddechu przekazywało się rękom, wargom, głowie, z fryzury opadał na czoło już nie jeden

loczek jak zawsze, a dwa... Najwyraźniej unikała wzroku Ogniewa i próbując zamaskować zdenerwowanie, raz poprawiała kołnierzyk, który niby wrzynał się jej w szyję, raz naciągała swoją czerwoną chustę z jednego ramienia na drugie...

– Pani chyba zmarła – powiedział Ogniew. – Niezdrowo siedzieć we mgle. Odprowadzę panią nach hauz.\*

Wiera milczała.

– Co pani jest? – uśmiechnął się Iwan Alekseicz. – Milczy pani, nie odpowiada pani na pytania. Złe się pani czuje, czy gniewa się pani na mnie? Tak?

Wiera mocno przycisnęła dłoń do policzka ze strony Ogniewa i szybko ją odsunęła.

– Okropna sytuacja... – wyszeptała krzywiąc się jak od silnego bólu. – Okropna!

– Co w tym takiego okropnego? – zapytał Ogniew, wzruszając ramionami i nie kryjąc swego zdziwienia. – Co się stało?

Wciąż ciężko oddychając i wzdrygając ramionami, odwróciła się do niego plecami, popatrzyła na niebo i powiedziała:

– Muszę z panem porozmawiać, Iwanie Alekseiczu...

– Słucham panią.

– Może wyda się to panu dziwnym... zdziwi się pan, ale jest mi wszystko jedno...

Ogniew znów wzruszył ramionami i przygotował się do słuchania.

– Chodzi o to... – zaczęła Wieroczka, schylając głowę i skubiąc pompon na chustce. – Widzi pan, chciałam panu powiedzieć... Wyda się to panu dziwnym i... głupim, ale...ale dłużej już nie wytrzymam.

Wieroczka zaczęła coś mętnie mamrotać i nagle się rozpląkała. Przykryła twarz chustą, schyliła się jeszcze niżej i łkała. Iwan Alekseicz się zmieszał, chrząknął i ze zdumieniem i rozpaczą rozejrzał się dookoła, nie wiedząc, co powiedzieć i robić. Nie był przyzwyczajony do płaczu, więc i jego zapiekło w oczach.

– Ależ, Wiero Gawryłowno, – wymamrotał zmieszany. – Niepotrzebnie to pani robi. Jest pani...jest pani chora? Może ktoś panią obraził? Proszę powiedzieć, może tego... będę mógł pani pomóc...

Kiedy próbując uspokoić ją, odważył się ostrożnie odsunąć jej rękę od twarzy, uśmiechnęła się do niego przez łzy i powiedziała:

– Kocham... pana!

Były to zwyczajne i proste słowa i wypowiedziane zostały prostym, ludzkim językiem, ale Ogniew odwrócił się od Wiery strasznie zakłopotany, podniósł się i poczuł w ślad za zmieszaniem strach.

Smutek, ciepło i sentymentalny nastrój, w który wprowadziło go pożegnanie i nalewka, nagle się rozwiały, ustępując miejsce ostremu, nieprzyjemnemu uczuciu skrępowania. Był wstrząśnięty. Patrzył na Wierę z ukosa, a ta, po wyznaniu miłości, straciła nagle całą swoją nieprzystępność i urok i wydawała mu się teraz niższa, prostsza, zwyczajniejsza.

„Co mam z tym robić? – pomyślał z przerażeniem. – Przecież ja ją... kocham czy nie? To jest pytanie!”

A ona, mając już za sobą ten najcięższy moment, oddychała teraz lekko i swobodnie. Też się podniosła i patrząc Iwanowi Alekseiczowi prosto w twarz zaczęła mówić szybko, niepohamowanie, gorąco.

Jak człowiek nagle przestraszony nie może później przypomnieć sobie dokładnie kolejności zdarzenia, tak samo Ogniew nie pamiętał wszystkiego, co mówiła do niego Wiera. Pamiętał tylko treść jej mowy, ją samą i wrażenie, jakie to na nim wywarło. Pamiętał jakby przytłumiony, zachrypnięty ze zdenerwowania głos i niezwykłą melodyjność i namiętność

---

\* do domu (z niem. nach Hause).

intonacji. Mówiła, płacząc i śmiejąc się, z błyszczącymi na rzęsach łzami, że od razu zrobił na niej wrażenie swoją oryginalnością, inteligencją, dobrymi mądrymi oczami, dążeniami, że zakochała się w nim namiętnie, mocno i do szaleństwa; że kiedy latem, wchodząc z ogrodu do domu, widziała w przedpokoju jego pelerynę albo słyszała z daleka jego głos, jej serce zamierało w przeczuciu szczęścia; nawet jego puste żarty doprowadzały ją do śmiechu, w każdej liczbie w jego zeszytach widziała coś niezwykle mądrego i wspaniałego, jego sękaty kij był dla niej piękniejszy od drzew.

I las, i kłęby mgły, i czarne rowy po obu stronach drogi jakby przycichły, słuchając jej, a Ogniew czuł w sercu coś niedobrego i dziwnego... Wyznająca mu miłość Wiera wyglądała czarująco, mówiła pięknie i namiętnie, ale nie odczuwał, tak jak by chciał, ani przyjemności, ani radości, tylko współczucie, ból i żal, że przez niego męczy się dobry człowiek. Bóg jeden wie, czy miał w sobie za dużo wyuczonej wiedzy, czy przejawiał się w nim zbyt ni obiektywizm, który tak często przeszkadza ludziom żyć, ale uniesienie i cierpienie Wiery wydawało mu się cikliwym, mało poważnym. Jednocześnie coś mu podpowiadało, że wszystko, co teraz widzi i słyszy, jest ważniejsze od statystyk, książek i prawd... Był zły na siebie i czuł się winny, chociaż nie wiedział, w czym zawinił.

Wpadał w coraz większe zakłopotanie, nie miał pojęcia, co powiedzieć, a przecież musiał coś powiedzieć. Nie miał odwagi powiedzieć otwarcie „nie Kocham pani”, ale nie potrafił też powiedzieć „tak”, bo jak się nie starał, nie mógł znaleźć w swym sercu nawet odrobiny miłości...

Milczał, a ona w tym czasie mówiła, że nie ma większego szczęścia, jak widzieć go, iść z nim, nawet w tej chwili, dokąd tylko zechce, być jego żoną i przyjacielem; że jeżeli on odejdzie, to ona umrze z rozpacz...

– Nie mogę dłużej tu zostać! – powiedziała załamując ręce. – Mam dosyć i tego domu, i tego lasu, i tego powietrza. Nie znoszę tego bezruchu i bezsensownego życia, nie znoszę naszych nudnych i szarych ludzi, którzy są podobni do siebie jak dwie krople wody! Są serdeczni i dobroduszni, bo zadowoleni, nie cierpią, nie walczą... A ja chcę właśnie do tych dużych wilgotnych domów, gdzie ludzie cierpią, muszą pracować i zawzięcie walczą z biedą...

To również wydało się Ogniewowi cikliwym i niepoważnym. Kiedy Wiera skończyła, wciąż nie wiedział, co powiedzieć, ale nie wypadało dalej milczeć, więc wymamrotał:

– Wierzę Gawryłowno, bardzo pani dziękuję, chociaż wiem, że niczym nie zasłużyłem na takie... uczucie... z pani strony. Poza tym, jako człowiek uczciwy, muszę pani powiedzieć, że szczęście polega na równowadze, to znaczy, kiedy obydwie strony... Kochają jednakowo...

Ale zawstydził się tego, co powiedział, i zamilkł. Czuł, że przez cały ten czas miał spiętą i nienaturalną twarz, że rysował się na niej głupi, pełen skruchy wyraz... Wiera widocznie odgadła z jego twarzy prawdę, bo zrobiła się nagle poważna, zbladła i pochyliła głowę.

– Proszę mi wybaczyć – wymamrotał Ogniew, nie mogąc dalej znieść milczenia. – Tak panią szanuję, że... jest mi przykro!

Wiera gwałtownie się odwróciła i szybko poszła w stronę dworku. Ogniew pośpieszył za nią.

– Nie, nie trzeba! – powiedziała, machając na niego ręką. – Nie trzeba, sama dojdę...

– Nie mogę... mimo wszystko... pani nie odprowadzić...

Wszystko, co by Ogniew nie powiedział, wydawało mu się teraz wstrętnym i płaskim. Z każdym krokiem rosło w nim poczucie winy. Złościł się, zaciskał pięści i przeklinał swoją oziębłość i nieumiejętność obchodzenia się z kobietami. Patrzył na piękną postać Wieroczeki, jej warkocz i ślady, które zostawiała na zakurzonej drodze jej maleńkie stopy, przypominał sobie jej słowa i łzy i próbował wzbudzić w sobie uczucie, ale wszystko to tylko rozczulało, a nie rozpalalo jego serce.

„Nie mogę przecież na siłę się zakochać! – przekonywał siebie, a jednocześnie myślał: – To kiedy zakocham się nie na siłę? Mam już prawie trzydzieści lat! Nigdy nie spotkałem lepszej od Wiery i chyba nigdy nie spotkam... Cholerna starość! Starość w trzydzieści lat!”

Wiera szła przed nim ze schyloną głową coraz szybciej i szybciej i ani razu się nie obejrzała. Wydawało mu się mizerna z rozpaczy, drobniejsza...

„Wyobrażam sobie, co przeżywa! – myślał, patrząc w ślad za nią. – Chyba i wstyd i ból taki, aż chce się umrzeć! Mój Boże, ile w tym wszystkim życia, poezji, sensu, nawet kamień by zmieknął, a ja... ja jestem głupcem!”

Koło furtki rzuciła na niego krótkie spojrzenie, zgarbiła się i owijając w chustę, szybko poszła aleją.

Iwan Alekseicz został sam. Idąc z powrotem w stronę lasu stapał powoli, co chwilę zatrzymywał się i odwracał w stronę furtki. A wyglądał przy tym tak jakby nie mógł uwierzyć, że tak postąpił. Szukał na drodze śladów stóp Wieroczki i nie mógł uwierzyć, że dziewczyna, która tak mu się podobała, wyznała mu przed chwilą miłość, a on odrzucił ją w taki niezręczny i niedelikatny sposób! Po raz pierwszy w życiu przekonał się, że człowiek może działać w niezgodzie z sobą i będąc uczciwym i dobrym, sprawiać swemu bliźniemu okrutny, niezaskuszony ból wbrew własnej woli.

Strasznie go to bolało, a kiedy Wieroczka zniknęła z jego oczu, zaczęło mu się wydawać, że stracił razem z nią coś bardzo drogiego, bliskiego, czego już nigdy nie odzyska. Czuł, że razem z Wierą odeszła od niego na zawsze część jego młodości i że chwile, które tak bezsensownie przeżył, już nigdy nie powrócą.

Doszedł do mostku i zatrzymał się zamyślony. Próbował znaleźć przyczynę swej dziwnej oziębłości. Był przekonany, że kryła się nie na zewnątrz, a w nim samym. Otwarcie przyznawał przed samym sobą, że nie kierował nim chłodny rozsądek, którym tak lubią przechwalać się ludzie mądrzy, ani obojętność samolubnego głupca, a po prostu niemoc serca, brak wrażliwości na piękno, przedwczesna starość nabyta przez wychowanie, bezsensowną walkę o kawałek chleba, kawalerskie życie w wynajmowanych pokojach.

Powoli, jakby niechcący, skierował się w stronę lasu. Tu, w czarnej gęstej mgle, przebijało się gdzieś tam jasnymi plamami światło księżyca, a on mógł skupić się na swych myślach. Poczł nagle nieodpartą chęć odzyskania utraconego.

Pamięta, że znów zawrócił. Pobiegł w stronę ogrodu, dodając sobie odwagi wspomnieniami i na siłę wywołując w swej wyobraźni obraz dziewczyny. Po drodze i w ogrodzie mgły już nie było i jasny księżyc patrzył z nieba jakby był umyty, tylko na wschodzie dalej było mglisto i pochmurnie... Pamięta swoje ostrożne kroki, ciemne okna, gęsty zapach heliotropu i rezedy. Pies Karo, który go dobrze znał, przyjaźnie zamachał ogonem, podszedł do niego i obwąchał rękę... Był to jedyny żywy świadek, który widział, jak Ogniew obszedł dom ze dwa razy, zatrzymał się pod ciemnym oknem Wiery, machnął w końcu ręką i głęboko westchnąwszy wyszedł z ogrodu.

Godzinę później był już w miasteczku i zmęczony, rozbity, opierając się całym ciałem i rozpaloną twarzą o bramę zajazdu, stukał skoblem. Gdzieś zaszczekał przez sen pies i jakby odpowiadając na jego stukanie, zadzwonili koło cerkwi w żeliwną deskę.

– Łazi po nocach... – marudził gospodarz–starowierca w długiej, podobnej do żeńskiej, nocnej koszuli, otwierając mu bramę. – Miast łązić, lepiej by się pomodlił.

Iwan Alekseicz wszedł do swego pokoju, usiadł na łóżko i długo patrzył na ogień; wreszcie potrząsnął głową i zaczął się pakować...

## WYGRANA NA LOTERII

Iwan Dmitrycz, człowiek przeciętny, wydający z rodziną tysiąc dwieście rubli rocznie, i bardzo zadowolony z życia, usadowił się pewnego razu po kolacji na wersalce z gazetą w rękach.

– Zapomniałam dziś gazetę przejrzeć – powiedziała jego żona, sprząając ze stołu. – Nie ma tam tabeli wygranych?

– Jest – odpowiedział Iwan Dmitrycz. – A nie straciłaś swojego losu pod zastaw?

– Nie, we wtorek zapłaciłam procenty.

– Jaki numer?

– Seria dziewięć tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć, los dwadzieścia sześć.

– No—o... Zobaczmy... dziewięć tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć i dwadzieścia sześć.

Iwan Dmitrycz nie wierzył w loteryjne szczęście i kiedy indziej za nic w świecie nie bawiłby się w szukanie w tabeli wygranych, ale ponieważ w tej chwili i tak nie miał co robić, więc – dzięki temu, że trzymał akurat gazetę przed oczami – przejechał palcem z góry na dół wzdłuż numerów serii. I nagle, jakby szydząc z jego braku wiary, nie dalej niż w drugim wierszu od góry, wyraźnie rzuciła mu się w oczy cyfra 9499! Nie popatrzył na numer losu i nie upewnił się, czy się nie pomylił. Gazeta spadła mu na kolana i poczuł w dołku przyjemny chłód jakby ktoś chlusnął mu na brzuch zimną wodą: i łaskocze, i strach bierze, i przyjemnie!

– Maszo, jest dziewięć tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć! – powiedział ochryple.

Żona spojrzała na jego zdziwioną, spłoszoną twarz i zrozumiała, że nie żartuje.

– Dziewięć tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć? – zbladła i upuściła na stół złożony obrus.

– Tak... Poważnie, jest!

– A numer?

– No tak! Jeszcze numer losu. Zresztą, czekaj...zaraz. Popatrz! Jednak jest numer naszej serii! A jednak, no nie...

Iwan Dmitrycz patrzył na żonę z szerokim i głupim uśmiechem jak dziecko, któremu pokazują coś błyszczącego. Żona też się uśmiechała: jej też było przyjemnie, że podał tylko serię i nie śpieszył się dowiedzieć, jaki jest numer szczęśliwego losu. Dręczyć się i drażnić siebie nadzieją na możliwe szczęście – jakie to słodkie i niesamowite uczucie!

– Nasza seria jest – powiedział Iwan Dmitrycz po długim milczeniu. – Więc możliwe, że wygraliśmy. Tylko możliwe, a jednak!

– Sprawdź wreszcie!

– Czekaj. Jeszcze zdążymy się rozczarować. Jest to w drugim wierszu od góry, więc wygrana siedemdziesiąt pięć tysięcy. To nie pieniądze, to potęga, kapitał! A nuż zajrzę teraz do tablicy, a tam – dwadzieścia sześć! Co? Słuchaj, a co, jeśli rzeczywiście wygraliśmy?

Małżonkowie zaśmiali się i długo patrzyli na siebie bez słów. Byli oszołomieni szansą na wygraną, nie mogli nawet marzyć o tym, ani powiedzieć, na co im te 75 000, co za nie kupią, dokąd pojedą. Myśleli tylko o cyfrach 9499 i 75 000, wyobrażali je sobie, ale o samym szczęściu, które było w zasięgu ręki, jakoś nie mogli myśleć.

Iwan Dmitrycz kilka razy przeszedł się z kąta w kąt, trzymając w rękach gazetę, a kiedy ochłonał po pierwszym wrażeniu, zaczął wreszcie nieśmiało marzyć.

– A co, jeśli wygraliśmy? – powiedział. – Przecież to całkiem nowe życie, to coś niewyobrażalnego! Los należy do ciebie, ale gdyby był mój, kupiłbym oczywiście przede wszystkim jakąś nieruchomość, posiadłość, tak za dwadzieścia pięć tysięcy; z dziesięć tysięcy

przeznaczyłbym na codzienne wydatki: nowe meble... podróże, długi spłacić i tak dalej. Pozostałe czterdzieści do banku na procenty...

– Posiadłość – to dobra rzecz – powiedziała żona i usiadła obok, kładąc ręce na kolana.

– Gdzieś w tulskiej czy orłowskiej guberni. Po pierwsze, wtedy dacza nie jest potrzebna, po drugie, jednak dochód.

W jego wyobraźni zaroily się poetyczne obrazy, jeden słodszy od drugiego, i we wszystkich tych obrazach widział siebie sytym, zadowolonym, zdrowym, było mu ciepło, nawet gorąco! Oto po zimnym jak lód chłodniku leży brzuchem do góry na gorącym piasku koło samej rzeczki czy w ogrodzie pod lipą... Gorąco... Synek i córka pełzają obok, grzebią się w piasku albo łapią w trawie jakieś robactwo. A on drzemie sobie słodko, o niczym nie myśli i rozkoszuje się świadomością, że nie musi iść do pracy ani dziś, ani jutro, ani pojutrze. A jak znudzi mu się leżeć, idzie na sianokosy czy do lasu po grzyby, albo obserwuje, jak chłopcy ryby łowią. Zachodzi słońce, bierze więc prześcieradło, mydło i idzie rozleniwiony na kąpielisko, tam powoli się rozbiera, długo poklepuje dłońmi gołą pierś i wchodzi do wody. A w wodzie, koło matowych kręgów po mydle, rybki się kręcą, zielone wodorosty kołyszą. Po kąpeli herbata ze śmietanką i słodkimi preclami... Wieczorem spacerek lub wint z sąsiadami.

– Tak, dobrze by było posiadłość nabyć – mówi rozmarzona żona i widać po jej twarzy, że jest oczarowana piękną perspektywą.

Iwan Dmitrycz wyobraża sobie jesień z deszczem, chłodnymi wieczorami i babim latem. W tym okresie trzeba jak najdłużej spacerować po ogrodzie, po lesie, wzdłuż rzeki, żeby porządnie zmarznąć, a po powrocie wypić kieliszek wódeczki i zakąsić marynowanym rydzelem czy ogórkiem kiszonym z koperkiem i – wychylić następny. Dzieci biegną z ogródka z marchewką i rzodkwią, pachnącą świeżą ziemią... Później wyciągnąć się na kanapie i przeglądać leniwie jakieś ilustrowane czasopismo, a za chwilę przykryć czasopismem twarz, rozpiąć kamizelkę i pogążyć się w drzemce...

Po babim lecie przychodzą pochmurne, szare dni. Cały czas leje, z gołych drzew kapie, wiatr jest zimny i wilgotny. Psy, konie, kury – wszystko mokre, ponure, smutne. Spacerować nie ma gdzie, zostaje tylko przechadzać się przez cały dzień z kąta w kąt i patrzeć z utęsknieniem przez szare szyby. Nuda!

Iwan Dmitrycz zatrzymał się i spojrzał na żonę.

– Wiesz co, Maszo, za granicę bym pojechał – powiedział.

I zaczął myśleć, jak dobrze by było pojechać późną jesienią za granicę, gdzieś do południowej Francji, Włoch... do Indii!

– Też bym koniecznie za granicę pojechała – powiedziała żona. – No, sprawdź w końcu numer biletu!

– Czekaj! Czekaj...

Przechadzał się po pokoju i rozmyślał dalej. I przyszło mu do głowy: a co, jeśli żona rzeczywiście pojedzie za granicę? Podróżować lepiej samemu albo w towarzystwie kobiet wesołych, beztroskich, żyjących chwilą, a nie z takimi, co przez całą drogę myślą i mówią wyłącznie o dzieciach, wzdychają, boją się wszystkiego i trzęsą nad każdym groszem. Iwan Dmitrycz wyobraził już sobie żonę w przedziale z mnóstwem tobołków, koszyków, pakunków, która wzdycha nad czymś i skarży się, że głowa ją boli od tego jechania, że za dużo pieniędzy poszło, co chwilę trzeba biegać na stację po wrzątek, kanapki, wodę... Na obiad iść nie chce, bo drogo...

„Zapewne każdy grosz by mi liczyła – pomyślał, zerkając na żonę. – Przecież to jej los, nie mój! I po co jej zagranica? Czego ona tam nie widziała? I tak będzie w hotelu siedzieć i mnie przy sobie trzymać... Znam ją!”

I po raz pierwszy w życiu zwrócił uwagę na to, że się postarzała, zbrzydła, cała przesiąkła zapachem kuchni, a on jest wciąż jeszcze młody, zdrowy, świeży, nic, tylko drugi raz się żenić.

„Oczywiście, wszystko to błahostki i głupstwa – myślał – ale... po co jej za granicę jechać? Co ona tam wie? A przecież pojechałaby... Wyobrażam sobie... A dla niej czy Neapol, czy Klin – wszystko jedno. Tylko by mi przeszkadzała. Całkowicie bym od niej zależał. Już to sobie wyobrażam, nie zdążyłaby pieniądze dostać, od razu by je, jak to baba, na siedem spustów zamknęła... Przede mną by chowała... Wszystko dla krewniaków swoich, a mnie każdy grosz by liczyła”.

No właśnie... krewniacy. Wszyscy ci kuzyni, kuzynki, cioteczki, wujaszki natychmiast przylecą, dowiedziawszy się o wygranej, zaczną żebrać, przymilnie się uśmiechać, podlizywać. Wstrętne, nędzne ludziska! Dasz, wciąż będą prosić, nie dasz – zaczną przeklinać, plotkować, źle życzyć.

Iwan Dmitrycz przypomniał sobie swoich krewnych i ich twarze, które były mu dotąd obojętne, wydawały się teraz wstrętne, nienawistne.

„To takie świnię!” – pomyślał.

Twarz żony też zaczęła się wydawać wstrętą, nienawistną. Wzbierał w nim gniew na nią.

„Nie zna się na pieniądzech, dlatego jest skąpa. Jak by wygrała, dałaby mi ze sto rubli, a resztę – pod klucz” – pomyślał złośliwie.

Patrzył teraz na żonę z nienawiścią. Ona również spojrzała na niego i też z nienawiścią i złością. Miała własne piękne marzenia, własne plany, własne zamierzenia; dobrze wiedziała, o czym marzy jej mąż. Wiedziała, kto pierwszy położy łapę na jej wygranej.

„Dobrze o cudzym marzyć! – mówiło jej spojrzenie. – Nie, nie masz żadnego prawa!”

Zrozumiał, co go czeka; nienawiść wezbrała w jego piersi i żeby zdenerwować żonę, szybko zerknął na czwartą stronę gazety i obwieścił z triumfem:

– Seria dziewięć tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć, los czterdzieści sześć! A nie dwadzieścia sześć!

Po nadziei i nienawiści nie zostało śladu, a pokoje od razu wydały się ciemne, małe i niskie, zjedzona kolacja – ciężka, wieczory – długie i nudne...

– A żeby to szlag – powiedział Iwan Dmitrycz, zaczynając kaprysić. – Na każdym kroku jakieś śmieci, okruchy, skorupy. Nigdy nie posprzątaj porządnie! A niech to wszystko cholera weźmie, dłużej w tym domu nie wytrzymam! Pójdę i powieszę się na pierwszym lepszym drzewie.



## WOŁODIA

Wołodia, siedemnastoletni chłopak, brzydki, mizerny i nieśmiały, siedział pewnej letniej niedzieli gdzieś koło piątej po południu w altance na dacy Szumichinów i śmiertelnie się nudził. Jego ponure myśli krążyły wokół trzech spraw. Po pierwsze, miał jutro egzamin pisemny z matematyki i wiedział, że jak go nie zaliczy, wyleci ze szkoły, bo siedział w szóstej klasie już drugi rok i miał z algebry roczną ocenę 2 3/4. Po drugie, jego obecność u Szumichinów, ludzi zamożnych i uważających się za arystokratów, boleśnie raniła jego dumę. Wydawało mu się, że *m-me* Szumichina i jej siostrzenice patrzają na niego i jego *maman* jak na ubogich krewnych i darmożjadów, że nie szanują *maman* i naśmiewają się z niej. Podслуchał pewnego razu niechcący, jak *m-me* Szumichina mówiła na werandzie do swojej kuzynki Anny Fiodorowny, że jego *maman* stara się wyglądać młodziej i wciąż się maluje i stroi, że nigdy nie płaci przegranej, i ma słabość do cudzych butów i tytoniu. Każdego dnia błagał ją, żeby nie jechała do Szumichinów tłumacząc jej, jaką poniżającą rolę gra u tych nadętych arystokratów, przekonywał, robił się arogancki, ale ta lekkomyślna i rozpieszczona kobieta, która roztrwonila w swym życiu dwa majątki – swój i męża, i którą zawsze ciągnęło do wyższych sfer, nie chciała go nawet słuchać; nie pozostawało mu więc nic innego, jak odprowadzać ją dwa razy w tygodniu do tej przeklętej dacy.

Po trzecie, nie mógł uwolnić się od dziwnego, nieprzyjemnego uczucia, które było dla niego czymś zupełnie nowym... Wydawało mu się, że jest zakochany w goszczącej u Szumichinej kuzynce Annie Fiodorownie. Była to ruchliwa, hałaśliwa i skora do śmiechu paniusia koło trzydziestki, tryskająca zdrowiem, krzepka, różowa, z pulchnymi ramionami, okrągłym, tłustym podbródkiem i wiecznym uśmieszkiem na wąskich wargach. Była brzydka i niemłoda – Wołodia dobrze o tym wiedział, ale z niewiadomych mu przyczyn nie mógł przestać o niej myśleć i wciąż patrzył się na nią, jak ruszała swymi krągłymi ramionami i grubymi plecami grając w krykieta, albo rzucała się po długim śmiechu i bieganinie po schodach na fotel i zmrużywszy oczy, ciężko oddychała udając, że ścisza ją w piersi. Była zameżna. Jej mąż, poważny architekt, przyjeżdżał raz w tygodniu na daczę, dobrze się wysypiał i wracał do miasta. Wołodia poczuł się dziwnie od tego momentu, kiedy bez żadnej przyczyny zniechęcił architekta i ucieszył się z jego wyjazdu.

Siedząc w altance i rozmyślając o jutrzejszym dniu i o *maman*, z której wszyscy się wyśmiewają, marzył o Niucie (jak Szumichinowie nazywali Annę Fiodorownę), pragnął usłyszeć jej śmiech, szelest sukni... Pragnienie to nie miało nic wspólnego z czystą, romantyczną miłością, którą znał z powieści i o której marzył co wieczór idąc do łóżka; było dziwne, niepojęte, wstydział się go i bał, jak czegoś bardzo złego i brudnego, do czego ciężko przyznać się nawet samemu sobie...

– To nie miłość – mówił do siebie. – W trzydziestoletnich i zameżnych nie zakochują się... To po prostu nic nie znaczący flirt... Tak, flirt...

Myśląc o flircie przypominał sobie o swej okropnej nieśmiałości, braku wąsów, piegach, wąskich oczach, stawiał siebie obok Niuty – i para ta wydawała mu się nie do przyjęcia; wtedy szybko wyobrażał sobie, że jest piękny, pewny siebie, błyskotliwy, modnie ubrany.

Kiedy siedział tak zgarbiony i pogrążony w swych myślach w ciemnym kąciku altanki z wbitym w ziemię wzrokiem, rozległy się lekkie kroki. Ktoś nie śpiesząc się szedł aleją. Za chwilę kroki ucichły i przy wejściu mignęło coś białego.

– Jest tu ktoś? – spytał kobiecy głos.

Poznał ten głos i podniósł przestraszony głowę.

– Kto tu jest? – spytała Niuta, wchodząc do altanki. – Ach, to pan? Co pan tu robi? Myśli? I jak to można tylko myśleć, myśleć i myśleć... w ten sposób i zwariować można!

Wstał i popatrzył zmieszany na Niutę. Wracala z kąpieliska. Z jej ramienia zwisało prześcieradło i włochaty ręcznik, spod białej jedwabnej chustki widać było mokre włosy przyklejone do czoła. Pachniała wilgocią, chłodną wodą i migdałowym mydłem. Była zdyszana po spacerze. Górny guzik bluzki miała rozpięty, więc chłopak widział i szyję, i pierś.

– I czemu pan milczy? – zapytała Niuta, spoglądając na Wołodę. – Niegrzecznie jest milczeć, kiedy dama do pana się zwraca. Ależ z pana niedźwiedź, Wołodia! Cały czas siedzi, milczy, myśli jak filozof jakiś. Nie ma w panu ani krzty życia i temperamentu. Jest pan wstrętny. W pańskim wieku trzeba żyć, biegać, pleść bzdury, uganiać się za kobietami, zakochiwać się.

Wołodia patrzył zamyślony na prześcieradło, które trzymała biała pulchna ręka...

– Milczy! – zdziwiła się Niuta. – Zdumiewa mnie pan... Zwracam się do pana, niech pan będzie mężczyzną! No, niech się pan chociaż uśmiechnie! Faj, wstrętny filozof! – roześmiała się. – Wie pan, czemu jest pan takim niedźwiedziem? Bo nie zaleca się pan do kobiet. Dlaczego pan się nie zaleca? Wprawdzie nie ma tu panienek, ale co panu przeszkadza zalecać się do dam! Czemu pan, na przykład do mnie się nie zaleca?

Wołodia słuchał i o czymś ciężko, usilnie myślał, pocierając skroń.

– Milczą i lubią odosobnienie tylko bardzo pyszni ludzie – ciągnęła Niuta, odrywając jego rękę od skroni. – Jest pan zarozumiały, Wołodia. Czemu pan patrzy spode łba? Niech pan będzie łaskaw patrzeć mi prosto w oczy! Śmiało, niedźwiedziu!

Wołodia postanowił wreszcie przemówić. Próbował się uśmiechnąć, poruszył dolną wargą, zamrugał, a jego ręka znów powędrowała w stronę skroni.

– Ja... kocham panią! – powiedział.

Niuta ze zdziwieniem uniosła brwi i wybuchła śmiechem.

– Co słyszę ja?! – zaśpiewała tak jak to robią śpiewacy operowi, kiedy słyszą coś strasznego. – Co? Co pan powiedział? Niech pan powtórzy...

– Ja... kocham panią! – powtórzył Wołodia.

Popychany jakąś dziwną siłą, zrobił pół kroku w stronę Niuty i chwycił ją za rękę powyżej dłoni. W oczach mu pociemniało i ukazały się w nich łzy, a cały świat skurczył się do rozmiarów włochatego ręcznika pachnącego kąpieliskiem.

– Brawo, brawo! – usłyszał wesoły śmiech. – Czemu pan milczy! Chcę, żeby pan mówił! Hejże!

Widząc, że Niuta wcale mu się nie opiera, Wołodia zerknął na jej roześmianą twarz i niezgrabnie objął ją w talii, a jego dłonie zetknęły się na jej plecach. Trzymał ją teraz obiema rękami, a ona założywszy ręce za głowę tak, że widać było dołeczki na łokciach, poprawiała fryzurę i mówiła spokojnie:

– Trzeba, Wołodia, być zręcznym, uprzejmym, miłym, a takim można się stać tylko pod wpływem damskiego towarzystwa. Ależ pan ma niedobry... zły wyraz twarzy. Trzeba mówić, trzeba się uśmiechać... No, Wołodia, niech pan nie będzie mrukiem, jest pan młody, zdąży się pan jeszcze nafilozofować. Niech pan mnie puści, pójdę już! Proszę mnie puścić!

Bez trudu się uwolniła z jego objęć i podśpiewując wyszła z altanki. Wołodia został sam. Poprawił włosy, uśmiechnął się i ze trzy razy przeszedł z kąta w kąt, potem usiadł na ławce i znów się uśmiechnął. Było mu okropnie wstyd, dziwił się nawet, że można aż tak się wstydzić. Uśmiechał się ze wstydu, szeptał coś bez sensu i wymachiwał rękami.

Było mu wstyd, że obeszli się z nim jak z małym chłopcem, wstyd za swoją nieśmiałość, ale głównie za to, że odważył się objąć porządną, zamężną kobietę, chociaż ani wiek, ani jego powierzchowność, ani pozycja społeczna, jak mu się wydawało, nie uprawniały go do tego.

Poderwał się z miejsca, wybiegł z altanki i podążył w głąb parku, jak najdalej od domu.

„Ach, żeby jak najszybciej stąd wyjechać! – myślał, chwytając się za głowę. – Boże, jak najszybciej!”

Pociąg, którym Wołodia wyjeżdżał z *maman*, odchodził o ósmej czterdzieści. Zostawało jeszcze około trzech godzin, ale z przyjemnością poszedłby na stację już teraz, nie czekając na *maman*.

Po siódmej skręcił się w stronę domu. Cała jego postawa wyrażała zdecydowanie: niech będzie, co ma być! Postanowił wejść śmiało, patrzeć prosto w twarz, mówić głośno, na nic nie zważając.

Minął werandę, dużą salę, salon i zatrzymał się, żeby odetchnąć. Słyszał stąd, jak w jadalni obok pili herbatę. *M-me Szumichina, maman* i Niuta rozmawiały o czymś i śmiały się.

Wołodia zaczął nasłuchiwać.

– Zapewniam panie! – mówiła Niuta. – Własnym oczom nie mogłam uwierzyć! Kiedy wyznał mi miłość i nawet, proszę sobie wyobrazić, objął moją talię, nie poznałam go. I wiecie co, ma coś w sobie! Kiedy powiedział, że zakochał się we mnie, miał w twarzy coś dzikiego jak Czerkies.

– Coś podobnego! – stęknęła *maman*, zanosząc się przeciągłym śmiechem. – Coś podobnego! Jak on mi przypomina swego ojca!

Wołodia zawrócił i wybiegł na świeże powietrze.

„Jak one mogą głośno o tym mówić! – zadreślał się, wymachując rękami i patrząc z przerażeniem w niebo. – Głośno, spokojnie... I *maman* się śmiała... *maman*! Boże miłosierny, dlaczego dałeś mi taką matkę? Dlaczego?”

Musiał jednak wrócić do domu, nie miał wyboru. Przeszedł się ze trzy razy wzdłuż alei, trochę ochłonął i wszedł.

– No i czemu spóźnia się pan na herbatę? – zganiła go Szumichina.

– Przepraszam, muszę...muszę jechać – wymamrotał nie podnosząc wzroku. – Już ósma, *maman*!

– Jedź sam, mój drogi – powiedziała melancholijnym tonem *maman* – zostaję na noc u Lili. Żegnaj, mój przyjacielu... Pozwól, że cię przeżegnam...

Przeżegnała syna i powiedziała po francusku do Niuty:

– Jest trochę podobny do Lermontowa... Nieprawdaż?

Jakoś tam się pożegnał i nie podnosząc wzroku wyszedł z jadalni. Dziesięć minut później przemierzał drogę do stacji i cieszył się z tego. Nie czuł już ani strachu, ani wstydu, oddychał lekko i swobodnie.

W odległości pół wiorsty do stacji usiadł na kamieniu przy drodze i zapatrzył się na słońce, które chowało się za nasypem. Na stacji paliły się gdzieś światła i migotało mętne zielone światełko, ale pociągu jeszcze nie było. Podobało mu się siedzieć ot tak, bez ruchu i nasłuchiwać, jak powoli nadciąga wieczór. Półmrok altanki, kroki, zapach kąpieliska, śmiech i kibić – widział to wszystko jak na jawie i nie uważał już za takie straszne i ważne jak przedtem.

„Głupstwo... Nie wyrwała ręki i śmiała się, kiedy trzymałem jej kibić – myślał – więc podobało jej się. W przeciwnym razie rozgniewałaby się...”

Żałował teraz, że nie miał w altance dość śmiałości. Żałował, że tak głupio wyjeżdża i był przekonany, że jakby znów nadarzyła się taka okazja, byłby śmielszy i nie komplikowałby tak sprawy.

A znaleźć okazję nie jest wcale tak trudno. U Szumichinów po kolacji długo spacerowali. Jeżeli pójdzie z Niutą na spacer do ciemnego parku, to.. oto i okazja!

„Wrócę – pomyślał – wyjadę jutro porannym pociągiem... Powiem, że spóźniłem się na pociąg”.

No i wrócił... *M-me* Szumichina, *maman*, Niuta i jedna z kuzynek siedziały na werandzie i grały w winta. Kiedy Wołodia skłamał, że spóźnił się na pociąg, poradziły mu, żeby wstał jutro wcześniej. Przez cały czas, póki grały w karty, siedział obok, pożądliwie patrząc na Niutę, i czekał... Miał już w głowie przygotowany plan: podejdzie w ciemnościach do Niuty, weźmie ją za rękę, a potem obejmie; nic nie trzeba będzie mówić, bo i tak wiadomo, o co chodzi.

Ale po kolacji damy nie poszły na spacer do parku i dalej grały w karty. Grały do pierwszej w nocy i poszły od razu spać.

„Ależ głupio wyszło! – złościł się Wołodia, kładąc się do łóżka. – No nic, poczekam do jutra... Jutro znów w altance. Nic się nie stało...”

Nawet nie próbował zasnąć, siedział na łóżku, obejmując rękami kolana, i rozmyślał. Odganiał od siebie myśl o egzaminie. Pogodził się już z myślą, że go wyrzucą i nie widział w tym nic strasznego. Wręcz przeciwnie, wszystko jest dobrze, nawet bardzo dobrze. Jutro będzie wolny jak ptak, zdejmie mundurek, zacznie otwarcie palić, jeździć tu i zalecać się do Niuty, kiedy tylko będzie chciał; i nie będzie już gimnazjalistą, a „młodym człowiekiem”. A z resztą, z tym co się zwie karierą i przyszłością, wszystko jasne: zaciągnie się jako ochotnik do wojska, pójdzie na telegrafistę, do apteki wreszcie, gdzie dojdzie do prowizora... mało to jest posad? Minęła godzina, druga, a on wciąż siedział i myślał...

Po drugiej, kiedy zaczęło już świtać, drzwi cicho skrzypnęły i do pokoju weszła *maman*.

– Nie śpisz? – zapytała ziewając. – Śpij, śpij, ja na chwilę... Tylko krople wezmę...

– Po co?

– Biedna Lila znów ma skurcze. Śpij, moje dziecko, masz jutro egzamin...

Wyciągnęła z szafki napełniony czymś flakonik, podeszła do okna, przeczytała sygnaturę i wyszła.

– Mario Leontjewno, to nie te krople! – usłyszał za chwilę kobiecy głos. – To konwalia, a Lila prosi o morfinę. Pani syn śpi? Niech pani go poprosi, żeby poszukał...

Był to głos Niuty. Wołodia zdrętwiał. Szybko założył spodnie, narzucił na plecy szynel i skierował się do drzwi.

– Rozumie pani? Morfina! – szeptem objaśniała Niuta. – Powinno tam być napisane po łacinie. Niech pani obudzi Wołodię, on znajdzie...

*Maman* otworzyła drzwi i Wołodia zobaczył Niutę. Była w tej samej bluzce, w której chodziła się kąpać. Jej potargane włosy spadały na ramiona, twarz miała zaspaną, smagłą w półmroku...

– O, Wołodia nie śpi... – powiedziała. – Wołodia, niech pan poszuka, kochaniutki, morfiny w szafce! Same kłopoty z tą Lili... Zawsze u niej coś.

*Maman* coś wymamrotała, ziewnęła i poszła do swojego pokoju.

– No, niech pan szuka – powiedziała Niuta. – I czego pan tak stoi?

Wołodia podszedł do szafki, kucnął i zaczął przebierać flakoniki i pudełka z lekarstwami. Jego ręce drżały, czuł w piersi i w brzuchu zimne fale, które przewalały się przez jego wnętrzości. Od zapachu eteru, karbolu i różnych traw, które chwycił bez potrzeby i które rozsypywały się w jego drżących rękach, zrobiło mu się niedobrze i zakręciło w głowie.

„*Maman* chyba poszła – myślał. – To dobrze...dobrze...”

– Długo jeszcze? – zapytała przeciągle Niuta.

– Już... To chyba morfina... – powiedział Wołodia przeczytawszy na jednej z sygnatur „morph...” – Proszę!

Niuta stała w drzwiach, trzymając jedną nogę na korytarzu, a drugą w jego pokoju. Poprawiała włosy, które trudno było doprowadzić do porządku – były takie gęste i długie! – i z roztargnieniem patrzyła na Wołodię. W obszernej bluzce, zaspana, z rozpuszczonymi włosami, w skąpym świetle, które wpadało do pokoju z białego, nie oświetlonego jeszcze

słońcem nieba, wydawała się czarująca, boska... Zachwycony, drżąc na całym ciele i z rozkoszą wspominając, jak obejmował to cudowne ciało w altance, podał jej krople i powiedział:

– Jaka pani jest...

– Proszę?

Weszła do pokoju.

– Proszę? – zapytała z uśmiechem.

Milczał i patrzył na nią, potem, tak jak w altance, wziął ją za rękę... A ona patrzyła na niego, uśmiechała się i czekała: co będzie dalej?

– Kocham panią... – wyszeptał.

Przestała się uśmiechać, zastanawiała się przez chwilę i powiedziała:

– Niech pan zaczeka, chyba ktoś idzie. Ach, ci gimnazjaliści! – mówiła cicho, idąc do drzwi i wyglądając na korytarz. – Nie, nie ma nikogo...

Wróciła...

Przez chwilę pokój, Niuta, świt i on sam – wszystko zlało się w jedno uczucie ostrego, niezwykłego, niesłychanego szczęścia, za które gotów był oddać życie i pójść na wieczną mękę, ale uczucie to bardzo szybko zniknęło. Widział teraz przed sobą okrągłą, brzydką twarz, zniekształconą wyrazem obrzydzenia i sam poczuł wstręt do tego, co się stało.

– No nic, muszę już iść – powiedziała Niuta, spoglądając na Wołodię z niesmakiem. – Ależ brzydki, żaloszny... fuj, brzydkie kaczątko!

Jakież ohydne wydawały się teraz Wołodii jej długie włosy, obszerna bluzka, jej kroki, głos!..

„Brzydkie kaczątko... – pomyślał po jej wyjściu. – Ma rację, jestem wstrętny... Wszystko jest wstrętne”.

Za oknem wschodziło słońce, głośno śpiewały ptaki; słyhać było, jak w parku krzątał się ogrodnik i skrzypiała jego taczka... A za chwilę rozległo się ryczenie krów i dźwięki pastuszej fujarki. Blask słońca i dźwięki przypomniały mu o tym, że istnieje gdzieś życie czyste, piękne, romantyczne. Ale gdzie? Wołodia nigdy nie słyszał o nim ani od *maman*, ani od tych wszystkich ludzi, którzy byli wokół.

Kiedy służący budził go na poranny pociąg, udawał, że śpi...

„Do diabła ze wszystkim!” – pomyślał.

Wstał po dziesiątej. Czesząc się przed lustrem i patrząc na swoją brzydką, bladą po nieprzespanej nocy, twarz, pomyślał:

„To prawda... Brzydkie kaczątko”.

Kiedy *maman* go zobaczyła i przestraszyła się, że nie jest na egzaminie, powiedział:

– Zaspąłem, *maman*... Ale proszę się nie niepokoić, zdobędę zaświadczenie lekarskie.

Madam Szumichina i Niuta obudziły się po dwunastej. Wołodia słyszał, jak Szumichina głośno otworzyła okno, jak na jej niski głos Niuta odpowiedziała gromkim śmiechem. Widział, jak otworzyły się drzwi i zaczęły nadciągać gęsiego kuzynki i rezydentki (w tłumie tych ostatnich była i *maman*), jak pojawiła się umyta, roześmiana twarz Niuty, a obok niej czarne brwi i broda jej męża, który właśnie przyjechał.

Miała na sobie małoruski strój, w którym wyglądała źle i niezgrabnie; zarty architekta były płaskie i niesmaczne; w kotletach było za dużo cebuli – jak się Wołodii wydawało. Wydawało mu się również, że Niuta specjalnie głośno się śmiała i zerkala w jego stronę, żeby pokazać mu, iż to, co się stało w nocy, nie ma dla niej żadnego znaczenia i że ignoruje obecność brzydkiego kaczątka przy stole.

Po trzeciej Wołodia jechał z *maman* na stację. Nieczyste wspomnienia, nieprzespana noc, groźba wyrzucenia z gimnazjum, wyrzuty sumienia – wszystko to wzniecało w nim ciężką,

mroczną złość. Patrzył na wychudły profil *maman*, na jej malutki nosek, na pelerynę, którą dostała od Niuty i burczał:

– Po co *maman* się pudruje? Nie wypada w wieku *maman*! *Maman* się upiększa, nie płaci przegranej, pali cudzy tytoń... obrzydliwość! Nie Kocham *maman*... nie Kocham!

Znieważał ją, a ona wodziła oczkami, załamywała rączki i szeptała przerażona:

– Co ci jest, mój drogi? Mój Boże, woźnica usłysz! Przestań, bo woźnica usłysz! On wszystko słyszy!

– Nie Kocham... nie Kocham! – ciągnął ciężko dysząc. – Jesteście zepsuta, bezduszna... Nie pozwalam nosić tej peleryny! Słyszycie? Bo podrę ją na strzepy...

– Opamiętaj się, moje dziecko! – rozplakała się *maman*. – Woźnica usłysz!

– A gdzie majątek mego ojca? Gdzie wasze pieniądze? Wszystko przepuściliście! Nie wstydę się tego, że jestem biedny, ale że mam taką matkę... Kiedy koledzy pytają o was, zawsze się czerwienię.

Do miasta były dwie stacje. Przez całą drogę Wołodia stał na platformie i drżał na całym ciele. Nie chciał wchodzić do wagonu, bo tam siedziała matka, której nienawidził. Nienawidził również siebie, konduktorów, dymu lokomotywy, zimna, od którego, jak mu się wydawało, tak drżał... I im ciężej robiło mu się na sercu, tym mocniej czuł, że istnieje gdzieś na tym świecie życie czyste, szlachetne, ciepłe, piękne, przepelnione miłością, radością, wolnością... Czuł to i tęsknił za tym tak mocno, że jakiś pasażer popatrzył się na niego uważnie i zapytał:

– Pana chyba zęby bolą?

*Maman* mieszkała z Wołodią u Marii Pawłowny, damy-szlachcianki, która wynajmowała duże mieszkanie i trzymała u siebie lokatorów. Zajmowali dwa pokoje: w jednym, z oknami, gdzie stało łóżko i na ścianach wisiły dwa obrazy w złotych ramach, mieszkała *maman*, a w drugim, przyległym, ciemnym i malutkim, Wołodia. Miał tylko kanapę, na której spał, i nic więcej; cały pokój był zastawiony wiklinowymi koszami z ubraniami, pudłami po kapeluszach i innymi rupieciami, które, nie wiadomo po co, przechowywała *maman*. Lekcje Wołodia odrabiał w pokoju *maman* albo we „wspólnym” – jak nazywano duży pokój, w którym zbierali się lokatorzy w czasie obiadu i kolacji.

Po powrocie do domu położył się na kanapie i przykrył kołdrą, żeby się ogrzać. Pudła po kapeluszach, kosze i rupiecie przypomniały mu, że nie ma własnego pokoju, nie ma miejsca, gdzie mógłby się ukryć od *maman*, jej gości i głosów, które było słuchać ze „wspólnego” pokoju; tornister i książki, porzucane po kątach, przypomniały mu o egzaminie, na który nie poszedł... Przypomniał mu się nagle *Menton*, gdzie mieszkał ze swym nieżyjącym już ojcem, kiedy miał siedem lat; przypomniało mu się *Biarritz* i dwie małe Angielki, z którymi biegał po piasku... Chciał przywołać w pamięci kolor nieba i oceanu, wysokość fal i swój ówczesny nastrój, ale nie udało mu się; Angielki widział jak żywe, a cała reszta się poplątała i rozwiała...

„Nie, zimno tu” – pomyślał Wołodia, podniósł się, założył szynel i poszedł do „wspólnego” pokoju.

We „wspólnym” pili herbatę. Przy samowarze siedzieli we trójkę: *maman*, nauczycielka muzyki – starszka w rogowym *pince-nez*, i Augustyn Michajłycz, gruby Francuz w podeszłym wieku, który pracował w fabryce perfumeryjnej.

– Nie jadłam dzisiaj obiadu – mówiła *maman*. – Trzeba by wysłać pokojówkę po chleb.

– Duniasza! – krzyknął Francuz.

Jak się okazało, pokojówkę już po coś wysłano.

– O, to nic – powiedział Francuz z szerokim uśmiechem. – Sam się przejdę. O, to nic!

Odłożył swoje mocne, śmierdzące cygaro na widoczne miejsce, założył kapelusz i wyszedł. Po jego odejściu *maman* zaczęła opowiadać nauczycielce muzyki, jak to ona była w gościach u Szumichinów i jak wspaniale ją tam przyjmowali.

– Przecież Lili Szumichina jest moją krewną... – mówiła. – Jej świętej pamięci mąż, generał Szumichin, był kuzynem mego męża. A ona sama z domu baronówna Kolb...

– *Maman*, to nieprawda! – powiedział Wołodia rozdrażnionym tonem. – Po co kłamać?

Dobrze wiedział, że *maman* mówi prawdę; w jej opowiadaniu o generale Szumichinie i baronównie Kolb nie było ani słowa nieprawdy, ale mimo tego czuł kłamstwo w jej słowach. Kłamstwo było w jej sposobie mówienia, w wyrazie twarzy, spojrzeniu, we wszystkim.

– Kłamiecie! – powtórzył Wołodia i uderzył pięścią w stół z taką siłą, że zadrżały wszystkie naczynia i u *maman* rozlała się herbata. – Po co opowiadacie o generałach i baronównach? Wszystko to kłamstwo!

Nauczycielka muzyki zmieszana się i zakaszła w chustkę udając, że się zakrztusiła, a *maman* się rozpląkała.

„Dokąd pójść?” – pomyślał Wołodia.

Na dworze już był; do kolegów iść wstyd. Znów nie w porę przypomniały mu się dwie małe Angielki... Przeszedł się po „wspólnym” i wszedł do pokoju Augustyna Michajłyca. Unosił się tu mocny zapach olejków eterycznych i glicerynowego mydła. Na stole, na oknach i nawet na krzesłach stało mnóstwo flakoników, szklaneczek i kieliszków z różnokolorowymi płynami. Wołodia wziął gazetę, rozwinął ją i przeczytał nagłówek: „*Figaro*”... Gazeta wydzielala mocną i przyjemną woń. Potem wziął ze stołu rewolwer...

– Niech się pani tak nie zamartwia! – pocieszała *maman* w sąsiednim pokoju nauczycielka muzyki. – Jest jeszcze taki młody! W jego wieku zawsze przesadzają. Trzeba się z tym pogodzić.

– Nie, Jewgienjo Andriejewno, on jest taki zepsuty! – mówiła *maman* przeciągle. – Trzeba mu kogoś starszego, jestem za słaba i nie mogę z nim sobie poradzić. Jestem taka nieszczęśliwa!

Wołodia włożył lufę rewolweru do ust, wymacał coś podobnego do kurka lub spustu i nacisnął... Potem wymacał jeszcze jakiś występ i ponownie nacisnął. Wyciągnął lufę z ust, wytarł ją o połą szynelu, oglądnął zamek; nigdy w życiu nie trzymał w rękach broni...

– Zdaję się, że trzeba to podnieść... – zastanawiał się. – Tak, możliwe...

Do „wspólnego” wszedł Augustyn Michajłyca i śmiejąc się na cały głos, zaczął o czymś opowiadać. Wołodia znów włożył lufę do ust, ścisnął ją zębami i nacisnął na coś palcem. Rozległ się strzał... Coś ze straszną siłą walnęło Wołodię w tył głowy i on runął na stół twarzą prosto w kieliszki i flakoniki. Zobaczył, jak jego nieżyjący ojciec w cylindrze z szeroką żałobną krepu, którą nosił w *Menton* po śmierci jakiejś damy, objął go obiema rękami i razem zaczęli spadać w czarną, bezdenną otchłań.

A później wszystko się pomieszało i zniknęło...

## PASKUDNA HISTORIA

Grigorij Iwanowicz Owczynnikow, ziemski lekarz po trzydziestce, cherlawy i znerwicowany, znany z niedużych prac ze statystyki medycznej i gorącego przywiązania do tak zwanych „kwestii socjalnych”, robił pewnego ranka obchód w swoim szpitalu. Asystował mu jak zawsze felczer Michaił Zacharowicz, starszy człowiek z opasłą twarzą, prostymi tłustymi włosami i z kolczykiem w uchu.

Już na początku obchodu uwagę doktora zwrócił pewien drobny szczegół, który wydał mu się podejrzanym: kamizelka felczera marszczyła się i uporczywie podnosiła do góry, mimo, że ten co chwilę ją obciągał i poprawiał. Koszula była wymięta i również się marszczyła; na długim czarnym surducie, spodniach i nawet krawacie białł gdzieś tam puch... Wyglądało na to, felczer spał tej nocy w ubraniu i sądząc po tym, z jaką miną obciągał teraz kamizelkę i poprawiał krawat, ubranie go uwierało.

Doktor uważnie mu się przyjrzał i wszystko zrozumiał. Felczer nie kiwał się i składnie odpowiadał na pytania, ale jego ponura i tępa twarz, mętne oczy, dreszcze, przechodzące po szyi i rękach, nieład w ubraniu, a zwłaszcza wyteżony wysiłek, z jakim starał się zapanować nad sobą i zamaskować swój stan, świadczyły o tym, że dopiero co wstał z łóżka, nie wyspał się i jest wciąż jeszcze pijany, jest okropnie pijany od wczoraj... Miał straszno kaca, męczył się i był wyraźnie niezadowolony z siebie.

Doktor, który nie lubił felczera i miał ku temu wszelkie powody, chciał mu powiedzieć: „Widzę, że jest pan pijany!” Czuł wstręt do kamizelki felczera, jego długiego surduta, kolczyka w mięsistym uchu, ale powstrzymał się i zwrócił się do niego jak zwykle miękko i uprzejmie:

– Dostał Gierasym mleko?

– Tak jest... – odpowiedział Michaił Zacharycz równie miękko.

Rozmawiając z chorym Gierasymem, doktor zerknął na kartkę, gdzie była zapisywana temperatura, i poczuł nową falę nienawiści. Wstrzymał oddech, żeby nic nie powiedzieć, ale nie udało mu się i zapytał szorstko, z trudem łapiąc powietrze:

– Czemu temperatura nie zapisana?

– Ależ zapisana! – odpowiedział miękko Michaił Zacharycz, zerknął jednak na kartkę i przekonawszy się, że temperatura rzeczywiście nie została zapisana, wzruszył zmieszany ramionami i wymamrotał:

– Nie mam pojęcia, to widocznie Nadieżda Osypowna...

– I wczoraj wieczorem też nie została zapisana! – ciągnął doktor. – Tylko pić potraficie, żeby was szlag trafił! I teraz jesteście pijani jak szewc! Gdzie Nadieżda Osypowna?

Położnej Nadieżdy Osypowny na sali nie było, chociaż miała obowiązek asystować każdego ranka przy zmianie opatrunków. Doktor rozejrzał się dookoła i wydało mu się, że na sali nie jest posprzątane, że wszędzie bałagan, że nic, co powinno być zrobione, zrobione nie jest i że wszystko tak samo się marszczy, gniecie i jest pokryte puchem, jak wstrętne kamizelka felczera. Miał ochotę zerwać z siebie biały fartuch, nakrzyczeć, rzucić wszystko, posłać do diabła i wyjść. Ale przełamał się i kontynuował obchód.

Po Gierasymie był chory z chirurgii z zapaleniem tkanki łącznej w całej prawej ręce. Czekał na zmianę opatrunku. Doktor usiadł przy nim na taborecie i zajął się jego ręką.

„To oni wczoraj na imieninach hulali... – myślał, zdejmując powoli opatrunek. – Czekać no, ja wam pokażę imieniny! Zresztą, co ja mogę zrobić? Nic.”

Wymacał na puchniętej, purpurowej ręce ropień i powiedział:

– Skalpel!

Michaił Zacharycz, chcąc udowodnić, że mocno trzyma się na nogach i nadaje się do pracy, zerwał się z miejsca i szybko podał doktorowi skalpel.



– Nie ten! Z nowych – powiedział doktor.

Felczer podreptał do stołu, na którym stało pudełko z materiałami opatrunkowymi i zaczął pośpiesznie w nim grzebać. Długo szeptał o czymś z siostrami, przesuwał pudło po stole, szeleścił, parę razy coś upuścił, a doktor siedział, czekał i czuł w plecach silne rozdrażnienie od tego szeptu i szmeru.

– Długo jeszcze?! – zapytał. – Widocznie na dole je zapomnieliście...

Felczer podleciał do niego, podał dwa skalpele, przy czym nie uważał i odetchnął w stronę doktora.

– To nie te! – powiedział doktor zirytowanym tonem. – Mówię do was po rosyjsku, z nowych. Zresztą, proszę stąd iść i się wyspać, niesie od was jak od beczki z piwem! Jesteście niepoczytalni!

– Jakich pan jeszcze noży potrzebuje? – zapytał z rozdrażnieniem felczer i leniwie wzruszył ramionami.

Był zły na siebie i wstydził się spojrzeń chorych i sióstr, skierowanych prosto na niego, i żeby pokazać, iż wcale nie jest mu wstyd, sztucznie się uśmiechnął i powtórzył:

– Jakich pan jeszcze noży potrzebuje?

Doktor poczuł łzy w oczach i drżenie w palcach. Ale przewyciężył się i powiedział drżącym głosem:

– Proszę stąd odejść i wyspać się! Nie mam zamiaru rozmawiać z pijanym...

– Może mnie pan tylko za pracę rozliczać – ciągnął felczer – a jeżeli, załóżmy, wypilem, to nikt nie ma prawa mi wypominać. Jestem w pracy? Jestem! To czego pan jeszcze chce?

Doktor podskoczył i nie panując nad swymi ruchami, zamachnął się z całej siły i uderzył felczera w twarz. Nie rozumiał, po co to robi, ale poczuł dużą satysfakcję, że uderzenie trafiło prosto w twarz i że człowiek solidny, rzeczowy, głowa rodziny, wierzący i znający swoją wartość zachwiał się, podskoczył jak piłka i usiadł na taborecie. Miał ogromną chęć przyłożyć mu jeszcze raz, ale zobaczył koło znieawidzonej twarzy blade, przestraszone twarze sióstr i od razu przestał odczuwać satysfakcję. Machnął ręką i wybiegł z sali.

Na dworze spotkał idącą do szpitala Nadieżdę Osypownę, dwudziestosiedmioletnią panienkę z bladożółtą twarzą i rozpuszczonymi włosami. Jej różowa bawełniana sukienka była mocno ściągnięta na dole, przez co musiała stawiać drobne i częste kroki. Szeleściła sukienką, wzruszała ramionami przy każdym kroku i kiwała głową jakby śpiewając w myślach coś wesołego.

„Aha, jesteś, rusalko!” – pomyślał doktor, przypomniawszy sobie, że położną przezywają w szpitalu rusalką, i zrobiło mu się przyjemnie na myśl, że zaraz postawi tę drobnokroczą, zakochaną w sobie strojnisię na miejsce.

– Gdzie pani przepadła? – krzyknął przechodząc obok niej. – Dlaczego pani nie w szpitalu? Temperatura nie zapisana, wszędzie bałagan, felczer pijany, pani śpi do dwunastej!.. Może pani szukać sobie innej pracy! Więcej tu pani nie pracuje!

Wróciwszy do domu, zerwał z siebie biały fartuch i ręcznik, którym był przepasany, rzucił to wszystko ze złością w kąt i zaczął przechadzać się po gabinecie.

– Boże, co za ludzie! – powiedział. – To nie pomocnicy, to wrogowie! Nie mam już sił tu pracować! Dłużej nie wytrzymam! Odchodzę!

Jego serce waliło, cały drżał i chciało mu się płakać. Próbując się opanować, zaczął uspakajać siebie myślami, że ma rację i że dobrze zrobił, uderzywszy felczera. Ale sprawa była paskudna. Felczer dostał się do szpitala nie sam, a po protekcji swej ciotki, będącej opiekunką do dzieci u przewodniczącego ziemskiego urzędu (wstręt bierze patrzeć na tę wpływową cioteczkę, kiedy zachowuje się w szpitalu jak we własnym domu i uważa, że powinna być przyjmowana bez kolejki). Felczer jest niezdyscyplinowany, wie mało, a i tego, co wie, nie rozumie. Pije, jest niechlujny, zachowuje się po chamsku, bierze łapówki od

chorych i potajemnie sprzedaje szpitalne leki. Wszyscy wiedzą również, że prowadzi praktykę i leczy u młodych mieszczan wstydlive choroby, stosując jakieś własne metody. Żeby to jeszcze był zwyczajny szarlatan, jakich wielu, ale to szarlatan z przekonania i w dodatku po cichu buntujący się. W tajemnicy przed doktorem stawia pacjentom bańki i puszcza krew, na operacjach asystuje z brudnymi rękami, dłubie w ranach brudnym zgłębnikiem – to chyba starczy, żeby zrozumieć, jak głęboko i zuchwale lekceważy medycynę, uprawianą przez doktora z fachowością i pedanterią.

Doktor poczekał, aż przestaną mu drżeć palce, usiadł przy stole i napisał list do przewodniczącego urzędu: „Szanowny Lwie Trofimowiczu! Jeżeli po otrzymaniu tego listu Pański urząd nie zwolni felczera Smirnowskiego i nie pozwoli mnie samemu wybierać sobie pomocników, będę zmuszony (niestety) prosić Pana przestać uważać mnie za lekarza N–kiego szpitala i postarać się znaleźć mojego następcę. Moje uszanowanie dla Lubowii Fiodorowny i Jusa. Z wyrazami szacunku G. Owczynnikow”. Ale przeczytawszy list, doktor doszedł do wniosku, że jest za krótki i nie dość oficjalny. Poza tym uszanowania dla Lubowii Fiodorowny i Jusa (takie przezwisko miał młodszy syn przewodniczącego) są w służbowym, oficjalnym liście nie na miejscu.

„Co ma do tego wszystkiego, do cholery, Jus?” – pomyślał doktor, podarł list i zaczął pisać od nowa. „Łaskawy Panie...” – zastanawiał się, siadając przy otwartym oknie i patrząc na kaczki z kaczetami, które kołyszac się i potykając biegly po drodze prawdopodobnie do stawu; jedno z kacząt znalazło na drodze jakieś flaki, zakrzusiło się i podniosło straszny pisk; drugie podbiegło do niego, wyciągnęło mu te flaki z dzioba i też się zakrzusiło. Daleko koło ogrodzenia, w koronkowym cieniu, który rzucały na trawę młode lipy, przechadzała się Daria i zbierała szczaw na zupe... Słysząc było głośy. Woźnica Zot z uzdą w rękach i szpitalny chłop Manujło w brudnym fartuchu stali koło szopy, o czymś rozmawiali i śmiali się.

„Pewnie o tym, że felczera uderzyłem... – myślał doktor. – Dziś cały powiat będzie wiedział o tym zajściu... No więc: „Łaskawy Panie! Jeżeli Pański urząd nie zwolni...”

Doktor wiedział, że urząd za nic w świecie nie zamieni go na felczera i prędzej zgodzi się na to, żeby nie mieć ani jednego felczera w całym powiecie niż stracić takiego wspaniałego człowieka jak doktor Owczynnikow. Lew Trofimowicz chyba natychmiast przyleci do niego powozem i zacznie lamentować: „I co panu do głowy przyszło, mój drogi? Gołębaczku, co to wszystko ma znaczyć? Bóg z panem! Po co? Z jakiej racji? Gdzie on jest? Dawać no mi tu tę kanalię! Wylać! Natychmiast wylać! Żeby jutro go, nikczemnika, tu nie było!” Potem zje z doktorem obiad, po obiedzie położy się, o, na tej malinowej kanapie brzuchem do góry, przykryje twarz gazetą i zacznie chrapać; po przebudzeniu napije się herbaty i zaprosi do siebie doktora z noclegiem. I cała historia skończy się na tym, że i felczer zostanie w szpitalu, i doktor nie odejdzie.

W głębi duszy chciał innego rozwiązania. Chciało mu się, żeby felczerowa cioteczka zwyciężyła i żeby urząd, nie patrząc na jego ośmioletnią uczciwą pracę, niezwłocznie i nawet z przyjemnością przyjął jego podanie o zwolnienie. Marzył o tym, jak będzie wyjeżdżał ze szpitala, do którego się przyzwyczaił, jak napisze list do gazety „Lekarz”, jak koledzy wręczą mu współczujący adres...

Na drodze pojawiła się rusalka. Stawiając drobne krocзки i szeleszcząc sukienką, podeszła do okna i zapytała:

– Grigoriju Iwanyczu, sam pan będzie przyjmował chorych czy robić to bez pana?

A jej spojrzenie mówiło: „Uniosłeś się, ale już się uspokoileś i jest ci wstyd, jestem jednak wyrozumiała i nie zwracam na to uwagi”.

– Dobrze, zaraz będę – powiedział doktor.

Znów założył fartuch, przypasał się ręcznikiem i poszedł do szpitala.

„Niedobrze, że uciekłem... – myślał po drodze. – Wygląda tak, jakbym speszył się albo przestraszył... Gimnazjalistę odegrałem... Niedobrze!”

Wydawało mu się, że jak wejdzie na salę, chorym niezręcznie będzie patrzeć na niego i jemu samemu zrobi się wstyd, ale kiedy wszedł, chorzy spokojnie leżeli w łóżkach i ledwo zwrócili na niego uwagę. Twarz chorego na gruźlicę Gierasyma była absolutnie obojętna i jakby mówiła: „Podpadł ci, więc go troszkę skarciłeś... Bez tego, kochaniutki, nie można.”

Doktor otworzył na purpurowej ręce dwa ropienie i zrobił opatrunek, potem poszedł na oddział kobiecy, gdzie wykonał jednej babie zabieg na oku; rusałka przez cały czas chodziła za nim i pomagała mu z taką miną jakby nic się nie stało i wszystko było w porządku. Po obchodzie zaczęli przyjmować pacjentów, którzy przyszli na wizytę. Okna w malutkim gabinecie doktora były otwarte na oścież. Wystarczyło usiąść na parapecie i trochę się schylić, żeby zobaczyć młodą trawę. Wczoraj wieczorem przeszła burza i trawa była trochę wymięta i lśniaca. Ścieżka, prowadząca obok okna do urwiska, wygląda jakby była umyta, tak samo porozrzucane po obu jej stronach potłuczone apteczne naczynia, w których odbijały się promienie słońca. Dalej, za ścieżką, przytulały się do siebie młode świerki ubrane w puszyste zielone sukienki, za nimi stały brzozy z białymi jak papier pniami, a przez lekko drżącą na wietrze zieleń brzoź widać było błękitne, bezdenne niebo. Skaczące po ścieżce szpaki odwracały w stronę okna głupie dzioby jakby zastanawiając się: przestraszyć się czy nie? I zdecydowawszy, że tak, unosiły się z krzykiem na wierzchołki brzoź jakby śmiejąc się z doktora, który nie potrafi latać...

Przez ciężką woń jodofornu przebijał się świeży aromat wiosennego dnia... Jak lekko się oddycha!

– Anna Spiridonowa! – wezwał doktor.

Do gabinetu weszła młoda baba w czerwonej sukience i pomodliła się do obrazu.

– Na co się skarżasz? – zapytał doktor.

Baba z obawą popatrzyła na drzwi, przez które weszła, oraz na drzwiczki, wiodące do apteki, podeszła do doktora i wyszeptwała:

– Dzieci nie mam!

– Kto jeszcze się nie zapisał? – krzyknęła w aptecce rusałka. – Niech się zapisuje!

„Już dlatego jest bydlakiem – myślał doktor badając babę – że zmusił mnie uderzyć. Nigdy w życiu się nie biłem”.

Anna Spiridonowa poszła. Po niej przyszedł staruszek ze wstydliwą chorobą, potem baba z trójką dzieci ze świerzbem i robota zawrzała. Felczer nie pokazywał się. Za drzwiczkami apteki, szeleszcząc sukienką i dzwoniąc naczyniami, wesoło świergotała rusałka; co chwilę wchodziła do gabinetu, żeby pomóc w zabiegu albo po receptę, i wszystko to z taką miną jakby nic się nie stało.

„Ciesz się, że uderzyłem felczera – myślał doktor, przysłuchując się głosowi położnej. – Przecież żyła z nim jak kot z psem i dla niej święto będzie, jak go zwolnią. I siostry też chyba się cieszą... Jakies to wstrętne!”

W szczyt przyjąć zaczęło mu się wydawać, że i położna, i siostry, a nawet chorzy, specjalnie starają się wyglądać obojętnie i wesoło. Jakby rozumieli, że jest mu wstyd i przykro, ale udawali z delikatności, że nie wiedzą o tym. Chcąc im więc udowodnić, że nie jest mu wcale wstyd, wołał gniewnie:

– Hej tam! Zamykajcie drzwi, bo przeciąg!

Ale było mu wstyd i ciężko. Przyjął czterdziestu pięciu chorych i niespiesznie wyszedł ze szpitala. Położna zdążyła już wpaść do swego mieszkania i narzucić na ramiona jaskrawoczerwoną chustę, a teraz z papierosem w zębach i kwiatem w rozpuszczonych włosach biegła dokądś, pewnie na prywatną wizytę lub w gości. Na progu szpitala siedzieli chorzy i w milczeniu wygrzewali się na słończku. Szpaki dalej hałasowały i uganiały się za

żukami. Doktor rozglądał się dookoła i myślał, że wśród wszystkich tych spokojnych, beztrioskich istnień jak dwa zepsute klawisze w fortepianie rzucały się w oczy i były tu zbędne tylko dwa życia: felczera i jego własne. Felczer pewnie się położył, żeby wytrzeźwieć, ale nie może zasnąć wiedząc, że zawinił, został poniżony i stracił miejsce. Jest w okropnej sytuacji. Natomiast doktor, który nigdy przedtem nikogo nie uderzył, czuł się tak jakby na zawsze stracił niewinność. Nie winił już felczera i nie usprawiedliwiał siebie, tylko nie mógł zrozumieć: jak to się stało, że on, porządny człowiek, który nigdy nie skrzywdził nawet psa, mógł uderzyć? Przyszedł do domu, położył się na kanapie twarzą do ściany i zaczął rozmyślać: „Jest złym człowiekiem i nie nadaje się do tej pracy, w ciągu trzech lat, które tutaj przepracował, dopiekl mi nie raz, ale nie usprawiedliwia to mojego postępowania. Wykorzystałem prawo silniejszego. Jest moim podwładnym, zawinił i do tego był pijany, a ja – jego przyłożony, miałem rację i byłem trzeźwy... Więc byłem silniejszy. Po drugie, uderzyłem go na oczach ludzi, dla których jestem autorytetem, dałem im zły przykład...”

Podano obiad... Zjadł kilka łyżek barszczu, wstał zza stołu i znów położył się na kanapie.

„Co mam teraz robić? – myślał dalej. – Trzeba jak najszybciej dać mu możliwość zadośćuczynienia... Ale w jaki sposób? Pojedynki on jako człowiek praktyczny uważa za głupotę lub nie rozumie ich. Jeśli przeproszę go w obecności sióstr i chorych, usatysfakcjonuje to tylko mnie, nie jego; jest złym człowiekiem, więc zrozumie moje przeprosiny jako przejaw tchórzostwa i obawy, że poskarży się na mnie kierownictwu. Poza tym, rozchwieje to doszczętnie dyscyplinę w szpitalu. Zapłacić mu? Nie, jest to niemoralne i będzie wyglądało na łapówkę. Jeżeli teraz, na przykład zwrócić się o rozstrzygnięcie problemu do naszego bezpośredniego kierownictwa, to znaczy do urzędu... Mogliby udzielić mi nagany albo zwolnić... Ale nie zrobią tego. Zresztą, nie wypada mieszać do wewnętrznych spraw szpitala urzędu, który nie ma do tego żadnego prawa...”

Trzy godziny później doktor poszedł wykapać się w stawie i myślał po drodze:

„A może zrobić tak, jak wszyscy to robią w podobnych wypadkach? Niech poda na mnie do sądu. Jestem niewątpliwie winny, nie będę się bronił i sędzia ukaze mnie aresztem. W ten sposób znieważony zostanie usatysfakcjonowany a ci, co uważali mnie za autorytet, zobaczą, że nie miałem racji.”

To mu się spodobało. Ucieszył się i doszedł do wniosku, że problem został rozwiązany i niczego bardziej sprawiedliwego nie da się już wymyślić.

„No cóż, pięknie! – myślał włączając do wody i patrząc, jak uciekały od niego ławice drobnych, złocistych karasi. – Niech poda... Tym bardziej, że nasze służbowe stosunki zostały już zerwane i jeden z nas po tym wszystkim i tak nie może dalej zostać w szpitalu...”

Wieczorem doktor rozkazał zaprząć konie do szarabanu i pojechał do dowódcy wojska na winta. Kiedy stał pośrodku gabinetu w kapeluszu i palcie gotowy do wyjścia i zakładał rękawice, drzwi ze skrzypem się otworzyły i ktoś cichutko wszedł do przedpokoju.

– Kto tam? – zapytał doktor.

– To ja... – głucho odpowiedział przybysz.

Serce doktora nagle zaczęło walić i cały zdrętwiał ze wstydu i jakiegoś niewytłumaczalnego strachu. Felczer Michaił Zacharycz (bo to był on) cicho zakaszłał i nieśmiało wszedł do gabinetu. Milczał przez chwilę, a potem powiedział głuchym, pełnym skruchy głosem:

– Przepraszam, Grigoriju Iwanowiczu!

Doktor zmieszał się i nie wiedział, co powiedzieć. Zrozumiał, że felczer przyszedł do niego poniżać się i prosić o wybaczenie nie z chrześcijańskiej pokory i nie po to, żeby swoją pokorą zniszczyć wroga, tylko ze zwyczajnego wyrachowania: „Przełamie się, poproszę o wybaczenie, to może mnie nie wyrzucą i nie pozbawią kawałka chleba...” Co może być bardziej poniżającego dla ludzkiej godności?

– Przepraszam... – powtórzył felczer.

– Posłuchajcie mnie... – zaczął doktor, nie patrząc na niego i wciąż nie wiedząc, co powiedzieć. – Posłuchajcie mnie... Obraziłem was i... muszę ponieść karę, to znaczy zadośćuczynić wam... Pojedynków nie uznajecie... Zresztą, ja też nie. Obraziłem was i możecie podać mnie do sądu, poniosę karę... Ale zostać tu obydwójce nie możemy... Ktoś z nas, ja czy wy, musi odejść! („Mój Boże! Co ja plotę! – przestraszył się doktor. – Ależ głupio, głupio!”) Krócej mówiąc, podawajcie do sądu! Ale pracować razem już nie możemy!.. Albo ja, albo wy... Nawet jutro podawajcie!

Felczer spojrział na doktora spode łba i w jego ciemnych, mętnych oczach zapaliła się szczerą pogardą. Zawsze uważał doktora za niepraktycznego, kapryśnego smarkacza, teraz pogardzał im za drżenie głosu, za dziwne zmieszanie...

– I podam – powiedział posepnie i ze złością.

– Więc podawajcie!

– A co pan myśli? Że nie podam? A podam... Nie ma pan prawa bić ludzi. Wstydziliby się pan! Biją się tylko pijani chłopci, a pan wykształcony...

W piersi doktora wezbrała cała jego nienawiść i krzyknął nie swoim głosem:

– Wynocha!

Felczer niechętnie ruszył do przedpokoju (jakby chciał coś dodać) i zatrzymał się tam w zamyśleniu. Wreszcie się namyślił i wyszedł zdecydowanym krokiem...

– Ależ głupio, głupio! – mamrotał doktor po jego odejściu. – Jakie to wszystko głupie i banalne!

Czuł, że zachował się przed chwilą jak smarkacz i wiedział już, że jego pomysł z sądem jest głupi, nic nie załatwia, a tylko komplikuje sprawę.

„Ależ głupio! – myślał siedząc w szarabanie i grając potem u dowódcy wojska w winta. – Czyżbym był aż tak mało wykształcony i tak mało znał życie, że nie potrafię rozwiązać tego problemu? Co robić?”

Widząc następnego ranka, jak żona felczera wsiadała do powozu, pomyślał: „Do cioteczki. A niech tam!”

Szpital dawał sobie radę bez felczera. Trzeba było napisać podanie do urzędu, ale doktor dalej męczył się z formą listu. Sens listu miał być następujący: „Proszę zwolnić felczera, chociaż nie on jest winny, a ja”. Ale przedstawić to w taki sposób, żeby nie brzmiało głupio i żenująco – okazało się dla człowieka przyzwoitego rzeczą prawie nieosiągalną.

Parę dni później doniesiono doktorowi, że felczer był ze skargą u Lwa Trofimowicza. Przewodniczący nie dopuścił go do głosu, zatupał nogami i wyrzucił z pokoju krzyżąc: „Znam cię! Wynocha! Nie chcę nic słyszeć!” Od Lwa Trofimowicza felczer pojechał do urzędu i tam złożył skargę, w której, nie wspominając o pobiciu i nie prosząc o nic dla siebie, donosił, że doktor kilka razy w jego obecności niezyczliwie wypowiadał się o urzędzie i przewodniczącym, że leczy nieprawidłowo, w teren jeździ rzadko i tak dalej. Dowiedziawszy się o tym, doktor tylko się roześmiał: „Ależ dureń!” – i zrobiło mu się wstyd i szkoda felczera za jego głupotę; im bardziej człowiek czuje się bezbronny i słaby, tym więcej głupstw popełnia w swojej obronie.

Dokładnie tydzień po zdarzeniu doktor otrzymał wezwanie od sędziego pokoju.

„To już jest całkiem bez sensu... – myślał kwitując wezwanie. – Nic głupszego nie można sobie wymyślić”.

I kiedy jechał pochmurnym, cichym rankiem do sędziego, nie odczuwał już wstydu, a tylko irytację i wstręt. Złościł się i na siebie, i na felczera, i na okoliczności...

„Wezmę i powiem w sądzie: a idźcie wy wszyscy do diabła! – złościł się. – Wszyscy jesteście osłami i nic nie rozumiecie!”

Podjechawszy do sądu, zobaczył na jego progu trzy siostry wezwane w charakterze świadków i rusalkę. Na widok sióstr i radosnej położnej, która przestępowała z nogi na nogę i nawet zarumieniła się z zadowolenia, kiedy zobaczyła głównego bohatera procesu, doktor miał ochotę porządnie je pogonić: „Kto wam zezwolił wychodzić ze szpitala? Jazda do domu!”, ale powstrzymał się i próbując pokazać, że nie jest zdenerwowany, przebił się przez tłum chłopów do izby. Izba była pusta, a łańcuch sędziego wisiał na oparciu fotela. Doktor przeszedł do pokoiku sekretarza. Zobaczył tu młodego człowieka z wychudłą twarzą, w marynarce z wypchanymi kieszeniami – był to sekretarz, i felczera, który siedział przy stole i z nudów przerzucał informacje o karalności. Na widok doktora sekretarz wstał; felczer zmieszał się i też się podniósł.

– Aleksander Archipowicz nie przyszedł jeszcze? – zapytał doktor speszony.

– Jeszcze nie. Są w domu... – odpowiedział sekretarz.

Izba mieściła się w posiadłości sędziego w jednej z oficyn, sędzia zaś mieszkał w dużym domu. Doktor wyszedł z izby i skierował się niespiesznym krokiem do domu. Znalazł Aleksandra Archipowicza w jadalni przy samowarze. Sędzia stał obok stołu bez surduta i kamizelki, z rozpiętą na piersi koszulą i trzymając obiema rękami czajnik, nalewał sobie do szklanki ciemną jak kawa herbatę; zobaczywszy gościa szybko przysunął do siebie drugą szklankę, nalał do niej i nie witając się, zapytał:

– Panu z cukrem czy bez?

Kiedyś, dawno temu, służył w kawalerii; po długoletniej pracy był już w randze rzeczywistego radcy, ale do tej pory nie porzucił ani swego munduru, ani wojskowych zwyczajów. Miał długie jak u policmajstra wąsy, spodnie z kantami, a wszystkie jego ruchy i słowa były przesiąknięte wojskową gracją. Mówił z lekko odchylną do tyłu głową, ozdabiał mowę soczystym, generalskim „mneee...”, wzruszał ramionami i wodził oczami; witając się lub dając zapalić, szurał podszewkami, a chodząc tak ostrożnie i delikatnie brzęczał ostrogami jakby każdy dźwięk jego ostróg sprawiał mu okropny ból. Posadziwszy doktora pić herbatę, pogładził się po obszernej piersi i brzuchu, ciężko westchnął i powiedział:

– Hmm–tak... Może życzy pan sobie, mnee... wódeczki i zakąsić? Mne–e?

– Nie, dziękuję, nie jestem głodny.

Oboje wiedzieli, że nie ominie ich rozmowa o szpitalnym skandalu i oboje byli tym skrepowani. Doktor milczał. Sędzia z gracją machnął ręką i złapał komara, który ugryzł go w pierś, uważnie go oglądając ze wszystkich stron i wypuścił, potem głęboko westchnął, podniósł oczy na doktora i zapytał, robiąc przerwy:

– Czemu pan go nie wyrzuci?

Doktor wyczuł w jego głosie współczującą nutę; zrobiło mu się nagle siebie żal, poczuł się zmęczony i zdruzgotany kłopotami ostatniego tygodnia. Zerwał się zza stołu z taką miną jakby jego cierpliwość w końcu się wyczerpała. Skrzywił się z rozdrażnieniem i powiedział wzruszając ramionami:

– Wyrzucić! Ależ wy wszyscy rozumujecie, jak Boga kocham... Aż dziw bierze, jak wy wszyscy rozumujecie! Czy ja mogę go wyrzucić? Siedzicie tu i wydaje wam się, że jestem u siebie w szpitalu panem i robię, co chcę! Zdziwiający, jak wy wszyscy rozumujecie! Czy ja mogę wyrzucić felczera, jeżeli jego ciotka jest niańką u Lwa Trofimowicza i jeżeli Lew Trofimowicz potrzebuje takich lizusów i lokai jak ów Zacharycz? Co mogę zrobić, jak ziemstwo ani za grosz nas, lekarzy, nie ceni, jak ani kroku nie daje nam zrobić? Żeby ich wszystkich szlag, nie chcę więcej tu pracować, koniec! Nie chcę!

– Ależ, nie przesadzajmy... Pan, mój drogi, zbyt blisko bierze sobie do serca...

– Marszałek z całych sił próbuje udowodnić, że wszyscy jesteśmy nihilistami, szpieguje i pomiata nami, jak swymi kancelistami. Jakim prawem przyjeżdża pod moją nieobecność do szpitala i wypytuje siostry i chorych? Czy to nie jest poniżające? A ten wasz stuknięty

Siemion Alekseicz, który własnoręcznie orze i nie ufa medycynie, bo jest zdrowy i syty jak byk, więc publicznie i prosto w oczy wyzywa nas od darmozjadów i wypomina kawałek chleba! Żeby go szlag! Pracuję dzień i noc, bez wypoczynku, jestem tu bardziej potrzebny niż wszyscy ci stuknięci, świętoszki, reformatorzy i inni kłowni razem wzięci! Straciłem zdrowie na tej robocie, a zamiast podziękowania, kawałek chleba mi wypominają! Dziękuję bardzo! I każdy uważa, że ma prawo wtykać nos w nie swoje sprawy, pouczać, kontrolować! Ten wasz Kameczacki z zarządu, ganił w resursie lekarzy za to, że za dużo jodiny zużywają i radził nam uważać przy stosowaniu kokainy! Czy on się na tym zna, pytam pana? Co go to obchodzi? Czemu pana nie uczy sędziować?

– Ależ... Ależ to przecież cham, mój drogi, sługus... Nie trzeba na niego zwracać uwagi...

– Cham, sługus, jednakże wybraliście tego pyskacza do zarządu i pozwalacie mu wszędzie wtykać swój nos! Pan się śmieje! Według pana, wszystko to są drobiazgi, błahostki, ale proszę zrozumieć, że drobiazgowych tych jest tak dużo, że całe życie z nich się składa jak z piasku góra! Nie mogę dłużej! Nie mam sił, Aleksandrze Archipyczu! Jeszcze trochę i, zapewniam pana, nie tylko w mordę zacznę walić, ale i strzelać do ludzi! Proszę mnie zrozumieć, nie mam stalowych nerwów. Jestem takim samym człowiekiem jak wy...

Oczy doktora nabrzmiały łzami, a głos zdrzął; odwrócił się i zaczął patrzeć w okno. Zapanowała cisza.

– Hmm–tak, mój panie... – wymamrotał sędzia w zadumie. – Z drugiej jednakże strony, jeżeli kalkulować na zimno... (sędzia złapał komara i mocno zmrużywszy oczy oglądnał go ze wszystkich stron, przycisnął i wrzucił do miski do płukania szklanek)... to, rozumie pan, nie ma sensu go wyrzucać. Wyrzuci go pan, a na jego miejsce przyjdzie taki sam, a może i gorszy. Może pan ze sto osób zmienić, a dobrego pan nie znajdzie... Wszyscy szubrawcy (sędzia pogładził się pod pachami i zapalił niespiesznie papierosa). Z tym złem trzeba się pogodzić. Chcę panu powiedzieć, że teraz uczciwych i rozsądnych pracowników, na których można polegać, znajdzie pan tylko wśród inteligencji i chłopów, to znaczy wśród tych dwóch skrajności – wyłącznie. Znajdzie pan uczciwego lekarza, wspaniałego pedagoga, uczciwego oracza lub kowala, ale ludzie ze środka, to znaczy, można tak powiedzieć, osoby, którzy porzucili lud i nie doszli do inteligencji, to element niepewny. Bardzo ciężko więc znaleźć uczciwego i rozsądnego felczera, pisarczyka, sprzedawcę i tak dalej. Niezwykle ciężko! Pracuję w sądownictwie od niepamiętnych czasów i przez cały ten okres nie miałem jeszcze ani jednego uczciwego i rozsądnego pisarczyka, chociaż i przegoniłem ich w swoim życiu mnóstwo. To naród bez żadnych nawyków moralnych, nie mówiąc już o–o–o, powiedzmy, zasadach...

„Po co on to mówi? – pomyślał doktor. – O czym my rozmawiamy?”

– Oto nie dalej, jak w ubiegły piątek – kontynuował sędzia – mój Dziuzuński, może sobie pan wyobrazić, jaki numer wywinał? Zebrał u siebie wieczorem jakichś pijanic, cholera ich wie, co to za ludzie, i przez całą noc chlał z nimi w sądzie. I co pan na to? Nic nie mam przeciwko picciu. Pal cię diabli, pij sobie, ale po co obcych do urzędu wpuszczać? Niech pan sam pomyśli, ukraść ze sprawy jakiś dokument, weksel czy co innego – raz–dwa! I co pan sądzi? Po tej orgii musiałem przez dwa dni wszystko sprawdzać, a nuż zginęło coś... No, i co by pan zrobił z takim sukinsynem? Wygonić? No dobrze... A może pan ręczyć, że następny nie będzie gorszy?

– A i jak go wygonić? – powiedział doktor. – Wygonić człowieka – łatwo mówić... Jak go wygonię i pozbawię kawałka chleba, jeżeli wiem, że ma rodzinę, będzie głodował? Gdzie się podzieje z rodziną?

„Co za cholerne głupoty wygaduje!” – pomyślał i wydało mu się dziwnym, że nie potrafi zatrzymać się na jakiejś jednej, jasno określonej myśli albo jakimkolwiek jednym uczuciu. „A wszystko przez to, że jestem powierzchowny i nie potrafię myśleć.”

– Mówi pan, że człowiek ze środka jest niepewny – ciągnął. – Przepędzamy go, ganimy, w twarz walimy, a przecież trzeba i jego zrozumieć. Ani chłopem nie jest, ani panem, ni pies, ni wydra; w przeszłości niczego dobrego nie doznał, w teraźniejszości ma jedynie dwadzieścia pięć rubli miesięcznie, głodną rodzinę i zależność, w przyszłości zaś te same dwadzieścia pięć rubli i zależność, choćby sto lat pracował. Ani wykształcenia nie ma, ani własności; czytać i do cerkwi chodzić nie ma czasu, co mamy mu do powiedzenia – nie słucha, bo trzymamy go na odległość. Tak i żyje z dnia na dzień aż do śmierci bez cienia nadziei na lepsze; niedojadając, w ciągłym strachu, że zostanie wyrzucony ze służbowego mieszkania, nie wiedząc, jak dzieci urządzić. I jak tu, proszę mi powiedzieć, nie pić, nie kraść? Skąd się tu mają zasady wziąć!

„Wydaje się, że zaczynamy już kwestie socjalne poruszać – pomyślał. – I jak nieskładnie do tego, Jezu! No i po co to wszystko?”

Rozległ się hałas. Ktoś wjechał na podwórko i zajechał najpierw przed izbę, potem przed ganek dużego domu.

– Sam we własnej osobie – powiedział sędzia, wyglądając przez okno. – No, będzie pan miał zaraz za swoje!

– Niech mnie pan puści jak najszybciej... – poprosił doktor. – Może bez kolejki mnie pan załatwi? Jak Boga kocham, nie mam czasu.

– Dobrze, dobrze... Tylko nie wiem jeszcze, kochaniutki, czy ta sprawa mnie podlega. Stosunki z felczerem macie przecież służbowe, poza tym przyłożył mu pan w czasie pełnienia obowiązków służbowych. Zresztą, nie wiem dokładnie, jak z tym jest. Zaraz Lwa Trofimowicza spytamy.

Rozległy się pospieszne kroki, ciężkie sapanie i w drzwiach pojawił się przewodniczący Lew Trofimowicz, siwy i łysy staruszek z długą brodą i czerwonymi powiekami.

– Moje uszanowanie... – rzekł zasapany. – Uf, kochaniutki! Każ no, sędzio, kwasu mi podać! Nie mogę...

Usiadł w fotelu, ale nagle podskoczył, podbiegł do doktora i gniewnie wytrzeszczając na niego oczy, zaczął krzyczeć wrzaskliwym tenorem:

– Bardzo i to bardzo panu dziękuję, Grigoriju Iwanyczu! Wyświadczył mi pan przysługę, nie ma co! Póki żyję, nie zapomnę! Tak przyjaciele nie postępują! Niech pan myśli, co chce, ale nieuczciwie pan postąpił! Czemu pan mnie nie powiadomił? Kim dla pana jestem? No kim? Wrogiem czy obcym? Wrogiem panu jestem? Czy ja panu kiedykolwiek odmówiłem? Co?

Wytrzeszczając oczy i poruszając palcami, napił się kwasu, szybko wytarł wargi i krzyczał dalej:

– Stokrotne dzięki! Czemu pan mnie nie zawiadomił? Jakby pan dobrze się do mnie odnosił, przyjechałby pan do mnie jak do przyjaciela: „Lwie Trofimyczu, kochaniutki, tak i tak się stało... Taka to historia wyszła...” W okamgnieniu bym panu wszystko załatwił i takiego skandalu by nie było... Ten dureń całkiem oszalał, włóczy się po powiecie, skarży i z babami plotkuje, a pan, aż wstyd mówić, proszę mi wybaczyć, chyba oszalał, podpuścił go pan do sądu iść! Wstyd, istny wstyd! Wszyscy mnie pytają, o co chodzi, co i jak, a ja, przewodniczący, pojęcia nie mam, co tam u pana się dzieje. Nic pana nie obchodzi! Wielkie, wielkie dzięki, Grigoriju Iwanyczu!

Przewodniczący tak nisko się uklonił, że aż cały spurpurowiał, potem podszedł do okna i krzyknął:

– Żygałow, dawaj tu Michaiła Zacharycza! Powiedz, żeby w tej chwili tu przyszedł! Niedobrze! – powiedział odchodząc od okna. – Nawet żona moja się obraziła, a taką, wydawałoby się, słabość do pana mała. Za bardzo się, panowie, wymądrzacie! Chcecie



wszystko jak najmądrzej, według zasad i z wykrętami różnymi, a wciąż to samo wam wychodzi: tylko psujecie...

– To wy się wymądrzacie, a co u was wychodzi? – zapytał doktor.

– Co u nas wychodzi? A to wychodzi, że jakbym teraz tu nie przyjechał, to pan i siebie by skompromitował, i nas... Miał pan szczęście, że przyjechałem!

Wszedł felczer i zatrzymał się na progu. Przewodniczący ustawił się do niego bokiem, wsadził ręce do kieszeni, odchrząknął i powiedział:

– Proś no mi tu natychmiast doktora o przebaczenie!

Doktor zaczerwienił się i wybiegł do innego pokoju.

– No widzisz, doktor nie chce twoich przeprosin! – ciągnął przewodniczący. – On chce, żebyś nie słowami, a pracą okazał skruchę. Obiecujesz, że od dziś będziesz grzeczny i rzucisz picie?

– Obiecuję – posepnie wybełkotał felczer.

– Uważaj no! Uchowaj cię Boże! W okamgnieniu wylecisz! Jak coś nie tak będzie, nie proś nawet... No, idź już...

Dla felczera, który już zdążył pogodzić się ze swym nieszczęściem, taki obrót sprawy był prawdziwą niespodzianką. Nawet zbladł z radości. Chciał coś powiedzieć i wyciągnął rękę do przodu, ale nic nie powiedział, głupio się uśmiechnął i wyszedł.

– No, i po sprawie! – powiedział przewodniczący. – I żaden sąd nie jest potrzebny.

Westchnął z ulgą i z taką miną jakby dokonał czegoś bardzo trudnego i ważnego oglądając samowar i szklanki, zatarł ręce i powiedział:

– Błogosławieni pokój czyniący \*... Nalej, no mi, Sasza, szklaneczkę. A zresztą, każ najpierw coś na zakąskę przynieść... No, i wódeczki...

– Panowie, ależ tak nie można! – zawołał doktor wchodząc do jadalni, wciąż jeszcze czerwony i załamując ręce. – Toż... farsa! To okropne! Nie zniosę tego! Lepiej dwadzieścia razy się sądzić niż rozwiązywać problemy jak w kabarecie. Nie, nie mogę w ten sposób!

– Czego pan w końcu chce? – odwręknął mu przewodniczący. – Wygonić? Proszę bardzo, wygonię...

– Nie, nie wygonić... Nie wiem, czego ja chce, ale nie można, panowie, mieć taki stosunek do życia... ach, mój Boże! Co za męka!

Doktor nerwowo się zakrzętał i zaczął szukać swojego kapelusza, w końcu nie znalazł i opadł bez sił na fotel.

– To okropne! – powtórzył.

– Mój drogi – zaszeptał sędzia – trochę pana, przyznam się, nie rozumiem... Przecież to pan zawinił! Walić w twarz pod koniec dziewiętnastego wieku – to w pewnym stopniu, proszę mi wybaczyć, nie wypada... Jest sukinsynem, zgoda, ale... ale sam pan wie, że i pan postąpił nierozważnie...

– Racja! – zgodził się przewodniczący.

Przynieśli wódkę i zakąskę. Doktor machinalnie wychylił kieliszek na pożegnanie i zakąsił rzodkiewką. Kiedy wracał do szpitala, jego myśli były zasnuwane mgłą jak trawa jesiennym porankiem.

„Czyż po to – myślał – tak dużo ostatnio przeżyłem, przemyślałem i powiedziałem, żeby wszystko skończyło się tak bezsensownie i banalnie! Ależ głupio! Ależ głupio!”

Było mu wstyd, że wplątał w swoje osobiste problemy obcych ludzi, wstyd za słowa, które tym ludziom mówił, za wódkę, którą wypił z przyzwyczajenia, za próżne życie, które prowadził, za swój powierzchowny umysł... Po powrocie poszedł na obchód. Felczer szedł obok, stąpając miękko jak kocur, i tak samo miękko odpowiadał na pytania... I felczer, i

---

\* Ewangelia wg św. Mateusza 5,9 (przyp. tłum.).

rusalka, i siostry udawali, że nic się nie stało, że wszystko jest w porządku. I sam doktor z całych sił starał się wyglądać na obojętnego. Dawał polecenia, gniewał się, żartował z chorymi, a w jego głowie nie przestawało pulsować: „Głupio, głupio, głupio...”

1888

## ŚWIATŁA

Na dworze niespokojnie zaszczekał pies. Inżynier Ananjew, jego pomocnik – student von Stenberg i ja wyszliśmy z baraku, żeby popatrzeć, na kogo szczeka. Byłem tu gościem i wcale nie musiałem wychodzić, ale po wypitym winie kręciło mi się trochę w głowie, więc ucieszyłem się z okazji odetchnięcia świeżym powietrzem.

– Nie ma nikogo... – powiedział Ananjew na dworze. – Czemu oszukujesz, Azorku? Głuptas jeden!

Dookoła nie było żywej duszy. Głuptas Azorek, czarny podwórzowy kundel, chciał chyba przeprosić za swoje niepotrzebne szczekanie, nieśmiało podszedł do nas i zamachał ogonem. Inżynier schylił się i podrapał go między uszami.

– I czego, bydłatko, szczekasz bez potrzeby? – zapytał tonem, jakim dobroduszni ludzie zwracają się do dzieci i psów. – Zły sen miałaś, tak? Oto, panie doktorze, przedstawiam panu bardzo nerwowego subiekta! – powiedział, zwracając się do mnie. Może pan sobie wyobrazić, nie znosi samotności, miewa straszne sny, nawiedzają go koszmary, a kiedy na niego nakrzyczysz, wpada w histerię.

– Tak, delikatny pies... – potwierdził student.

Azorek widocznie rozumiał, że mówią o nim; podniósł mordę i tęsknie zaskomlał jakby chciał powiedzieć: „Tak, czasami okropnie cierpię, wybaczenie mi, proszę!”

Była sierpniowa, gwiezdna, ale ciemna noc. Po raz pierwszy znalazłem się przypadkowo w tak wyjątkowej sytuacji, dlatego ta gwiezdna noc wydawała mi się głuchą, wrogą i bardziej ciemną niż była w rzeczywistości. Byłem na linii kolei, którą dopiero zaczynali budować. Wysoki, gotowy w połowie nasyp, kupy piasku, gliny i kruszywa, baraki, doły, porozrzucane gdziegdzie taczki, płaskie wzniesienia nad ziemiankami, w których mieszkali robotnicy – cały ten bałagan, zabarwiony w ciemnościach na jeden kolor, nadawał krajobrazowi jakiś dziwny, dziki wygląd, nawiązujący do czasów chaosu. We wszystkim, co widziałem wokół siebie, było tak mało porządku, że wśród szpetnych wykopów, które zmieniły ziemię nie do poznania, sylwetki ludzi i smukłe słupy telegraficzne wyglądały dosyć dziwacznie: psuły cały obraz i wydawało się jakby były wzięte nie z tego świata. Panowała cisza, tylko gdzieś bardzo wysoko nad naszymi głowami telegraf dudnił swą smutną pieśń.

Wdrapaliśmy się na nasyp i spojrzeliśmy z jego wysokości w dół. Jakieś pięćdziesiąt sążni od nas, tam, gdzie wyboje, doły i kupy gruzu całkowicie zlewały się z nocną mgłą, migotało słabe światełko. Za nim – drugie, trzecie, a ze sto kroków dalej świeciły się blisko siebie dwa czerwone punkty – chyba okna jakiegoś baraku – i długi rząd tych świateł, robiąc się coraz gęściejszy i słabszy, ciągnął się wzdłuż linii aż do samego horyzontu, gdzie opisując półkole, skręcał w lewo i zniknął w dalekiej mgle. Światła były nieruchome. Te światła, nocna cisza i smutne dudnienie telegrafu miały w sobie coś wspólnego. Wydawało się, że jakaś ważna tajemnica była schowana pod nasypem i że wiedzą o niej tylko światła, noc i przewody...

– Mój Boże, toż to prawdziwy raj! – westchnął Ananjew. – Jaka przestrzeń, a jak pięknie, lepiej chyba już i być nie może! A nasyp jaki! To, dobrodzieju, nie nasyp, a cały Mont Blanc! Miliony kosztuje...

Zachwycony światłami i nasypem, który kosztuje miliony, rozgrzany winem i sentymentalnie usposobiony, inżynier poklepał po ramieniu studenta von Stenberga i powiedział żartobliwie:

– I nad czym, Michajło Michajłyczu, tak się pan zastanawia? Przyjemnie chyba jest popatrzeć na dzieło własnych rąk? W zeszłym roku był tu goły step, ani jednej żywej duszy, a teraz, proszę się rozejrzeć: życie, cywilizacja! Ależ to jest wspaniałe, jak Boga kocham! Budujemy z panem kolej, a po nas, lat tak za sto lub dwieście, dobrzy ludzie pobudują tu fabryki, szkoły, szpitale i – zawrze robota! No nie?

Student stał nieruchomo, schowawszy ręce w kieszeniach, i nie spuszczał oczu ze świateł. Był zajęty własnymi myślami i nie słuchał inżyniera, był widocznie w takim nastroju, kiedy nie chce się ani mówić, ani słuchać. Obrócił się po długim milczeniu do mnie i cicho powiedział:

– Wie pan, z czym mi się kojarzą te nieskończone światła? Przypominają coś, co już od dawna nie istnieje, co istniało tysiąc lat temu, coś podobnego do biwaku Filistynów lub Amalekitów\*, gdy obozował tu jakiś starożytny lud i czekał na poranek, żeby bić się z Saulem czy Dawidem. Do pełni iluzji brakuje tylko dźwięków trąb i wartowników nawołujących w jakimś etiopskim języku.

– Chyba tak... – zgodził się inżynier.

I jak na zawołanie po linii przeleciał wiatr i przyniósł dźwięk, podobny do brzęczenia broni. Zapadło milczenie. Nie wiem, o czym w tej chwili myśleli inżynier i student, ale zdawało mi się, że rzeczywiście widzę przed sobą coś od dawna nie istniejącego i nawet słyszę wartowników mówiących w nieznanym języku. Moja fantazja śpieszyła namalować namioty, dziwnych ludzi, ich ubrania, zbroje...

– Tak – wymamrotał student w zadumie. – Żyli kiedyś na tym świecie Filistyni i Amalekici, prowadzili wojny, coś znaczyli, a teraz i ślad po nich zaginął. Tak i z nami się stanie. Budujemy teraz kolej, stoimy tu i filozofujemy, ale minie ze dwa tysiące lat i po tym nasypie i wszystkich tych ludziach, którzy śpią w tej chwili po ciężkiej pracy, nawet pył nie pozostanie. Jest to w zasadzie okropne!

– Niech pan zostawi podobne myśli... – powiedział inżynier poważnie i pouczająco.

– Czemu?

– A temu... Takimi myślami trzeba kończyć życie, a nie zaczynać. Pan jest na nie za młody.

– A to czemu?

– Wszystkie te myśli o przemijaniu i marności, o bezsensowności życia i nieuchronności śmierci, o pozagrobowych ciemnościach i ect., wszystkie te głębokie myśli, mój drogi przyjacielu, są dobre i stosowne w starości, kiedy są owocem długoletniej wewnętrznej pracy, zostały zrodzone w cierpieniu i stanowią dorobek całego życia; dla młodego zaś intelektu, który dopiero rozpoczyna samodzielne życie, są one prawdziwym nieszczęściem! Właśnie, nieszczęściem! – powtórzył Ananjew i machnął ręką. – Według mnie, w pańskim wieku lepiej już wcale nie mieć głowy na karku niż myśleć w podobny sposób. Poważnie panu mówię, baronie. Dawno chciałem z panem o tym porozmawiać, bo już pierwszego dnia naszej znajomości zauważyłem w panu słabość do podobnego myślenia!

– Co w tym złego? – zapytał z uśmiechem student i z jego głosu i twarzy można było wywnioskować, że odpowiada wyłącznie z grzeczności i że spór wszczynany przez inżyniera ani trochę go nie interesuje.

Oczy mi się kleiły. Marzyło mi się, jak od razu po spacerze powiemy sobie dobrej nocy i pójdziemy spać, ale moje marzenie nie szybko się ziściło. Kiedy wróciliśmy do baraku, inżynier sprzątnął puste butelki pod łóżko, wyciągnął z dużego wiklinowego pudła dwie pełne i odkorkowawszy je, usiadł przy swym biurku, zamierzając, z całą pewnością, dalej pić, mówić i pracować. Pociągając po trochu ze szklanki, robił ołówkiem notatki na jakichś wykresach i wciąż przekonywał studenta, że ten myśli nie tak jak trzeba. Student siedział obok niego, sprawdzał jakieś rachunki i nie odpowiadał. Nie chciało mu się, tak samo jak mnie, ani mówić, ani słuchać. Siedziałem nieopodal stołu na połowym krzywonogim łóżku inżyniera i nudziłem się, nie chcąc przeszkadzać ludziom w pracy i mając nadzieję, że za chwilę zaproponują mi, żebym się położył. Było po dwunastej.

---

\* Według Biblii ludy, prowadzące wojnę z Izraelitami w czasach króla Saula. - Pierwsza Księga Samuela, 13-15 (przyp. tłum.).

Obserwowałem z nudów swoich nowych znajomych. Nie spotkałem się nigdy wcześniej ani z Ananjewem, ani ze studentem, poznałem ich dopiero tej nocy. Wracalem późnym wieczorem z jarmarku do ziemianina, u którego gościłem, trafiłem w ciemnościach na niewłaściwą drogę i zabłądziłem. Krążyłem koło linii i widząc, jak szybko zapada noc, przypomniałem sobie o „potwornej lokomotywie” czatującej na pieszego i konnego, przestraszyłem się i zapukałem do pierwszego lepszego baraku. Przyjęli mnie tu z otwartymi ramionami Ananjew i student. Jak to bywa z zupełnie obcymi ludźmi, którzy spotkali się przypadkowo, szybko zaprzyjaźniliśmy się i najpierw przy herbacie, a później przy winie czuliśmy się już tak jakbyśmy się znali od dawna. Jakąś godzinę później wiedziałem już, kim są i jakie wiatry przygnały ich ze stolicy w głęboki step, a oni wiedzieli, kim ja jestem, czym się zajmuję i o czym myślę.

Inżynier Ananjew Nikołaj Anastasjewicz był krzepki, szeroki w barach i sądząc po powierzchowności, zaczynał już jak Otello schodzić w „dolinę” swych lat\* i przybierać zbędne kilogramy. Znajdował się akurat w takim wieku, o którym swatki mówią „mężczyzna w pełnym rozkwicie sił”, to znaczy nie był ani młody, ani stary, lubił dobrze zjeść, wypić i powspominać przeszłość, dostawał lekkiej zadyszki przy chodzeniu, głośno chrapał we śnie, a w stosunku do innych zaczynał wykazywać spokojną, niezmaconą zyczliwość, jaką nabywają porządni ludzie, kiedy dochodzą do rangi oficera sztabowego i zaczynają tyć. W jego włosach i brodzie nie było jeszcze śladu siwizny, ale już mimowolnie, nie zdając sobie sprawy, pobłaźliwie zwracał się do młodych „mój drogi” i uważał, że ma prawo dobroduszenie karcic ich za sposób myślenia. Jego ruchy i głos były spokojne, płynne, zdecydowane jak u człowieka, który już dobrze wie, że przebił się na właściwą drogę, że ma pewną pracę, pewny kawałek chleba, pewny stosunek do rzeczywistości... Jego opalona twarz z mięsistym nosem i muskularna szyja jakby mówiły: „Jestem syty, zdrowy i zadowolony z siebie, ale przyjdzie czas, że i wy, młodzi ludzie, też będziecie syci, zdrowi i zadowoleni z siebie...” Ubrany był w bawełnianą koszulę ze stojącym kołnierzykiem i szerokie płócienne spodnie, wsunięte w duże buty z cholewami. Niektóre drobiazgi, jak na przykład kolorowy paseczek z włóczki, haftowany kołnierz i łatka na łokciu mówiły o tym, że był żonaty i prawdopodobnie czule kochany przez swoją żonę.

Baron von Stenberg Michaił Michajłowicz, student instytutu linii komunikacyjnych, miał jakieś dwadzieścia trzy – dwadzieścia cztery lata. Tylko blond włosy i rzadka broda, no, może jeszcze pewna toporność i suchość rysów twarzy, przypominały o jego pochodzeniu od bałtyckich baronów, całą resztę – imię, wiara, myślenie, zachowanie i wyraz twarzy miał typowo rosyjskie. Miał na sobie, jak i Ananjew, bawełnianą wypuszczoną koszulę i duże buty z cholewami. Przygarbiony, dawno nie strzyżony, opalony, nie był podobny ani do studenta, ani do barona, tylko do zwykłego rosyjskiego czeladnika. Mówił i ruszał się mało, wino pił niechętnie, bez ochoty, rachunki sprawdzał machinalnie i wydawało się, że cały czas rozmyślał. Jego ruchy i głos również były spokojne i płynne, ale był to spokój inny niż u inżyniera. Opalona, trochę ironiczna, zamyślona twarz, spojrzenie ciut spode łba i cała jego postać wyrażały wewnętrzny zastój, intelektualne rozleniwienie... Patrzył tak jakby było mu wszystko jedno pali się przed nim ogień czy nie, smakuje wino czy jest paskudne, zgadzają się rachunki, które sprawdzał, czy się nie zgadzają. I jego mądra, spokojna twarz mówiła mi: „Nic na razie nie widzę dobrego ani w pewnej pracy, ani w pewnym kawałku chleba, ani w pewnych poglądach. Wszystko to bzdury. Byłem w Petersburgu, a teraz siedzę tutaj w baraku, stąd znów wyjadę do Petersburga, potem wiosną znów tutaj... Czy wyjdzie z tego coś dobrego, nie wiem i nikt nie wie... Więc nie ma o czym gadać...”

---

\* "A może zszedłem już nazbyt głęboko w mych lat dolinę?..." - W. Shakespeare "Othello" - Wyd. Literackie, 1982, akt III, scena III, s. 102., przekł. M. Słomczyńskiego (*przyp. tłum.*).

Inżyniera słuchał bez zainteresowania, z tą pobłażliwą obojętnością, z jaką kadeci ze starszych klas słuchają podeksycytowanego wujaszka-gadulę. Wydawało się, że wszystko, co powiedział inżynier, nie było dla niego niczym nowym i że jeżeli sam by nie lenił się mówić, powiedziałby coś bardziej odkrywczego i mądrego. Ananjew tymczasem nie dawał za wygraną. Zostawił już dobrodusznie-żartobliwy ton i mówił poważnie, nawet z namiętnością, która wcale nie pasowała do jego niezmaconego spokoju. Wyglądało na to, że nie był obojętny wobec kwestii wyższego rzędu, kochał je, ale rozważać o nich nie potrafił i nie nawykł. I ten brak nawyku tak silnie odbijał się na jego mowie, że nie od razu zrozumiałem, o co mu chodzi.

– Z całego serca nienawidzę podobnych myśli! – mówił. – Mnie też męczyły w młodości, do tej pory jeszcze mnie nachodzą i powiem panom – może dlatego, że jestem za głupi na nie i że są ponad moje siły – nic dobrego mi nie przyniosły. Jest to zrozumiałe! Myśl o bezsensowności życia, o marności i kruchości świata, „marność nad marnościami” Salomona była i nadal jest najwyższym i końcowym stopniem w sferze ludzkiego umysłu. Doszedł myśliciel do owego stopnia i – koniec, kropka! Dalej nie ma dokąd iść. Na tym praca normalnego umysłu się kończy, co jest naturalne i zrozumiałe. A nasze nieszczęście polega na tym, że zaczynamy myśleć akurat od tego końca. Na czym normalni ludzie kończą, na tym my zaczynamy. My od razu, ledwo umysł zaczyna samodzielną pracę, wchodzimy na najwyższy, końcowy stopień i nie chcemy wiedzieć o pozostałych, które są niżej.

– I co w tym złego? – zapytał student.

– Niech pan w końcu zrozumie, że to nie jest normalne! – zawołał Ananjew, popatrzawszy na niego prawie ze złością. – Jeżeli potrafiliśmy wejść na wyższy stopień bez pomocy niższych, to całe wysokie schody, to znaczy całe życie z jego kolorami, dźwiękami i myślami, traci dla nas sens. To, że w pańskim wieku podobne myślenie – to zło i absurd, można wywnioskować na podstawie każdego kroku w pańskim świadomym, samodzielnym życiu. Oto, założmy, siada pan teraz czytać jakiegoś Darwina czy Szekspira. Nie zdążył pan przeczytać jednej strony, jak trucizna zaczyna działać: i pańskie życie, i Szekspir, i Darwin wydają się panu bzdurą, głupotą, bo pan wie, że pan umrze, że Szekspir i Darwin również umarli, że ich myśli nie uratowały ani ich samych, ani ziemi, ani pana, i że jeśli w ten sposób życie pozbawione jest sensu, to cała ta wiedza, poezja i wzniosłe myśli są tylko niepotrzebną grą, pustą zabawką dorosłych dzieci. Więc rzuca pan czytanie już na drugiej stronie. A teraz, założmy, przychodzą do pana jako do człowieka mądrego i pytają, na przykład o wojnę: czy jest pożądana i moralna, czy nie? W odpowiedzi na to makabryczne pytanie pan wzruszy tylko ramionami i ograniczy się do jakichś ogólników, bo dla pana, przy pańskim sposobie myślenia, nie ma żadnego znaczenia, czy setki tysięcy ludzi umrze w wyniku przemocy czy własną śmiercią: i w jednym, i w drugim przypadku koniec jest ten sam – nicość i zapomnienie. Budujemy z panem kolej. Po co głosimy się, wymyślamy, wnosimy się ponad szablony, uzalamy nad robotnikami, kradniemy lub nie kradniemy, jeżeli wiemy, że ta kolej za dwa tysiące lat zamieni się w pył? I tak dalej i tak dalej... Zgodzi się pan, że przy takim niefortunnym sposobie myślenia nie jest możliwy jakikolwiek progres – ani nauki, ani sztuki, ani samego myślenia. Wydaje nam się, że jesteśmy mądrzejsi od tłumu i Szekspira, a w zasadzie nasza praca umysłowa kończy się na niczym, bo schodzić na niższe stopnie nie mamy ochoty, wyżej zaś iść nie ma gdzie, więc i stoi nasz umysł w martwym punkcie – ani do przodu, ani do tyłu... Byłem we władzy podobnych myśli około sześciu lat i, zaklinam się, przez cały ten okres nie przeczytałem ani jednej porządnej książki, nie zrobiłem się ani trochę mądrzejszy i bogatszy moralnie. Toż to katastrofa! Mało tego, że sami jesteśmy zatruci, w dodatku naszych bliźnich zatruwamy. Dobrze jeszcze jakbyśmy ze swoim pesymizmem życie odrzucali, do pustelni szli lub spieszno by nam było umierać, gdzie tam! Żyjemy, kochamy kobiety, wychowujemy dzieci, budujemy drogi – jak wszyscy!

– Cała ta gadanina na nic... – powiedział student niechętnie.

– Pan z tym już trochę przesadza! Pan życia jeszcze dobrze nie zna, a jak pożyje pan tyle co ja, dobrodzieju, zakosztuje pan jego prawdziwego smaku! Nasze myślenie nie jest takie niewinne, jak panu się zdaje. W praktyce, w stosunkach międzyludzkich, prowadzi tylko do okropieństwa i głupoty. Bywałem w takich sytuacjach, jakich i złemu bisurmanowi bym nie życzył.

– Na przykład? – zapytałem.

– Na przykład? – powtórzył za mną inżynier; zastanowił się, uśmiechnął i powiedział: – Weźmy, na przykład choćby taki przypadek. Prawdę mówiąc, to nie przypadek, tylko prawdziwa powieść z zawiązkiem i rozwiązaniem. Wspaniała lekcja! Ach, co za lekcja!

Nalał wina sobie i nam, wypił, pogładził dłońmi swoją szeroką pierś i mówił dalej, zwracając się raczej do mnie niż do studenta:

– Zdarzyło się to latem tysiąc osiemset siedemdziesiąt... roku, wkrótce po wojnie i po skończeniu przeze mnie studiów. Jechałem na Kaukaz i zatrzymałem się po drodze na jakieś pięć dni w nadmorskim mieście N. Trzeba tu powiedzieć, że urodziłem się i wyrosłem w tym mieście, więc nie ma nic dziwnego, że N. wydawało mi się niezwykle przytulnym, ciepłym i pięknym, chociaż stołecznemu człowiekowi żyje się w nim tak samo nudno i niewygodnie jak w jakiejś Czuchłomie czy Kaszyrze. Z nostalgią przeszedłem obok gimnazjum, w którym się uczyłem, z nostalgią pospacerowałem po znajomym miejskim parku, czyniąc nostalgiczną próbę popatrzenia z bliska na ludzi, których od dawna już nie widziałem, ale pamiętałem... Wszystko z nostalgią...

Pojechałem pewnego wieczoru do tak zwanej Kwarantanny. Jest to nieduży, wyłysiały zagajnik, w którym kiedyś, w dawnych czasach dżumy, rzeczywiście była kwarantanna, a teraz mieszkają letnicy. Jakies cztery wiorsty od miasta po dobrej miękkiej drodze. Jedziesz i widzisz: na lewo błękitne morze, na prawo bezkresny, posępny step; oddycha się lekko, a i oczom nie ciasno. Zagajnik leży na brzegu morza. Odprawiłem woźnicę, przekroczyłem znajomą bramę i skierowałem się najpierw wzdłuż alei do niewielkiej kamiennej altanki, którą lubiłem w dzieciństwie. Ta okrągła, ciężka altanka na niezdarnych kolumnach, łącząca w sobie liryzm starego nagrobka i toporność Sobakiewicza,\* była, według mnie, najbardziej poetyckim zakątkiem w całym mieście. Stała na skraju brzegu, nad samym urwiskiem, skąd dobrze było widać morze.

Siadłem na ławce i przechyliwszy się przez poręczę popatrzyłem w dół. Od altanki po stromym, prawie pionowym brzegu, obok gliniastych brył i rzepu biegła ścieżka; tam, gdzie się kończyła, daleko w dół na piaszczystym wybrzeżu leniwie pieniły się i czule mruczały niewysokie fale. Morze było tak samo majestatyczne, bezkresne i nieprzyjazne jak siedem lat temu, kiedy kończyłem gimnazjum i wyjeżdżałem z rodzinnego miasta do stolicy; gdzieś daleko widać było ciemną smugę dymu – to płynął statek, i prócz tej ledwo widocznej smugi oraz skaczących nad wodą małpek nic nie ożywiało monotonnego obrazu morza i nieba. Z prawa i z lewa od altanki ciągnęły się nierówne gliniaste brzegi...

Wicie panowie, kiedy człowiek odczuwający nostalgię, zostaje sam na sam z morzem albo w ogóle z krajobrazem, który wydaje mu się majestatyczny, do jego smutku dołącza się świadomość, że będzie żył i umrze w zapomnieniu, wtedy odruchowo chwyta za ołówek i śpieszy nakreślić na czym popadnie swoje imię. Chyba dlatego wszystkie samotne zaciszne miejsca podobne do mojej altanki zawsze są pogryzmołone ołówkami i pocięte scyzorykami. Jak teraz pamiętam, oglądając poręczę przeczytałem: „Z.P.(to znaczy zostawił pamiętkę) Iwan Korolkow 16 maja 1876 roku”. Tuż obok Korolkowa podpisał się jakiś miejscowy marzyciel i

---

\* Jeden z bohaterów powieści N. Gogola "Martwe dusze" (przyp. tłum.).

jeszcze dodał: „Na brzegu, nad pustkowieciem fal, stał *on* – i z wielką patrzył w dal”.<sup>\*</sup> I charakter pisma miał marzycielski, oklapnięty jak mokry jedwab. Jakiś Kross, najprawdopodobniej szary i mało znaczący człowieczek, tak mocno poczuł swoją mierność, że wyżył się przy pomocy scyzoryka i odtworzył swoje imię głębokimi, metrowymi literami. Machinalnie wyjąłem z kieszeni ołówki i również podpisałem się na jednej z kolumn. Nie ma to zresztą nic do rzeczy... Przepraszam, ale nie potrafię opowiadać krótko.

Było mi smutno i odrobinę nudno. Nuda, cisza i mruczenie fal naprowadziły mnie powoli na takie właśnie myślenie, o którym przed chwilą rozmawialiśmy. Wtedy, pod koniec lat siedemdziesiątych, zaczynało ono być modnym i później, na początku osiemdziesiątych, przedostawało się po trochu do literatury, nauki i polityki. Miałem wtedy nie więcej niż dwadzieścia sześć lat, ale wiedziałem już bardzo dobrze, że życie nie ma sensu, że wszystko jest kłamstwem i iluzją, że istotą i końcowym rezultatem katorżniczego życia na półwyspie Sachalin niczym się nie różni od życia w Nicei, że różnica między mózgiem Kanta i muchy nie ma żadnego znaczenia, że nikt na tym świecie ani nie ma racji, ani jest winny, że wszystko to bzdura i głupota i że do diabła z tym wszystkim! Żyłem i jakby robiłem tym przysługę jakiejś nieznanej sile, która zmuszała mnie do życia: niby patrz, no, siło, ani trochę życia nie cenię, a jednak żyje! Myślałem ciągle o tym samym, ale na różne sposoby, i w tym sensie byłem podobny do wytrawnego kucharza, który z jednego ziemniaka potrafi przyrządzić setkę smacznych dań. Byłem bez wątpienia jednostronny i do pewnego stopnia ograniczony, ale wydawało mi się wtedy, że mój horyzont umysłowy nie ma ani początku, ani końca i że umysł mój jest szeroki jak morze. Na ile mogę sądzić z własnego doświadczenia, myślenie, o którym mowa, ma w sobie coś przyciągającego, narkotycznego jak tytoń czy morfina. Staje się przyzwyczajeniem, potrzebą. Wykorzystujecie każdą chwilę samotności i przy każdej sposobności rozkoszujecie się myślami o bezsensowności życia i pozagrobowych ciemnościach. Siedziałem w altance i obserwowałem greckie dzieci z długimi nosami, które grzecznie spacerowały wzdłuż alei. Patrzyłem na nie i rozważałem: „Po co rodzą się i żyją te oto dzieci? Czy jest jakiś sens w ich istnieniu? Wyrosną, same nie wiedząc po co, przeżyją życie w tej dziurze bez żadnej potrzeby i umrą...”

Miałem nawet żal do tych dzieci, że przechadzają się tak godnie i poważnie o czymś rozmawiają, jakby faktycznie wysoko ceniły swoje małe, bezbarwne istnienia i wiedziały, po co żyją... Pamiętam, gdzieś daleko na końcu alei pojawiły się trzy kobiece postaci. Jakieś panienki – jedna w różowej sukience, dwie w białych. Szły obok siebie, trzymając się pod rękę, o czymś rozmawiały i śmiały się. Pomyślałem, odprowadzając je wzrokiem: „Dobrze by teraz z nudów nawiązać na parę dni romans z jakąś kobietą!”

Przypomniałem sobie zresztą, że byłem u swej petersburskiej panienki trzy tygodnie temu, i pomyślałem, że przelotny romans bardzo by mi się teraz przydał. Panienka w białym w środku wydawała się być młodsza i ładniejsza od swych koleżanek i, sądząc po zachowaniu i śmiechu, była gimnazjalistką ze starszej klasy. Patrzyłem się lubieżnie na jej biust i rozmyślałem o niej: „Naucz się muzyki i dobrych manier, wyjdzie za mąż za jakiegoś, wybac mi Panie, Greka z wielkim nohalem, przeżyje życie szaro i głupio, bez żadnej potrzeby, urodzi, sama nie wiedząc po co, kupę dzieci i zemrze. Głupie życie!”

Trzeba przyznać, że byłem mistrzem w łączeniu wysokich myśli z najniższą prozą. Rozważania o pozagrobowych ciemnościach nie przeszkadzały mi zachwycać się biustami i nóżkami. Naszemu miłemu baronowi jego wzniosłe idee też nie przeszkadzają jeździć w każdą sobotę do Wykołowki na donzuańskie wypady. Mówiąc szczerze, na ile siebie pamiętam, mój stosunek do kobiet był jak najbardziej obraźliwy. Teraz na wspomnienie o gimnazjalistce robi mi się wstyd za swoje ówczesne myśli, ale wtedy sumienie moje było

---

<sup>\*</sup> A. Puszkina "Jeździec miedziany". - Ossolineum, 1967, s.5., przekł. J. Tuwima (*przyp. tłum.*).



absolutnie spokojne. Ja, syn porządnych rodziców, chrześcijanin, z wyższym wykształceniem, w gruncie rzeczy nie zły i nie głupi, nie odczuwałem żadnego niepokoju, kiedy płaciłem kobietom, jak mówią Niemcy, *Blutgeld*,\* lub kiedy odprowadzałem gimnazjalistki nieprzystojnym spojrzeniem... Nieszczęście w tym, że młodość ma swoje prawa, a nasze myślenie nie ma nic przeciwko tym prawom, czy są dobre, czy złe. Kto zdaje sobie sprawę, że życie nie ma sensu i śmierć jest nieuchronna, nie obchodzi tego walka z naturą oraz pojęcie grzechu: walczyć czy nie – i tak umrzesz i zgnijesz... Po drugie, moi drodzy, nasze myślenie zasiewa nawet w bardzo młodych ludziach umiejętność kierowania się rozsądkiem. Powszechna jest u nas przewaga rozsądku nad uczuciami. Bezpośredniość, natchnienie – wszystko tłumione jest drobiazgową analizą. Gdzie zaś rozsądek, tam obojętność, a obojętni ludzie – co tam dużo mówić – nie wiedzą, co to jest niewinność. Owa cnota znajoma jest tylko ludziom ciepłym, serdecznym i zdolnym do miłości. Po trzecie, nasze myślenie, negując sens życia, neguje również sens jednostki. Wiadomo, że jeżeli neguję osobę jakiejś Natalii Stiepanowny, jest mi wszystko jedno, obraziłem ją, czy nie. Dziś obraziłem jej ludzką godność, zapłaciłem jej *Blutgeld*, a nazajutrz już nawet nie pamiętam o niej.

A więc siedziałem w altance i obserwowałem panienki. Na alei pojawiła się jeszcze jedna kobieca postać, bez nakrycia na blond włosach i z białą, robioną na drutach chustką na ramionach. Przespacerowała się aleją, potem weszła do altanki i trzymając się poręczy obojętnie popatrzyła w dół i w dal na morze. Nie zwróciła na mnie najmniejszej uwagi, jakby nie zauważyła. Obejrzałem ją od stóp do głowy (a nie od głowy do stóp, jak się patrzy na mężczyzn) i doszedłem do wniosku, że jest młoda, ma nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, ładniutka, zgrabna, najwyraźniej już nie panienka i należy do porządnych kobiet. Ubrana była po domowemu, ale modnie i gustownie jak zwykle ubierają się w N. wszystkie inteligentne panie.

„O, z tą by się związać... – pomyślałem, oglądając jej piękną talię i ręce. – Niczego sobie... Chyba żona jakiegoś eskulapa albo nauczyciela gimnazjum”.

Ale związać się z nią, to znaczy zrobić z niej bohaterkę jednego z tych pośpiesznych romansów, które tak uwielbiają turyści, nie było rzeczą łatwą, wręcz niemożliwą. Zrozumiałem to, kiedy uważniej przyjrzałem się jej twarzy. Patrzyła w taki sposób i miała taki wyraz twarzy jakby morze, dym na horyzoncie i niebo już dawno jej się znudziły i tylko męczyły wzrok; była wyraźnie zmęczona, nudziła się, rozmyślała o czymś smutnym, a na jej twarzy nie było nawet tego próżnego, sztucznie obojętnego wyrazu jaki miewa prawie każda kobieta, kiedy czuje obok siebie obecność obcego mężczyzny.

Blondynka ukradkiem rzuciła na mnie znudzone spojrzenie, usiadła na ławce i zamyśliła się nad czymś. Zrozumiałem z jej spojrzenia, że nic ją nie obchodzi i że moja stołeczna fizjonomia nie wzbudziła w niej nawet najmniejszego zainteresowania. Postanowiłem jednak wszcząć z nią rozmowę i zapytałem:

– Przepraszam panią, będzie pani tak łaskawa powiedzieć, o której odjeżdżają stąd do miasta linijki?

– Chyba o dziesiątej lub jedenastej...

Podziękowałem. Zerknęła na mnie raz, drugi i na jej obojętnej twarzy przemknęła nagle ciekawość, potem coś podobnego do zdziwienia... Pośpieszyłem przybrać obojętną minę i odpowiednią pozę: bierze! Nagle poderwała się z ławki jakby ją coś użądliło, przelotnie uśmiechnęła się i gorączkowo oglądając mnie ze wszystkich stron, zapytała nieśmiało:

– Przepraszam, czy pan nie nazywa się przypadkiem Ananjew?

– Zgadza się... – odpowiedziałem.

– Pan mnie nie poznaje? Nie?

---

\* Tu: odszkodowanie za zbezczeszczenie (*niem.*).

Trochę się zmieszałem, uważnie na nią popatrzyłem i, proszę sobie wyobrazić, poznałem ją nie po twarzy czy figurze, a po łagodnym, zmęczonym uśmiechu. Była to Natalia Stiepanowna lub, jak ją nazywali, Kicia, ta sama, w której byłem zakochany bez pamięci jakieś siedem–osiem lat temu, kiedy nosiłem jeszcze mundurek gimnazjalisty. Odległe dzieje dni minionych, klechdy zamierzchłej już przeszłości...<sup>\*</sup> Pamiętam tę Kicię, kiedy była maleńką, chudziutką piętnastoletnią gimnazjalisteczką i idealnie odpowiadała gustom gimnazjalistów, bo była jakby specjalnie stworzona do platonicznej miłości. Była cudowną dziewczynką! Bładziutka, delikatna, leciutka – wydawało się, dmuchnąć na nią, a odleci jak puch do samych niebios – twarz łagodna, zdziwiona, rączki malutkie, włosy długie aż po pas, miękkie, talia cienka jak u osy – krótko mówiąc, coś eterycznego, przezroczystego jak światło księżycy, więc piękność niesamowita według gimnazjalisty... Byłem w niej zakochany – i to jak! Nocami nie spałem, wiersze pisałem... Zdarzało się, siadywała wieczorami w miejskim parku na ławce, a my, gimnazjaliści, gromadziliśmy się wokół niej i z namaszczeniem ją obserwowaliśmy... W odpowiedzi na nasze komplementy, pozy i westchnienia nerwowo wruszała ramionami od wieczornego chłodu, mrużyła oczy i łagodnie się uśmiechała, robiła się wtedy bardzo podobna do malutkiego, milutkiego koteczka; kiedy patrzyliśmy na nią, każdemu z nas chciało się ją popieścić i pogłaskać jak kotkę – stąd przezwisko Kicia.

W ciągu siedmiu–ośmiu lat mojej nieobecności bardzo się zmieniła.

Spowaźniała, przybrała na wadze i już nie była podobna do miękkiego, puszystego kotka. Rysy jej twarzy nie to, że zestarzały się czy zblakły, a zrobiły się jakby przyćmione i srozsze, włosy wydawały się być krótsze, wzrost większy, ramiona prawie dwa razy szersze, a najważniejsze, że na jej twarzy pojawił się wyraz macierzyństwa i pokory, jaki bywa u porządnych kobiet w jej wieku, którego wcześniej, oczywiście, u niej nie widziałem... Krótko mówiąc, z tamtych gimnazjalnych czasów platonicznej miłości pozostał tylko łagodny uśmiech i nic więcej...

Zawiązała się rozmowa. Dowiedziawszy się, że jestem inżynierem, Kicia strasznie się ucieszyła.

– Jak cudownie! – powiedziała, patrząc mi radośnie w oczy. – Ach, jak cudownie! Zuchy z was wszystkich! Z całego waszego rocznika ani jednego pechowca, wszyscy na ludzi wyszli. Jeden inżynier, drugi doktor, trzeci nauczyciel, czwarty ponoć słynny śpiewak w Petersburgu... Zuchy z was wszystkich co do jednego! Ach, jak cudownie!

W oczach Kici iskrzyła się prawdziwa radość i życzliwość. Zachwycała się mną jak starsza siostra albo była nauczycielka. A ja patrzyłem na jej miłą twarz i myślałem: „Dobrze by było pójść z nią dzisiaj do łóżka!”

– Pamięta pani, Natalio Stiepanowno – zapytałem ją – jak kiedyś w ogrodzie dałem pani kwiaty z liścikiem? Pani to przeczytała i tak się zdziwiła...

– Nie, nie pamiętam – powiedziała śmiejąc się. – Ale pamiętam, jak chciał pan przeze mnie wyzwać Florensa na pojedynek...

– A tego, proszę mi wybaczyć, nie pamiętam...

– Było, minęło... – westchnęła Kicia. – Kiedyś byłam dla was wszystkich boginią, a teraz moja kolej wami się zachwycać...

Dowiedziałem się później, że w dwa lata po skończeniu gimnazjum wyszła za mąż za pewnego miejscowego obywatela, na pół Greka na pół Rosjanina, pracującego w banku czy towarzystwie ubezpieczeniowym i zajmującego się jednocześnie handlem zbożem. Nazwisko miał jakieś takie dziwaczne, coś podobnego do Populaki czy Skarandopulo... Cholera go wie, zapomniałem... O sobie Kicia mówiła mało i niechętnie. Rozmawialiśmy wyłącznie o mnie.

---

<sup>\*</sup> A. Puszkina "Ruslan i Ludmiła". - PIW, 1954, s. 9., przekł. J. Brzechwy (*przyp. tłum.*).

Wypytywała o uczelnię, o kolegów, o Petersburg, o moje plany, i wszystko, o czym mówiłem, wzniecało w niej gwałtowną radość i okrzyki: „Ach, jak cudownie!”

Zeszliśmy na dół, przespacerowaliśmy się po piaszczystym brzegu, a kiedy ze strony morza powiało wieczornym chłodem, wróciliśmy na górę. Przez cały czas rozmawialiśmy o mnie i o przeszłości. Spacerowaliśmy aż do chwili, kiedy odbicia wieczornej zorzy w oknach dacz nie zaczęły gasnąć.

– Chodźmy do mnie na herbatę – zaproponowała Kicia. – Samowar chyba już dawno na stole... Jestem sama w domu – powiedziała, kiedy przez zieleń akacji ujrzałem jej daczę. – Mąż jak zwykle w mieście i wraca dopiero w nocy, a i tak nie codziennie, więc nudzę się sama koszmarnie.

Szedłem za nią i zachwyciałem się jej plecami i ramionami. Cieszyłem się, że była zameżna. Zameżne bardziej nadają się do przelotnych romansów niż panienki. Cieszyłem się również z tego, że jej męża nie ma w domu... Ale jednocześnie przeczuwałem, że nic z tego nie wyjdzie...

Weszliśmy do środka. Pokoje były nieduże, niskie, meble letniskowe (rosyjski człowiek trzyma na daczach meble niewygodne, ciężkie, wyblakłe, których i wyrzucić szkoda, i nie ma co z nimi zrobić), ale pewne drobiazgi świadczyły o tym, że żyła Kicia z mężem dostatnie, wydając jakieś pięć – sześć tysięcy rocznie. Pośrodku pokoju, który Kicia nazywała jadalnią, stał okrągły stół, nie wiadomo czemu na sześciu nóżkach, na nim samowar i filiżanki, a na brzegu leżała otwarta książka, ołówek i zeszyt. Zajrzałem do książki i poznałem zbiór zadań z matematyki Malinina i Buriienina. Otwarty był, jak teraz pamiętam, na „zasadach spółek”.

– Daje pani komuś lekcje? – zapytałem.

– Nie... – odpowiedziała. – To tak... Z nudów, nie mam co robić, więc przeszłość wspominam, zadania rozwiązuję.

– Ma pani dzieci?

– Miałam chłopczyka, ale zmarł po tygodniu.

Usiedliśmy pić herbatę. Kicia znów zaczęła mną się zachwycać i wciąż powtarzała, jak to dobrze, że jestem inżynierem, i jak ona się cieszy z tego powodu. I im więcej mówiła, im szczerzej się uśmiechała, tym większego nabierałem przekonania, że wyjdę od niej z niczym. Byłem już wtedy doświadczonej części romansów i potrafiłem trzeźwo ocenić szanse na powodzenie. Śmiało możecie liczyć na powodzenie, kiedy polujecie na głupią babę albo taką samą poszukiwaczkę przygód i wrażeń, jakimi sami jesteście, albo spryciarę, którą w ogóle nie obchodziecie. Jeśli zaś spotykacie kobietę niegłupią i poważną, na twarzy której widzicie pokorne zmęczenie i życzliwość, która szczerze się cieszy z waszej obecności, a głównie – szanuje was, odejdziecie z kwitkiem. Aby dopiąć tu swego, potrzeba więcej czasu niż jeden dzień.

Przy wieczornym oświetleniu wyglądała bardziej pociągająco niż za dnia. Podobała mi się coraz bardziej, zauważyłem, że i ja nie jestem jej obojętny. Sytuacja była w sam raz na romans: męża nie ma, służby nie widać, cisza dookoła... Nie wierzyłem w powodzenie, a jednak zdecydowałem się na atak. Najpierw trzeba było przejść na poufały ton i zmienić poważny i liryczny nastrój Kici na bardziej lekki...

– Natalio Stiepanowno, zmieńmy temat – zacząłem. – Porozmawiajmy o czymś wesołym... Najpierw pozwól mi, że będę nazywać panią jak dawniej Kicią.

Pozwoliła.

– Proszę mi, Kiciu, powiedzieć – ciągnąłem – co za osa ugryzła tutaj taką piękną pleć? Co się z nią stało? Przedtem była tak wysoce moralna, cnotliwa, a teraz, o którą nie zapytasz, o wszystkich takie rzeczy wygadują, że aż człowieka szkoda... Jedna panienka z oficerem uciekła, druga uciekła i gimnazjalistę za sobą pociągnęła, trzecia, zameżna, z aktorem

wyjechała, czwarta odeszła od męża do oficera i tak dalej, i tak dalej... Toż to epidemia jakaś! W ten sposób w waszym mieście wkrótce ani jednej panienki i młodej żony nie zostanie!

Mówiłem lekkim, kokieterijnym tonem. Jeśliby Kicia się roześmiała, mówiłbym dalej w ten oto sposób: „Niech pani uważa, Kiciu, żeby i pani jakiś oficer czy aktor nie uprowadził!” A ona opuściłaby oczęta i powiedziała: „I kto to zechce uprowadzać taką? Są młodsze i ładniejsze...” A ja na to: „Niech pani tak nie mówi, Kiciu, pierwszy bym panią porwał!” I tak dalej i temu podobne, aż w końcu by mi się udało. Kicia nie roześmiała się, a wręcz przeciwnie, przybrała poważną minę i westchnęła.

– Wszystko, co gadają, prawda... – powiedziała. – Z aktorem wyjechała moja zameżna kuzynka Sonia. Nie jest to, oczywiście, dobrze... Człowiek powinien znosić swój los z pokorą, ale nie osądzam jej i nie obwiniam... Okoliczności nieraz bywają silniejsze od człowieka.

– Zgadzam się, Kiciu, ale jakie to okoliczności mogły wywołać prawdziwą epidemię?

– Nie ma w tym nic dziwnego... – powiedziała Kicia unosząc brwi. – U nas inteligentne dziewczyny i kobiety nie mają co z sobą zrobić. Jechać na studia albo iść w nauczycielki, poświęcić się ideałom i jakiemuś celowi, jak to robią mężczyźni, nie każda potrafi. Zostaje więc tylko wyjść za męża A za kogo tu wychodzić? Wy, chłopcy, kończycie gimnazjum i wyjeżdżacie na uniwersytety, żeby nigdy więcej tu nie wracać, i żenicie się w stolicach, a dziewczyny zostają!.. Za kogo mają wychodzić? No i wychodzą, nie mając tu porządnych, wykształconych ludzi, Bóg wie, za kogo, za różnych maklerów i Greków, którzy potrafią tylko pić i w klubie rozrabiać... I wychodzą dziewczyny za takich, ot tak sobie, bez potrzeby... Co to za życie? Sam pan rozumie, kobieta wykształcona i dobrze wychowana żyje u boku człowieka głupiego, o ciężkim charakterze; spotyka jakiegoś inteligentnego człowieka, oficera, aktora czy lekarza, no i zakochuje się w nim, nie może dalej wytrzymać, więc ucieka od męża. Nie wolno ją za to osądzać!

– Jeżeli tak to wygląda, Kiciu, to po co za męża wychodzić? – zapytałem.

– Ma pan rację – westchnęła Kicia – ale przecież każda dziewczyna uważa, że lepszy byle jaki mąż niż żaden... Tak w ogóle, Nikołaju Anastasjewiczu, niedobrze tutaj się żyje, bardzo niedobrze! I w panieństwie duszno, i w małżeństwie tak samo... Śmieją się z Soni, że uciekła, i w dodatku z aktorem, ale jakby w jej duszę zajrzeli, nie do śmiechu by im było...

Za drzwiami znów odezwał się Azorek. Warknął na kogoś ze złością, potem zawył tęsknie i walnął całym ciałem o ścianę baraku... Twarz Ananiewa skrzywiła się ze współczucia; przerwał opowiadanie i wyszedł. Przez parę minut słychać było, jak uspokajał za drzwiami psa: „Dobry pies! Biedny pies!”

– Nasz Nikołaj Anastasycz lubi pogadać – powiedział von Stenberg uśmiechając się. – Dobry z niego człowiek! – dodał po chwili milczenia.

Wróciwszy do baraku, inżynier dolał wina do naszych szklanek i uśmiechając się i gładząc po piersi, opowiadał dalej:

– Poniosłem porażkę. Co robić, odłożyłem swe brudne zamiary na bardziej odpowiedni moment, pogodziłem się z porażką i, jak to się mówi, machnąłem na to ręką. Mało tego, pod wpływem głosu Kici, wieczornego powietrza i ciszy sam powoli wpadałem w kontemplacyjny, liryczny nastrój. Pamiętam, siedziałem w fotelu przy otwartym na oścież oknie i patrzyłem na drzewa i ciemniejące niebo. Sylwetki akacji i lip były wciąż takie same jak osiem lat temu; tak samo jak wtedy, w czasach dzieciństwa, ktoś brzdąkał na rozstrojonym fortepianie, tak samo alejkami przechadzali się ludzie, ale nie byli to już ci sami ludzie. To nie ja chodziłem alejkami i nie moi koledzy i objekty mojej miłości, a jacyś nieznajomi gimnazjaliści, nieznajome panienki. I zrobiło mi się smutno. A kiedy na moje pytania o znajomych z pięć razy dostałem odpowiedź: „nie żyje”, mój smutek zamienił się w uczucie, jakie pojawia się na nabożeństwie żałobnym po dobrym człowieku. I siedząc tak koło okna, patrząc na spacerujących i słuchając brzdąkania fortepianu, uświadomiłem sobie, z jaką

chciwością śpieszy się jedno pokolenie przyjąć na zmianę drugiemu i jakie fatalne znaczenie w życiu człowieka mogą mieć nawet te siedem–osiem lat!

Kicia postawiła na stole butelkę wina. Wypiłem, rozkleiłem się i zacząłem o czymś długo opowiadać. Kicia słuchała i wciąż zachwycała się mną i moją inteligencją. A czas uciekał. Niebo pociemniało tak, że sylwetki akacji i lip zlały się w jedno, ludzie nie spacerowali już po parku, fortepian ucichł i słychać było tylko jednostajny szum morza.

Młodzi są tacy sami. Przygarnijcie, przyhołubcie młodego człowieka, poczęstujcie go winem, dajcie mu do zrozumienia, że jest sympatyczny, a on rozsiądzie się, zapomni o tym, że pora już iść, i będzie gadał, gadał i gadał... U gospodarzy zamykają się oczy, pora iść spać, a ten siedzi i gada. Byłem taki sam. Raz przypadkowo zerknąłem na zegarek: dochodziło wpół do jedenastej. Zacząłem się żegnać.

– Proszę wypić na drogę – powiedziała Kicia.

Wypiłem na drogę, znów zacząłem rozwlekle gadać, zapomniałem, że pora iść, i znów usiadłem. Ale oto rozległy się męskie głosy, kroki i brzęczenie ostróg. Jacyś ludzie przeszli pod oknami i zatrzymali się koło drzwi.

– Chyba mąż wrócił... – powiedziała Kicia nasłuchując.

Trzasnęły drzwi, głosy rozlegały się już z przedpokoju, zobaczyłem, jak obok drzwi prowadzących do jadalni przeszli dwaj mężczyźni: jeden – tęgi, solidny brunet z garbatym nosem i w słomkowym kapeluszu i drugi – młody oficer w białym mundurze. Mijając drzwi obaj obojętnie i mimochodem zerknęli na mnie i Kicię, wyglądali na pijanych.

– Nakłamała ci, a ty jej uwierzyłeś! – rozległ się za chwilę donośny głos z mocnym nosowym akcentem. – Po pierwsze, było to nie w dużym klubie, a w małym.

– Złosisz się, Jupiterze, znaczy, nie masz racji... – powiedział drugi, pewnie oficer, śmiejąc się i kaszląc. – Słuchaj, mogę u ciebie zostać na noc? Mów szczerze: nie narobię cię kłopotów?

– Co za pytanie? Mało tego, że możesz, wręcz musisz. Czego chcesz, piwa czy wina?

Obaj siedzieli dwa pokoje obok nas, głośno rozmawiali i nie zwracali żadnej uwagi ani na Kicię, ani na jej gościa. Kicia po powrocie męża gwałtownie się zmieniła. Najpierw zaczerwieniła się, potem na jej twarzy pojawił się wyraz lęku i winy: zawładnął ją jakiś niepokój, zdawało mi się, że wstydziła się za swego męża i chciała, żebym już sobie poszedł.

Zacząłem się żegnać. Kicia odprowadziła mnie na ganek. Dobrze pamiętam jej łagodny, smutny uśmiech i ciepłe, pokorne spojrzenie, kiedy ścisnęła mi rękę i mówiła:

– Chyba już się nie spotkamy... Daj panu Bóg wszystkiego dobrego. Dziękuję panu!

I ani westchnienia, ani słowa więcej. Trzymała w rękach świecę; jasne plamy skakały po jej twarzy i szyi jakby chciały złapać jej uśmiech; wyobraziłem sobie dawną Kicię, którą chciało się pogłaskać jak kotkę, uważnie popatrzyłem na obecną, przypomniały mi się, nie wiadomo czemu, jej słowa, że człowiek powinien pogodzić się ze swym losem – i zrobiło mi się ciężko na sercu. Byłem człowiekiem szczęśliwym i obojętnym, ale intuicja podpowiadała mi, a sumienie szeptało, że oto stoi przede mną człowiek dobry, życzliwy, zdolny do miłości, ale udęczonej.

Ukloniłem się i poszedłem w stronę bramy. Było już całkiem ciemno. W lipcu na południu wieczory zapadają wcześniej i ściemnia się szybko. Koło dziesiątej bywa już tak ciemno, że nie widać kompletnie nic. Póki, prawie po omacku, szukałem bramy, wypaliłem ze dwadzieścia zapalek.

– Woźnica! – krzyknąłem wychodząc za bramę; w odpowiedzi – grobowa cisza... – Woźnica! – powtórzyłem. – Hej! linijka!

Ale nie było ani woźnicy, ani linijek. Cicho jak na cmentarzu. Słyszę tylko, jak szumi drzemiące morze i jak wali po winie moje serce. Podnoszę oczy ku niebu – ani jednej

gwiazdy. Ciemno i pochmurno. Nie wiadomo czemu wzruszam ramionami, głupio się uśmiecham i znów, ale tym razem nie tak zdecydowanie, wołam woźnicę.

– ...Ica! – odpowiada mi echo.

Iść na piechotę cztery wiorsty przez pole i w dodatku w ciemnościach – perspektywa nie z przyjemnych. Zanim decyduję się na to, długo zastanawiam się i wołam woźnicę, potem wzruszam ramionami i wracam bez żadnego celu do zagajnika. W zagajniku ciemno, aż strach. Gdzieniedzie między drzewami słabo czerwienią się okna letników. Wrona, obudzona moimi krokami i przestraszywszy się zapalek, którymi oświetlam sobie drogę do altanki, przelatuje z drzewa na drzewo i szeleści w listowiu. Ogarnia mnie złość i wstyd, a wrona jakby rozumie to i drażni – krrra! Złoszczę się, że trzeba będzie iść na piechotę, i wstydzę się, że rozgadałem się u Kici jak żółtodziób.

Dotarłem do altanki, wymacałem ławkę i usiadłem. Daleko na dole, w gęstych ciemnościach, cicho i gniewnie szemrało morze. Pamiętam, byłem jak ślepy, nie widziałem ani morza, ani nieba, ani nawet altanki, w której siedziałem, i zaczęło mi się wydawać, że cały ten świat składa się tylko z myśli, błędzących w mojej podchmielonej głowie, i z niewidzialnej siły, monotonie szumiącej gdzieś na dole. Później, kiedy zdrzemnąłem się, wydawało mi się, że szumi nie morze, a moje myśli, i że cały świat składa się tylko ze mnie. I wezbrawszy w ten sposób w siebie cały świat, zapomniałem i o woźnicy, i o mieście, i o Kici i oddałem się uczuciu, które tak lubiłem. Jest to uczucie śmiertelnej samotności, kiedy się zdaje, że w całym wszechświecie, ciemnym i bezkształtnym, istniejesz tylko ty jeden. Uczucie wyniosłe, demoniczne, dostępne tylko Rosjanom, myśli i uczucia których są tak samo szerokie, bezkresne i surowe jak ich równiny, lasy i śniegi. Jakbym był malarzem, koniecznie namalowałbym ten wyraz twarzy Rosjanina, kiedy siedzi tak nieruchomo i, schowawszy pod siebie nogi, obejmując głowę rękami, oddaje się temu uczuciu... A z tymi uczuciami sąsiadują myśli o bezsensowności życia, o śmierci, o pozagrobowych ciemnościach... myśli nic nie warte, ale wyraz twarzy musi być piękny...

Siedziałem więc tak i drzemałem, nie chcąc się ruszać – było mi ciepło i spokojnie – aż nagle na tle równego, jednostajnego szumu morza zaczęły pojawiać się dźwięki, które odwróciły moją uwagę od samego siebie... Ktoś pośpiesznie szedł aleją. Ten ktoś podszedł do altanki, zatrzymał się, zaszlochał jak dziewczynka i głosem płaczącej dziewczynki zawołał:

– Boże kochany, kiedy to wszystko się skończy? Mój Boże!

Sądząc po głosie i płaczu była to dziesięcio – dwunastoletnia dziewczynka. Weszła niezdecydowanym krokiem do altanki, usiadła i zaczęła na głos modlić się albo skarżyć...

– Boże! – mówiła płacząc. – Przecież to nie do zniesienia! Nikt tego nie wytrzyma! Cierpię, milczę, ale przecież mnie też chce się żyć... Ach, mój Boże, mój Boże!

I wciąż to samo... Chciałem popatrzeć, kto to jest, porozmawiać z nią. Żeby jej nie przestraszyć, najpierw głośno westchnąłem i zakaszlałem, potem ostrożnie zapaliłem zapalniczkę... Jaskrawe światło błysnęło w ciemnościach i oświetliło tego, kto płakał. Była to Kicia...

– No tak... Jak w bajce! – westchnął von Stenberg. – Czarna noc, szum morza, cierpiąca ona, on przeżywający samotność we wszechświecie... bzdury niesamowite! Tylko Czerkiesów z kindzałami brak.

– Nie bajkę panu opowiadam, tylko prawdę.

– A nawet jeśli i prawdę... Po co to wszystko, i tak od razu było wiadomo...

– Niech pan zaczeka ze swoją pogardą, chciałbym to skończyć! – powiedział Ananjew i machnął poirytowaną ręką. – Proszę mi nie przeszkadzać! Nie panu opowiadam, a doktorowi... Więc – mówił, zwracając się teraz już tylko do mnie i zerkając z ukosa na studenta, który pochylił się nad swymi rachunkami i wydawał się być bardzo zadowolony z tego, że zdenerwował inżyniera. – Więc zobaczywszy mnie, Kicia nie zdziwiła się ani nie

przestraszyła, jakby wcześniej wiedziała, że spotka mnie tutaj. Miała urywany oddech i drżała na całym ciele jak w febrze, a jej twarz, mokra od łez, na ile mogłem dostrzec, zapalając jedną zapalną za drugą, nie była już jak przedtem poważna, pokorna i zmęczona, a jakaś inna, której do tej pory nie mogę zrozumieć. Nie było na tej twarzy ani bólu, ani strachu, ani smutku, nic takiego, co wyrażały jej słowa i łzy... Chyba przez to, że nie rozumiałem jej wyrazu, wydawało mi się, że była pijana.

– Dłużej nie wytrzymam... – mamrotała Kicia głosem płaczącej dziewczynki. – Nie mam już sił, Nikołaju Anastasyczu! Proszę mi wybaczyć, Nikołaju Anastasyczu... Nie mogę dłużej tak żyć... Pójdę do miasta, do matki... Odprowadzi mnie pan? Błagam pana, niech mnie pan odprowadzi!

Na widok łez nie potrafię ani mówić, ani milczeć. Zmieszałem się i zamamrotałem coś na pocieszenie.

– Nie, jadę do matki! – powtórzyła Kicia zdecydowanie, wstając i chwytając się kurczowo za moją rękę (jej ręce i rękawy były mokre od łez). – Przepraszam, Nikołaju Anastasyczu, pojedę... Dłużej nie wytrzymam...

– Kiciu, ale nie ma ani jednego woźnicy! – powiedziałem. – Czym pani pojedzie?

– To nic, pójdę na piechotę... To niedaleko. Nie zniosę już tego...

Byłem zmieszany, ale nie poruszyła mnie. Widziałem we łzach Kici, w jej dreszczach i tępych wyrazie twarzy niepoważny francuski albo małopolski melodramat, gdzie każda kropla błahego, taniego smutku jest obficie polewana litrami łez. Nie rozumiałem jej i wiedziałem, że nie rozumiem, powinienem być milczeć, ale nie wiem czemu, chyba żeby moje milczenie nie zostało odebrane jako głupie, uważałem za konieczne namawiać ją nie jechać do matki i wrócić do domu. Płaczący nie lubią, kiedy ktoś widzi ich łzy. A ja zapalałem jedną zapalną za drugą, póki nie skończyły się zapalnice. Po co mi była taka iluminacja, do dziś nie mogę zrozumieć. Ale ludzie zimni często bywają niezręczni, a nawet głupi.

Kicia wzięła mnie wreszcie pod rękę i wyszliśmy za bramę, skręciliśmy w prawo i ruszyliśmy powoli po miękkiej zakurzonej drodze. Było ciemno; kiedy moje oczy przyzwyczały się po trochu do ciemności; dostrzegłem sylwetki starych, ale cienkich dębów i lip, które rosły po obu stronach drogi. Z prawej strony niewyraźnie zaznaczył się czarny pas nierównego, urwistego brzegu, przecięty gdzieś niedługo niewielkimi, głębokimi parowami i wypłuczyskami. Koło parowów przykucnęły niewysokie krzaki, podobne do siedzących ludzi. Ogarnął mnie strach. Patrzyłem podejrzliwie na brzeg, a szum morza i cisza nieprzyjemnie oddziaływały na moją wyobraźnię. Kicia milczała. Cały czas drżała i wkrótce była już zmęczona i z trudem łapała oddech. Ja również milczałem.

W odległości wiorsty od Kwarantanny stoi porzucony czteropiętrowy budynek z bardzo wysokim kominem, był tu kiedyś młyn parowy. Stoi samotnie na brzegu i w ciągu dnia widać go z daleka od strony morza i pola. Ponieważ jest porzucony i nikt w nim nie mieszka, i że chowa się w nim echo, które wyraźnie powtarza kroki i głosy przechodniów, wydaje się tajemniczy. Proszę więc sobie wyobrazić mnie ciemną nocą pod rękę z kobietą, która właśnie uciekła od męża, koło długiego i wysokiego kolosa, który powtarza każdy krok i wpatruje się we mnie mnóstwem czarnych okien. Normalny młody człowiek w takim otoczeniu wpadłby w romantyzm, a ja patrzyłem na ciemne okna i myślałem: „Wszystko to robi wrażenie, ale i po tym budynku, i po Kici z jej nieszczęściem, i po mnie z moimi myślami za jakiś czas i śladu nie zostanie... Wszystko to bzdury i marność...”

Kiedy byliśmy koło młyna, Kicia nagle zatrzymała się, uwolniła rękę i zaczęła mówić, ale już nie głosem dziewczynki, a normalnym:

– Nikołaju Anastasyczu, wiem, że dziwi pana to wszystko. Ale jestem strasznie nieszczęśliwa! Nawet nie może pan sobie wyobrazić, jaka jestem nieszczęśliwa! Tego nie da

się wyobrazić! Nie opowiadam panu, bo nie wolno o tym opowiadać... Co za życie, co za życie...

Kicia urwała, zacisnęła zęby i zajęczała tak jakby z całych sił starała się nie zakrzyczeć z bólu.

– Co za życie! – powtarzała przeciągle przerażonym głosem z tym południowym, trochę ukraińskim akcentem, który, zwłaszcza u kobiet, nadaje podnieconej mowie melodię. – Co za życie! Ach, mój Boże, mój Boże, i za co to? Ach, mój Boże, mój Boże!

Wzruszała ze zdziwieniem ramionami, kiwała głową i załamywała ręce, jakby chciała rozwikłać tajemnicę swojego życia. Mówiła jakby pieśń śpiewała, poruszała się pięknie, z gracją i przypominała mi pewną słynną ukraińską artystkę.

– Boże, siedzę jak w więzieniu! – ciągnęła załamując ręce. – Żeby chociaż chwilę pożyć radośnie, jak ludzie żyją! Ach, mój Boże, mój Boże! Do czego to doszło: uciekam w nocy od męża na oczach obcego jak rozpustnica jakaś. Czego można jeszcze po tym oczekiwać?

Zachwyciłem się jej ruchami i głosem i nagle poczułem, że cieszę się z tego, że żyje w niezgodzie z mężem. „Dobrze by było pójść z nią do łóżka!” – przemknęło w mojej głowie. Ta okrutna myśl nie opuszczała mnie przez całą drogę, kusząc coraz bardziej...

Półtorej wiorsty za młynem trzeba było skrócić obok cmentarza w lewo. Na rogu cmentarza stoi wiatrak, a koło niego nieduża chatka, w której mieszka młynarz. Minęliśmy wiatrak i chatkę, skrzyliśmy w lewo i doszliśmy do cmentarnych bram. Tu Kicia zatrzymała się i powiedziała:

– Wracam, Nikołaju Anastasyczu! Niech pan idzie z Bogiem, sama wrócę. Nie boję się.

– Jak to! – przestraszyłem się. – Jak iść, to iść...

– Niepotrzebnie się uniosłam... Wszystko przez drobiazg. Przypomniał mi pan przeszłość, wzbudził różne myśli... Było mi smutno i chciało się płakać, a mąż i oficer obrazili mnie, no i nie wytrzymałam... I po co pójdę do matki? Czy stanę się przez to bardziej szczęśliwa? Muszę wracać A zresztą... idziemy! – powiedziała i roześmiała się. – Wszystko mi jedno!

Pamiętam, napis na bramie cmentarza: „Przyjdzie godzina, w której wszyscy, co są w grobach, usłyszą głos jego”<sup>\*</sup>, dobrze wiedziałem, że wcześniej czy później nadejdzie czas, kiedy i ja, i Kicia, i jej mąż, i oficer w białym mundurze będziemy leżeć za ogrodzeniem pod ciemnymi drzewami, wiedziałem, że obok mnie idzie nieszczęśliwy, poniżony człowiek – wszystko to wyraźnie sobie uzmysławiałem, a jednocześnie niepokoił mnie ciężki, paskudny strach, że Kicia wróci i nie będę mógł powiedzieć jej tego, co chciałem. Nigdy jeszcze myśli wzniosłe nie łączyły się w mojej głowie tak mocno z najbardziej niską, zwierzęcą prozą, jak tamtej nocy... Okropieństwo!

Znaleźliśmy w pobliżu cmentarza woźnicę. Dojechaliśmy do ulicy Dużej, gdzie mieszkała matka Kici, odprawiliśmy woźnicę i poszliśmy chodnikiem. Kicia cały czas milczała, a ja patrzyłem na nią i złościłem się na siebie: „Zaczynaj! To odpowiednia chwila!” W dwudziestu krokach od hotelu, w którym mieszkałem, Kicia zatrzymała się i rozplakała.

– Nikołaju Anastasyczu! – powiedziała płacząc, śmiejąc się i patrząc mi prosto w twarz mokrymi, błyszczącymi oczami. – Nigdy nie zapomnę pańskiego współczucia... Jaki pan jest dobry! Jakie zuchy z was wszystkich! Szlachetni, wielkoduszni, życzliwi, inteligentni Ach, jak cudownie!

Widziała we mnie inteligentnego i światłego pod każdym względem człowieka, a na jej mokrej, uśmiechniętej twarzy, wraz ze wzruszeniem i zachwytem, które wzbudzała u niej moja osoba, był wypisany żal, że rzadko spotyka takich ludzi i że Bóg nie dał jej szczęścia być żoną jednego z nich. Szeptowała: „Ach, jak cudownie!” Dziecinna radość na twarzy, łyzy, łagodny

---

<sup>\*</sup> Ewangelia wg św. Jana, 5, 28 (przyp. tłum.).



uśmiech, miękkie włosy przykryte chustką, i sama chustka, niedbale narzucona na głowę, przypomniały mi dawną Kicię, którą chciało się pogłaskać jak kotkę...

Nie wytrzymałem i zacząłem głaskać jej włosy, ramiona, ręce...

– Kiciu, no czego ty chcesz? – mówiłem. – Chcesz, żebym cię stąd zabrał? Zabiorę cię z tego więzienia i zrobię szczęśliwą. Kocham cię... Pojedziesz ze mną, moja piękności? Tak? Dobrze?

Na twarzy Kici pojawiło się zdumienie. Odsunęła się od latarni, pod której staliśmy, i patrzyła na mnie dużymi przerażonymi oczami. Chwyciłem ją mocno za rękę i zacząłem całować jej twarz, szyję, ramiona, zapewniając ją o miłości i obsypując przyrzeczeniami.

W sprawach miłosnych klątwy i przyrzeczenia stanowią konieczność wprost fizjologiczną. Nie można się bez nich obejść. Nieraz wiesz, że kłamiesz i że obietnice tu na nic, a jednak przyrzekasz i obiecujesz. Zaskoczona Kicia cofała się cały czas do tyłu i patrzyła na mnie dużymi oczami...

– Nie trzeba! Nie trzeba! – szeptała, odpychając mnie rękami.

Mocno ją objąłem, a ona nagle histerycznie się rozplakała i na jej twarzy pojawił się ten sam bezmyślny, tępy wyraz, jaki miała w altance... Nie pytając ją o zgodę i nie dopuszczając do głosu, pociągnąłem ją siłą do hotelu... Była osłupiała i nie chciała iść, więc wziąłem ją pod rękę i prawie poniosłem... Pamiętam, kiedy wchodziliśmy po schodach na górę, jakiś jegomość z czerwonym otokiem ze zdziwieniem popatrzył na mnie i uklonił się Kici...

Ananjew zaczerwienił się i zamilkł. Przeszedł się w milczeniu wokół stołu, podrapał się z rozdrażnieniem w tył głowy i kilka razy nerwowo wzruszył ramionami jakby poczuł chłód na swych szerokich plecach. Zrobiło mu ciężko i wstyd od tych wspomnień...

– Niedobrze! – powiedział, wypijając szklankę wina i potrząsając głową. – Mówią, że przed każdym wykładem o kobiecych chorobach radzą studentom medycyny, żeby zanim rozbiórą i zbadają chorą kobietę, przypomnieli sobie, że mają matkę, siostrę, narzeczoną... Ta rada przydałaby się nie tylko medykom, ale każdemu, kto ma w swoim życiu styczność z kobietami. Teraz, kiedy mam żonę i córkę, jak ja rozumiem tę radę! Jak rozumiem, Boże kochany! Ale słuchajcie, co działo się dalej... Zostawszy moją kochanką, Kicia podeszła do sprawy inaczej niż ja. Zakochała się namiętnie i mocno. To, co było dla mnie zwykłą miłosną przygodą, stanowiło dla niej prawdziwy przewrót w życiu. Wyglądała na szaloną. Po raz pierwszy w życiu była szczęśliwa, od razu odmłodziła o parę lat, twarz miała natchnioną i pełną uniesienia, raz się śmiała, raz płakała i cały czas marzyła na głos, jak pojedziemy jutro na Kaukaz, stamtąd jesienią do Petersburga, jak będziemy żyć później...

– Nie martw się mężem! – uspokajała. – Powinien dać mi rozwód. Całe miasto wie, że żyje ze starszą Kostowiczową. Dostanę rozwód i weźmiemy ślub.

Jak już kobieta się zakocha, przystosowuje się i przyzwyczaja do człowieka szybko jak kotka. Po półtorej godziny pobytu u mnie Kicia czuła się tu jak u siebie w domu i rządziła się moimi rzeczami jak swymi własnymi. Pakowała je do walizki, karciała mnie za to, że nie wiem na wieszaku swojego nowego drogiego palta, a rzucam go na krzesło jak szmatę i tak dalej.

Patrzyłem na nią, słuchałem i czułem znużenie i irytację. Trochę mnie razila myśl, że porządna, uczciwa i cierpiąca kobieta tak łatwo, w ciągu jakichś trzech–czterech godzin, została kochanką pierwszego lepszego mężczyzny. To już mnie jako człowiekowi uczciwemu wcale się nie podobało. Denerwowało mnie i to, że kobiety pokroju Kici są tak powierzchowne i niepoważne, zanadto kochają życie i nawet taki w zasadzie drobiazg, jak miłość do mężczyzny, utożsamiają ze szczęściem, cierpieniem, życiowym przewrotem... Poza tym teraz, kiedy zaspokoilem swoje żądze, byłem zły na siebie, że zrobiłem głupstwo i związałem się z kobietą, którą będę zmuszony okłamać... Trzeba tu zauważyć, że mimo swego dość swobodnego życia, nie znosiłem kłamstwa.

Pamiętam, jak usiadła u mych nóg, położyła mi głowę na kolana i patrząc na mnie błyszczącymi, kochającymi oczami, zapytała:

– Kola, kochasz mnie? Bardzo? Bardzo?

I roześmiała się ze szczęścia... Wydało mi się to sentymentalne, cliwe i głupie, bo sam w tym czasie znajdowałem się już w takim nastroju, kiedy we wszystkim szukałem „głębich myśli”.

– Kiciu, może pójdziesz do domu – powiedziałem – bo rodzina, nie daj Boże, zauważy twoją nieobecność i zacznie cię szukać po całym mieście. Poza tym, nie wypada zjawiać się u matki nad ranem...

Zgodziła się ze mną. Umówiliśmy się, że zobaczymy się nazajutrz w południe w miejskim parku, a pojutrze wyjedziemy razem do Piatigorska. Poszedłem ją odprowadzić i, pamiętam, jak czule i szczerze pieściłem ją po drodze. Była chwila, kiedy zrobiło mi się jej nagle okropnie żal za to, że tak bezgranicznie mi ufa. Mało brakowało zdecydowałbym się wziąć ją ze sobą do Piatigorska, ale w porę przypomniałem sobie, że mam w walizce tylko sześćset rubli i że jesienią będzie o wiele trudniej z nią się rozstać niż teraz, więc szybko zdławiłem w sobie tę litość.

Podeszliśmy do domu, gdzie mieszkała jej matka. Pociągnąłem za dzwonek. Za drzwiami rozległy się kroki i Kicia zrobiła nagle poważną twarz, zerknęła na niebo, kilka razy pośpiesznie mnie przeżegnała, jakbym był dzieckiem, potem chwyciła mnie za rękę i przycisnęła ją do swoich warg.

– Do jutra! – rzekła i zniknęła za drzwiami.

Przeszedłem na przeciwną stronę ulicy i popatrzyłem stamtąd na dom. Najpierw za oknami było ciemno, potem w jednym zamigotało słabe niebieskawe światełko zapalanej świecy; światełko rozrosło się, wypuściło na wszystkie strony promienie i zobaczyłem, jak razem z nim zaczęły poruszać się w pokojach cienie.

„Nie oczekiwali!” – pomyślałem.

Wróciwszy do swego hotelu rozebrałem się, wypilem wina, zakąsiłem świeżym kawiozem, który kupiłem na bazarze, położyłem się do łóżka i zasnąłem mocnym, beztróskim snem turysty.

Obudziłem się rano z bólem głowy i w złym humorze. Coś mnie niepokoiło.

„O co chodzi? – pytałem siebie, próbując zrozumieć swój niepokój. – Co mnie dręczy?”

Próbowałem to wytłumaczyć obawą, że może zaraz zjawić się Kicia, która przeszkodzi mi wyjechać, i będę musiał kłamać i wykręcać się przed nią. Szybko się ubrałem, spakowałem rzeczy i wyszedłem z hotelu, każąc portierowi dostarczyć mój bagaż na dworzec na siódmą wieczór. Cały dzień spędziłem u swojego przyjaciela lekarza, a wieczorem wyjechałem z miasta. Jak panowie widzą, moje myślenie nie przeszkodziło mi zbiec w taki podły, zdradziecki sposób...

Przez cały czas, póki siedziałem u przyjaciela, a później jechałem na dworzec, dręczył mnie niepokój. Wydawało mi się, że boję się spotkania z Kicią i skandalu. Przesiedziałem na dworcu w toalecie do drugiego dzwonka, a kiedy przeciskałem się do swojego wagonu, miałem takie uczucie, jakbym cały, od stóp do głowy, byłem obłożony kradzionymi rzeczami. Z jaką niecierpliwością i strachem oczekiwałem na trzeci dzwonek!

Wreszcie rozległ się zbawienny dzwonek, pociąg ruszył; minęliśmy więzienie, koszary, wyjechaliśmy w pole, ale niepokój, ku mojemu wielkiemu zdumieniu, nie przechodził, cały czas czułem się jak uciekający złodziej. Zdziwiający! Żeby trochę się uspokoić, zacząłem patrzeć w okno. Pociąg jechał wzdłuż brzegu. Morze było gładkie i spokojnie, a w nim beztrósko przeglądało się turkusowe niebo, prawie w połowie zabarwione przez zachodzące słońce na delikatny, złocisto-purpurowy kolor. Gdzieś tam czerniały rybackie łodzie i tratwy. Czyściutkie i piękne jak zabawka miasto leżało na wysokim brzegu i było już zasnutę

wieczorną mgłą. Na złotych kopułach cerkwi, oknach i zieleni odbijały się promienie zachodzącego słońca... Zapach pola mieszał się z lekką wilgocią, którą przynosił ze strony morza wiatr.

Pociąg mknął naprzód. Słysząc było śmiech pasażerów i konduktorów. Wszystkim było lekko i wesoło, a mój dziwny niepokój powiększał się coraz bardziej...

Patrzyłem na lekką mgiełkę, otaczającą miasto, i wyobrażałem sobie, jak w tej mgle obok cerkwi i domów miota się z bezmyślną, tępą twarzą kobieta, szuka mnie i głosem dziewczynki albo przeciągle jak ukraińska aktorka jęczy: „Ach, mój Boże, mój Boże!” Przypomniała mi się jej poważna twarz i duże, niespokojne oczy, kiedy żegnała mnie wczoraj jak bliskiego człowieka, i mimowolnie oglądałem swoją rękę, którą wczoraj pocałowała.

„Czyżbym był zakochany?” – zadawałem sobie pytanie, drapiąc się w rękę.

Dopiero kiedy zapadła noc i pasażerowie poszli spać, a ja zostałem sam na sam ze swoim sumieniem, zrozumiałem w końcu to, czego nie potrafiłem wcześniej zrozumieć. W półmroku wagonu wciąż stała przed moimi oczami Kicia, a ja wiedziałem już, że popełniłem zło równoznaczne z zabójstwem. Dręczyło mnie sumienie. Żeby przytłumić jakoś to trudne do wytrzymania uczucie, zapewniałem siebie, że wszystko to bzdura i marność, że i ja, i Kicia umrzemy i zgnijemy, że nieszczęście jest niczym w porównaniu ze śmiercią, i tak dalej i temu podobne... Że wreszcie nic nie dzieje się z woli człowieka, więc nie jestem winny; jednak wszystkie te argumenty tylko denerwowały mnie i jakoś niezwykle szybko gubiły się wśród innych myśli. W rękę, którą całowała Kicia, czułem tęsknotę... Co chwilę kładłem się i wstawałem, piłem na stacjach wódkę, zmuszałem siebie do jedzenia kanapek, znów próbowałem zapewniać siebie, że życie nie ma sensu, ale wszystko na nic. W mojej głowie wrzała dziwna i, można powiedzieć, śmieszna praca. Najróżniejsze myśli piętrzyły się bez ładu, plątały się między sobą, przeszkadzały sobie, a ja, myśliciel, patrząc w ziemię, nic nie rozumiałem i nie mogłem się zorientować w tej kupie potrzebnych i zbędnych myśli. Okazało się, że ja, myśliciel, nie nauczyłem się jeszcze myśleć i nie potrafiłem władać swymi myślami, tak samo jak nie umiałem zreperować zegarka. Po raz pierwszy w życiu myślałem starannie i intensywnie i wydawało mi się to takie dziwne, że pomyślałem: „Wariuję!” U kogo mózg pracuje nie zawsze, a tylko w ciężkich chwilach, temu wydaje się, że wariuje.

Przemęczyłem się w ten sposób przez noc, dzień, potem znów noc i przekonaawszy się, jak mało pomocne jest takie myślenie, przejrzałem siebie samego. Zrozumiałem, że moje myśli nie są warte złamanego szeląga i że do spotkania z Kicią nawet nie zaczynałem myśleć i pojęcia nie miałem, co to jest poważna praca umysłowa; teraz, namęczywszy się, zrozumiałem, że nie mam ani przekonań, ani określonego kodeksu moralnego, ani serca, ani rozsądku; całe moje umysłowe i moralne bogactwo składało się ze specjalistycznej wiedzy, fragmentów, zbędnych wspomnień, cudzych myśli – nic więcej, a odruchy moje były tak samo nieskomplikowane, proste i podstawowe jak u jakiegoś Jakuta... Jeżeli nie lubiłem kłamać, nie kradłem, nie zabijałem i w ogóle nie robiłem widocznych grubych błędów, to działo się tak nie w wyniku jakichś przekonań – nie miałem ich – a po prostu dlatego, że byłem skrepowany bajkami opowiadanymi w dzieciństwie na dobranoc i ogólnie przyjętymi zasadami moralnymi, które weszły mi w krew i niezauważalnie dla mnie kierowały mną w życiu, mimo że uważałem je za bzdurne...

Zrozumiałem, że nie jestem żadnym myślicielem ani filozofem, a po prostu wirtuozem. Bóg dał mi zdrowy, mocny rosyjski rozum z załączkami talentu. I wyobraźcie go sobie w dwudziestym szóstym roku życia, nie trenowany, absolutnie wolny od pracy, nie obciążony żadnym ładunkiem, tylko trochę zakurzony jakąś wiedzą z zakresu inżynierii; jest młody i natura popycha go do pracy, więc szuka jej, aż nagle absolutnie przypadkowo natyka się na piękną, soczystą myśl o bezsensowności życia i pozagrobowych ciemnościach. Łapczywie ją wciąga, oddaje do jej dyspozycji szerokie pole i zaczyna bawić się z nią jak kot z myszką. Jest

pozbawiony erudycji, systemu, no i co z tego. Sam sobie radzi z taką pojemną myślą przy pomocy wrodzonych sił, jak samouk, i nie mija miesiąc, jak jego posiadacz z jednego ziemniaka przyrządza setkę smacznych dań i uważa się za myśliciela...

Ową wirtuozerię, zabawę w poważne myślenie nasze pokolenie wniosło do nauki, literatury, polityki i wszędzie, gdzie tylko nie leniło się iść, a razem z wirtuozerią – chłód, nudę, jednostronność i, jak mi się zdaje, zdążyło już wykształcić w ludziach nowy, dotąd niespotykany stosunek do poważnego myślenia.

To, że nie jestem całkiem normalny, a w dodatku absolutny ignorant, zrozumiałem i oeniłem dzięki nieszczęściu. Zacząłem normalnie myśleć dopiero, jak się wzięłem za alfabet, to znaczy od tego momentu, kiedy sumienie pogoniło mnie z powrotem do N., i wyraziłem szczerą skruchę przed Kicią, wybłagałem u niej przebaczenie jak mały chłopiec i popłakałem wraz z nią...

Ananjew w skrócie opisał swoje ostatnie spotkanie z Kicią i zamilkł.

– No proszę – wycedził przez zęby student, kiedy inżynier skończył. – Co się dzieje na tym świecie!

Jego twarz tak samo jak przedtem wyrażała umysłowe lenistwo i opowiadanie Ananjewa chyba go nie poruszyło. Kiedy inżynier, po chwili odpoczynku, znów zaczął rozwijać swoją myśl i powtarzać to, co powiedział wcześniej, student skrzywił się z rozdrażnieniem, wstał z za stołu i poszedł w stronę łóżka. Przygotował pościel i zaczął się rozbierać.

– Ma pan taki wyraz twarzy jakby pan rzeczywiście kogoś przekonał! – powiedział z irytacją.

– Przekonał? – zapytał inżynier. – Mój drogi, czy ja do tego pretenduję? Bóg z panem! Pana nie można przekonać! Dojść do przekonania może pan tylko drogą własnego doświadczenia i cierpień!..

– Poza tym, dziwna logika! – burknął student, zakładając nocną koszulę. – Myśli, których pan tak nie lubi, są zgubne dla młodych, dla starców zaś, jak pan powiada, są normalne. Jakby wiek miał tu jakieś znaczenie... Co za przywilej dla starców? Z jakiej racji? Jeżeli podobne myśli – trucizna, to trucizna jednakowa dla wszystkich.

– No nie, mój drogi, niech pan tak nie mówi! – powiedział inżynier i chytrze mrugnął okiem. – Nie ma pan racji! Starcy, po pierwsze, nie są wirtuozami. Ich pesymizm nie zjawia się u nich z zewnątrz, przypadkowo, lecz z głębi ich własnego umysłu i po tym, jak przestudiują różnych Hegłów i Kantów, wiele wycierpią, narobią mnóstwo błędów, krótko mówiąc, kiedy przejdą po całej drabinie z dołu do góry. Ich pesymizm ma za sobą i własne doświadczenie i trwałą filozoficzną ewolucję. Po drugie, u starców–myślicieli pesymizm – to nie byle co, jak u nas z wami, ale ból kosmiczny, męka; ma u nich podstawę chrześcijańską, bo bierze się z miłości do człowieka i z rozmyślań o człowieku i nie posiada tego egoizmu, jaki mają wirtuozowie. Pogardza pan życiem, bo jego sens i cel są ukryty przed panem, i boi się pan tylko swojej własnej śmierci, prawdziwy myśliciel cierpi, ponieważ nikt nie zna prawdy, i boi się o wszystkich ludzi. Mieszka tu, dla przykładu, państwowy leśniczy Iwan Aleksandrycz. Sympatyczny taki staruszek. Kiedyś nauczycielem był, trochę pisał, zresztą nie ważne, kim był, ale tęga głowa i na filozofii zęby zjadł. Dużo przeczytał i teraz też ciągle czyta. Otóż spotkaliśmy się z nim niedawno na odcinku Ładunkowskim. Tam akurat wtedy podkłady i szyny kładli. Nieskomplikowana robota, ale Iwanowi Aleksandryczowi, ponieważ nie zna się na tym, wydawała się magiczną sztuczką. Na to, żeby położyć podkład i przymocować do niego szynę, wprawiony mistrz potrzebuje mniej niż minutę. Robotnicy byli w dobrym nastroju i pracowali rzeczywiście zręcznie i szybko; zwłaszcza jeden sukinsyn nadzwyczaj zręcznie trafiał młotkiem w główkę gwoźdźca i wbijał go jednym uderzeniem, a przecież rękojeść młota – prawie sążeń długości, a każdy gwoździec długości stopy. Iwan

Aleksandrycz długo przyglądał się robotnikom, rozczulił się i powiedział do mnie ze łzami w oczach: „Jaka szkoda, że tacy wspaniali ludzie muszą umrzeć!” Taki pesymizm – to jest coś...

– Nic to nie udowadnia i nie objaśnia – powiedział student przykrywając się prześcieradłem – i wszystko to tylko puste gadanie. Nikt nic nie wie i niczego nie można udowodnić słowami.

Wyjrzał spod prześcieradła, uniósł głowę i, krzywiąc się z rozdrażnieniem, dorzucił:

– Trzeba być naiwnym, żeby wierzyć i przywiązywać istotną wagę do ludzkiej mowy i logiki. Przy pomocy słów można udowodnić i obalić wszystko i wkrótce ludzie tak udoskonali technikę językową, że będą potrafili udowodnić matematycznie prawidłowo, że dwa razy dwa – siedem. Lubię słuchać i czytać, ale wierzyć, dziękuję bardzo, nie potrafię i nie chcę. Tylko jednemu Bogu uwierzę, a panu, niech pan mówi, ile chce i pięciuset Kiciami mam, uwierzę, może tylko jak zwariuję... Dobranoc!

Student schował głowę pod prześcieradło i odwrócił się twarzą do ściany, chcąc tym samym pokazać, że nie życzy sobie już ani słuchać, ani mówić. Na tym dyskusja się skończyła.

Przed pójściem do łóżka wyszliśmy z inżynierem z baraku i znów zobaczyłem światła.

– Zamęczyliśmy pana swoim gadaniem! – powiedział Ananjew ziewając i patrząc w niebo.  
– Co robić, przyjacielu! Jedyna rozrywka w tej dziurze, to wina się napić i pofilozofować... Ależ nasyp, mój Boże! – rozczulił się, kiedy zbliżyliśmy się do nasypu. – Prawdziwy Ararat!

Pomilczał chwilę i powiedział:

– Baronowi te światła Amalekitów przypominają, a mnie się wydaje, że są podobne do ludzkich myśli... Rozumie pan, myśli każdego człowieka też są w ten sposób chaotycznie porzucane, ciągną się dokądś, do jakiegoś celu jednym sznurem wśród ciemności i niczego nie oświetliwszy, nie rozjaśniwszy nocy, znikają gdzieś – daleko za starością... Ale dosyć już tego filozofowania! Pora spać...

Wróciliśmy do baraku, inżynier zaczął namawiać mnie, żebym koniecznie położył się na jego miejsce.

– No proszę! – błagał przyciskając obie ręce do serca. – Proszę pana! O mnie proszę się nie martwić. Mogę spać gdziekolwiek, zresztą nie tak szybko się położę... Proszę nie odmawiać!

Zgodziłem się, rozebrałem i położyłem do łóżka, a on usiadł przy stole i wziął się za wykresy.

– Tacy jak ja, przyjacielu, nie mają czasu na sen – mówił półgłosem, kiedy leżałem z zamkniętymi oczami. – Kto ma żonę i dwójkę dzieci, ten już nie zaśnie. Trzeba nakarmić i ubrać i jeszcze na przyszłość odłożyć. Dwoje mam: synka i córeczkę... Chłopiec, skurczybyk taki, bystry jest... Sześciu lat jeszcze nie skończył, a zdolności, powiem panu, niezwykle... Mam tu gdzieś ich zdjęcia... Ach, dzieciaki wy moje, dzieciaki!

Poszperał w papierach, znalazł zdjęcia i zaczął im się przyglądać. Zasnąłem.

Obudziło mnie szczekanie Azorka i głośne głosy. Von Stenberg, w samej bieliźnie, na bosaka i rozczochrany, stał na progu i z kimś głośno rozmawiał. Świtało... Pochmurny, granatowy świt przebijał się przez drzwi, okna i szczeliny baraku i słabo oświetlał moje łóżko, stół z papierami i Ananjewa. Inżynier rozciągnął się na podłodze na burce i ze skórzaną poduszką pod głową, wypinał swą mięsistą włochatą pierś i chrapał tak donośnie, że z całego serca uzaliłem się nad studentem, który był zmuszony spać tu każdej nocy.

– Czemu mamy to przyjmować? – krzyczał von Stenberg. – Nie obchodzi nas to! Jedź do inżyniera Czalisowa! Od kogo te kotły?

– Od Nikitina... – odpowiedział ktoś pośpiesznie basem.

– No więc i jedź do Czalisowa... To nie dla nas. Po jaką cholere jeszcze tu stoisz? Jedź już!

– Proszę pana, byliśmy już u pana Czalisowa! – powiedział bas jeszcze pośpiesznie. – Wczoraj przez cały dzień szukaliśmy ich wzdłuż linii i w ichnim baraku powiedziano, że oni

na Dymkowski odcinek pojechali. Niech pan przyjmie, na litość Boską! Ile można wozić! Wozimy, wozimy wzdłuż linii i końca nie widać...

– O co tam chodzi? – wychrypiał obudzony Ananjew i podniósł głowę.

– Kotły od Nikitina przywieźli – powiedział student – i proszą, żebyśmy je przyjęli. A po co mamy je przyjmować?

– Niech ich pan przepędzi!

– Zlitujcie się, panowie, zróbcie coś z tym! Konie przez dwa dni nic nie jadły, a i właściciel chyba rozgniewany jest. Z powrotem mamy wieść czy co? Kolej kotły zamawiała, to niech przyjmuje...

– Zrozum, durniu, że to nie dla nas! Jedź do Czalisowa!

– O co chodzi? Kto tu? – wychrypiał Ananjew. – A żeby ich cholera wzięła! – zaklął wstając i idąc do drzwi. – Co się dzieje?

Ubrałem się i za chwilę wyszedłem z baraku. Ananjew i student, oboje w bieliźnie i na bosaka, coś zapalczywie i niecierpliwie objaśniali chłopu, który stał przed nimi bez czapki i z batem w rękę i najwyraźniej ich nie rozumiał. Na ich twarzach malowała się codzienna troska.

– Na co mi twoje kotły? – krzyczał Ananjew. – Na głowę sobie założę czy co? Jeżeli nie znalazłeś Czalisowa, to jego pomocnika poszukaj, a nas zostaw w spokoju!

Popatrzawszy na mnie, student przypomniał chyba sobie nocną rozmowę i zamiast troski na jego zaspanej twarzy pojawił się wyraz obojętności. Machnął ręką na chłopca i zastanawiając się nad czymś, odszedł.

Poranek był pochmurny. Wzdłuż linii, gdzie w nocy paliły się światła, krzątali się obudzeni robotnicy. Słychać było głosy i skrzypienie tacek. Zaczynał się roboczy dzień. Jeden konik w uprząży ze sznurka włókł się już na nasyp i z całych sił wyciągał szyję, taszcząc za sobą furmankę z piaskiem...

Zacząłem się żegnać... Wiele zostało powiedziane tej nocy, a ja nie miałem ani jednego rozwiązane pytania i po całej rozmowie pamiętałem tylko światła i obraz Kici. Siadłem na konia i po raz ostatni popatrzyłem na studenta, na Ananjewa, na nerwowego psa o mętym jakby pijanym wzroku, na robotników, biegających w porannej mgle, na nasyp, na konika wyciągającego szyję i pomyślałem: „Niczego nie można zrozumieć na tym świecie!”

Ale kiedy uderzyłem konia i pogalopowałem wzdłuż linii i kiedy za chwilę ujrzałem przed sobą tylko bezkresną, pęsną równinę i pochmurne, zimne niebo, przypomniałem sobie pytania, które rozstrzygaliśmy w nocy. Rozmyślałem, a spalona słońcem równina, olbrzymie niebo, ciemniejący w dali dębowy las i mglisty horyzont jakby mówiły do mnie: „No właśnie, niczego nie można zrozumieć na tym świecie!”

Wschodziło słońce...

1888

## IMIENINY

### I

Po imieninowym obiedzie, składającym się z ośmiu dań i niekończących się rozmów, żona solenizanta Olga Michajłowna wyszła do ogrodu. Obowiązek ciągłego uśmiechania się, brzęk naczyń, nierozgarnięta służba, długie przerwy przy obiedzie i gorset, który miała na sobie, żeby ukryć przed gośćmi ciążę, potwornie ją zmęczyły. Miała ochotę pójść jak najdalej od domu, posiedzieć w cieniu i pomarzyć o dziecku, które miała urodzić za jakieś dwa miesiące. Zawsze zaczynała myśleć o nim, kiedy skręcała z dużej alei w wąską ścieżkę w lewo; tu, w gęstym cieniu śliwek i wiśni, wyschnięte gałązki drapały ją w ramiona i szyję, pajęczyna siadała na twarzy, a w myślach wyrastał obraz malutkiego człowieczka nieokreślonej płci i z niewyraźnymi rysami i wydawało jej się, że to nie pajęczyna łagodnie łaskocze twarz i szyję, tylko ten człowieczek. A kiedy na końcu ścieżki pojawiał się rzadki pleciony płótek, a za nim pękate ule pokryte dachówką, kiedy nieruchome, nagrzane powietrze zaczynało pachnieć sianem i miodem i słyszeć było łagodne brzęczenie pszczoł, malutki człowieczek całkowicie opanowywał wyobraźnię Olgi Michajłowny. Siadała na ławeczce koło szalasu uplecionego z łozy i pograżała się w myślach.

I tym razem doszła do ławeczki, usiadła i zaczęła myśleć; ale zamiast małego człowieczka miała przed oczami ludzi, których przed chwilą zostawiła. Denerwowała się tym, że będąc gospodynią, zostawiła gości; przypomniała jej się dyskusja przy obiedzie między jej mężem Piotrem Dmitryczem i wujkiem Nikołajem Nikołaiczem o sądzie przysięgłych, prasie i wykształceniu kobiet; mąż jak zwykle dyskutował tylko po to, żeby zabłysnąć przed gośćmi konserwatyżmem, a głównie, żeby zaprzeczać wujkowi, którego nie lubił; wujek zaś nie zgadzał się i czepiał każdego jego słowa tylko po to, żeby pokazać obecnym, że on, wujek, mimo swoich pięćdziesięciu dziewięciu lat, ma jeszcze w sobie młodzieńczą świeżość ducha i swobodę myśli. Nawet sama Olga Michajłowna pod koniec obiadu nie wytrzymała i zaczęła niezręcznie bronić różne kursy dla kobiet – nie dlatego, żeby potrzebowały obrony, a po prostu miała ochotę dokuczyć mężowi, który, jak jej się zdawało, nie miał racji. Gości ten spór wyraźnie nudził, ale wszyscy uznali za stosowne wziąć w nim udział i dużo mówili, chociaż nikogo nie interesował ani sąd przysięgłych, ani wykształcenie kobiet...

Siedziała tak przy plecionym płótku obok szalasu. Słońce chowało się za chmurami, drzewa i powietrze spochmurniały jak przed deszczem, ale dalej było gorąco i duszno. Siano, skoszone pod drzewami w przeddzień Piotrowego dnia\*, leżało nie uprzątnięte, smutne, mieniając się zwiędłymi kwiatami i wydzielając ciężką, słodką woń. Panowała cisza. Za płótkiem jednostajnie brzęczały pszczoły...

Nagle rozległy się kroki i głosy. Ktoś szedł po ścieżce do pasieki.

– Parno! – powiedział kobiecy głos. – Jak pan myśli, będzie padać czy nie?

– Będzie, moje śliczności, ale nie wcześniej, jak w nocy – odpowiedział melancholijnie jakiś bardzo znajomy męski głos. – Będzie porządnie lało.

Olga Michajłowna pomyślała, że jak zdąży schować się do szalasu, nie zauważą jej i przejdą obok, wtedy nie będzie musiała mówić i sztucznie się uśmiechać. Uniosła sukienkę, schyliła się i weszła do szalasu. Od razu poczuła na twarzy, szyi i rękach gorące i duszne jak para powietrze. Jakby nie było tu tak duszno i nie pachniało tak mocno żytnim chlebem, koperkiem i łożą, można by było świetnie chować się w półmroku pod tym słomianym dachem przed gośćmi i rozmyślać o małym człowieczku. Przytulnie i cicho.

– Jak tu miło! – powiedział kobiecy głos. – Posiedźmy tu, Piotrze Dmitryczu.

---

\* 29 czerwca wg starego kalendarza (*przyp. tłum.*).

Olga Michajłowna popatrzyła przez szczelinę między dwiema witkami. Zobaczyła swojego męża, Piotra Dmitrycza, i goszczącą u nich Luboczkę Scheller, siedemnastoletnią dziewczynę świeżo po kursach. Piotr Dmitrycz, z kapeluszem zsuniętym na tył głowy, rozmarzony i rozleniwiony, bo dużo pił przy obiedzie, jak kaczor przechadzał się koło płotka i nogą zgarniał do kupy siano; Luboczka, różowa od gorąca i jak zawsze śliczniutka, stała z założonymi do tyłu rękami i obserwowała leniwe ruchy jego dużego, pięknego ciała.

Olga Michajłowna wiedziała, że jej mąż podoba się kobietom i nie lubiła, kiedy te kręciły się koło niego. Nie było nic nadzwyczajnego w tym, że Piotr Dmitrycz leniwie zgarniał siano, żeby posiedzieć na nim z Luboczką i pogadać o bzdurach; nie było nic nadzwyczajnego i w tym, że śliczniutka Luboczka czule się na niego gapiła, tym niemniej Olga Michajłowna była zła na męża, bała się i odczuwała przyjemność, że może podsłuchiwać.

– Niech pani siada, czarujące stworzenie – powiedział Piotr Dmitrycz, siadając na sianie i przeciągając się. – O tak, dobrze. No, proszę mi o czymś opowiedzieć.

– Nic z tego! Zacznę opowiadać, a pan zaśnie.

– Ja zasnę? Allah kerim! Czy ja mogę zasnąć, kiedy na mnie takie oczęta patrzą?

W słowach męża i w tym, że w obecności obcej osoby siedział rozwalony z zsuniętym na tył głowy kapeluszem, również nie było nic nadzwyczajnego. Był rozpieszczany przez kobiety, wiedział, że się im podoba, i w obcowaniu z nimi przyswoił sobie ten szczególny ton, który, jak wszyscy mówili, bardzo mu pasował. W stosunku do Luboczki zachowywał się tak samo, jak do innych kobiet. Ale Olga Michajłowna wszystko jedno była zazdrosna o niego.

– Czy to prawda – zaczęła Luboczka po chwili milczenia – że pan pod sąd trafił?

– Ja? No trafiłem... Razem ze złodziejami, moje śliczności.

– Ale za co?

– Nie za co, a tak sobie... przez politykę głównie – ziewnął Piotr Dmitrycz. – Walka lewicy z prawicą. Ja, obskurant i rutyniarz, odważyłem się użyć w oficjalnych papierach wyrazu, który obraził takich bezgrzesznych Gladstonów jak nasz rejonowy sędzia pokoju Kuźma Grigorjewicz Wostriakow i Władimir Pawłowicz Władimirow.

Piotr Dmitrycz znów ziewnął i mówił dalej:

– Przecież u nas można krytykować słońce, księżyc, wszystko, co chcesz, ale, broń Boże, liberałów ruszyć! Broń Boże! Liberał – to właśnie taki trujący grzyb, który, jak go niechcący palcem ruszyć, tumanami pyłu obsypie.

– A co się stało?

– Nic ciekawego. Całe zamieszanie przez głupotę. Jakiś nauczyciel, nędzny jegomość pochodzący z popów, składa u Wostriakowa skargę na szynkarza, oskarżając go o słowną i czynną zniewagę w miejscu publicznym. Wszystko wskazuje na to, że i nauczyciel, i szynkarz byli pijani jak szewcy i zachowywali się jednakowo paskudnie. Jeśli i była zniewaga, to wzajemna. Wostriakow powinien był obu ukarać grzywną za zakłócanie spokoju i wygonić z sądu – i po sprawie. Ale u nas jak jest przyjęte? U nas na pierwszym miejscu zawsze nie osoba, nie fakt, a firma i etykieta. Nauczyciel, jakim sukinsynem by nie był, zawsze ma rację, bo jest nauczycielem; szynkarz zaś zawsze jest winny, bo to szynkarz i dusigrosz. Wostriakow wsadził szynkarza do aresztu, a ten odwołał się do zjazdu. Zjazd uroczyście zatwierdził wyrok Wostriakowa. Miałem inne zdanie i przy nim pozostałem... Trochę mnie poniosło... I to wszystko.

Piotr Dmitrycz mówił spokojnie, z niedbałą ironią. Ale w rzeczywistości mająca się odbyć rozprawa bardzo go niepokoiła. Olga Michajłowna pamiętała, jak wrócił z tamtego nieszczęsnego zjazdu, próbując ukryć przed domownikami, że jest mu ciężko i że jest niezadowolony z siebie. Jako człowiek inteligentny nie mógł nie wiedzieć, że zaszedł ze swym odmiennym zdaniem za daleko, a ile przyszło mu kłamać, żeby ukryć to uczucie przed sobą i ludźmi! Ile było niepotrzebnego gadania, ile marudzenia i sztucznego śmiechu, chociaż



nie było z czego się śmiać! Na wieść o tym, że stawiają go przed sądem, poczuł się zmęczonym i upadł na duchu, zaczął źle sypiać, częściej niż zwykle stawał przy oknie i bębnił palcami po szybie. Wstydził się wyznać żonie, że jest mu ciężko, a ją to denerwowało...

– Mówią, że był pan w połtawskiej guberni? – zapytała Luboczka.

– Zgadza się, byłem – odpowiedział Piotr Dmitrycz. – Trzy dni temu wróciłem.

– Chyba dobrze tam jest?

– Dobrze. Nawet bardzo dobrze. Wie pani, trafiłem tam akurat na sianokosy, a na Ukrainie sianokosy – najbardziej poetyczny okres. Tutaj mamy duży dom, wielki ogród, mnóstwo ludzi i krzątanię, więc sianokosy przechodzą niezauważalnie; tutaj wszystko przechodzi niezauważalnie. A tam mam na chutorze piętnaście dziesięcin łąki jak na dłoni: z jakiego okna nie popatrzyć, zewsząd widać kosiarzy. Na łące koszą, w ogrodzie koszą, nie ma gości, zamieszania, więc chcesz czy nie, widzisz, słyszysz i czujesz tylko te sianokosy. Na dworze i w pokojach pachnie sianem, kosy dzwonią od świtu do świtu. Tak w ogóle Chochlandia\* – to przyjemny kraj. Wie pani co, kiedy piłem wodę ze studni z żurawiem, a w żydowskich szynkach – podłą wódkę, kiedy w ciche wieczory słyszałem dźwięki chochłackich skrzypiec i bębna, nęciła mnie kusząca myśl – osiedlić się na chutorze i żyć tam, póki życia, jak najdalej od wszystkich tych zjazdów, mądrych rozmów, filozofujących kobiet, długich obiadów...

Piotr Dmitrycz nie kłamał. Było mu ciężko i rzeczywiście chciał odpocząć. I do połtawskiej guberni jeździł tylko po to, żeby nie widzieć swojego gabinetu, służby, znajomych i wszystkiego, co przypominało mu urażoną ambicję i popełnione błędy.

Luboczka nagle się zerwała i zamachała w panice rękami.

– Pszczoła, pszczoła! – zapiszczała. – Użądli!

– Gdzie tam, nie użądli! – powiedział Piotr Dmitrycz. – Ależ z pani tchórz.

– Nie, nie, nie! – krzychała Luboczka i, oglądając się na pszczołę, zaczęła uciekać.

Piotr Dmitrycz szedł jej śladem i patrzył na nią ze wzruszeniem i nostalgią. Chyba myślał o swoim chutorze, samotności i – kto to wie? – może nawet o tym, jak przyjemnie i przytulnie by mu się tam mieszało, jakby jego żoną była ta dziewczyna – młoda, niewinna, świeża, nie zepsuta wykształceniem, nie brzemienna...

Kiedy głosy i kroki ucichły, Olga Michajłowna wyszła z szałas i skierowała się w stronę domu. Chciało jej się płakać. Czowała silną zazdrość o męża. Rozumiała, że Piotr Dmitrycz był przemęczony, niezadowolony z siebie i było mu za siebie wstyd, a kiedy jest wstyd, ukrywa się to przede wszystkim przed bliskimi i otwiera się przed obcymi; rozumiała również, że Luboczka nie jest niebezpieczna, tak samo jak wszystkie inne kobiety, które piły teraz herbatę w domu. Ale tak w ogóle, wszystko było zagmatwane, okropne i Oldze Michajłownie się zdawało, że Piotr Dmitrycz nie należy do niej nawet w połowie...

– Nie ma prawa! – szeptała, próbując zrozumieć swoją zazdrość i irytację. – Nie ma żadnego prawa. Zaraz mu to wszystko wygarnę!

Postanowiła natychmiast znaleźć męża i wszystko mu wygarnąć: to jest wstrętne, nie do zniesienia, że podoba się obcym kobietom i zabiega o to jak o zbawienie; niesprawiedliwe i nieuczciwe, że oddaje cudzym to, co prawnie należy do jego żony, ukrywa przed nią, co ma na sercu i sumieniu, a wypowiada się przed pierwszą lepszą ślicznotką. Co złego zrobiła mu żona? W czym zawiniła? Ma już dosyć jego zakłamania: ciągle się kryguje, kokietuje, mówi nie to, co myśli i udaje innego niż jest i powinien być. Po co te kłamstwa? Czy uczciwemu człowiekowi wypada kłamać? Jeżeli kłamie, to obraża i siebie i tych, których okłamuje, i nie szanuje tego, co mówi. Czyżby nie rozumiał, że kokietując i krygując się przy sędziowskim stole, czy rozprawiając przy obiedzie o prerogatywach władzy tylko po to, żeby dokuczyć

---

\* Chochlandia - lekceważąca nazwa Ukrainy (przyp. tłum.).

wujkowi, czyżby nie rozumiał wtedy, iż ma tym samym za nic i sąd, i siebie, i wszystkich, którzy go słuchają i widzą?

Wychodząc na dużą aleję, Olga Michajłowna przybrała taką minę jakby załatwiała przed chwilą jakieś pilne domowe sprawy. Mężczyźni na werandzie pili likier i zakąszali jagodami; jeden z nich, sędzia śledczy, gruby człowiek w podeszłym wieku, gawędziarz i dowcipniś, widocznie opowiadał jakiś nieprzyzwoity dowcip, bo ujrawszy gospodynię chwycił się za tłuste wargi, wytrzeszczył oczy i kucnął. Olga Michajłowna nie lubiła powiatowych urzędników. Nie podobały jej się ich niezgrabne, ceremonialnie zachowujące się żony, plotki, częste wizyty, schlebianie jej mężowi, którego wszyscy nienawidzili. A teraz, kiedy pili, byli najedzeni i nie mieli zamiaru wyjeżdżać, czuła, że ich obecność staje się dla niej nie do wytrzymania, ale serdecznie uśmiechnęła się z grzeczności do sędziego śledczego i pogroziła mu palcem. Przeszła przez salon do bawialni z taką miną jakby śpieszyła się, żeby wydać jakieś polecenia czy rozkaz. „Nie daj Boże, jak ktoś zatrzyma!” – myślała, ale sama zmusiła się do zatrzymania w bawialni, żeby dla przyzwoitości posłuchać młodego człowieka, który siedział przy fortepianie i grał; trochę postąla, krzyknęła: „Brawo, brawo, *m-r Georges!*” – i klasnąwszy ze dwa razy, poszła dalej.

Znalazła męża w gabinecie. Siedział przy stole i o czymś rozmyślał. Twarz miał surowa, zamyślona i pełna skruchy. Nie był to już ten Piotr Dmitrycz, który dyskutował przy obiedzie i jakiego wszyscy znali, ale inny – zmęczony, skruszony i niezadowolony z siebie, taki, jakiego znała tylko żona. Chyba przyszedł do gabinetu po papierosa. Przed nim leżała otwarta papierośnica pełna papierosów, a jedna ręka była opuszczona do szuflady stołu. Jak brał papierosy, tak i znieruchomiał.

Zrobiło jej się go żal. Było jasne jak dzień, że człowiek się męczył i nie mógł sobie miejsca znaleźć, może walczył ze sobą. Podeszła bez słów do stołu i chcąc pokazać, że nie pamięta sporu przy obiedzie i już się nie gniewa, zamknęła papierośnicę i włożyła ją mężowi do kieszeni.

„Co mu powiedzieć? – pomyślała. – Powiem, że kłamstwo – to tak samo jak z lasem: im dalej w las, tym trudniej z niego się wydostać. Powiem: przejąłeś się swoją fałszywą rolą i za daleko zaszedłeś; obraziłeś ludzi przywiązanych do ciebie, którzy nie zrobili ci nic złego. Idź i przeproś ich, wyśmiej siebie samego i zrobi ci się od razu lżej. A jeżeli chcesz ciszy i samotności, wyjedziemy razem.”

Napotkawszy spojrzenie żony Piotr Dmitrycz przybrał nagle ten sam wyraz twarzy, jaki miał przy obiedzie i w ogrodzie – obojętny i trochę ironiczny, ziewnął i podniósł się z miejsca.

– Po piątej – powiedział popatrzawszy na zegarek. – Jeżeli goście zlitują się i wyjadą o jedenastej, to i tak zostaje nam jeszcze sześć godzin czekania. Zabawne, nie ma co!

I pogwizdując niespiesznie wyszedł dostojnym krokiem. Słysząc było, jak przeszedł przez salon, potem bawialnię, z czegoś dostojnie się zaśmiał i powiedział grającemu młodemu człowiekowi: „Bra-o! bra-o!” Jego kroki wkrótce ucichły: widocznie wyszedł do ogrodu. I już nie zazdrość i irytacja, a prawdziwa nienawiść do jego kroków, sztucznego śmiechu i głosu zawładnęła Olgą Michajłowną. Podeszła do okna i wyjrzała do ogrodu. Piotr Dmitrycz kroczył po alei. Jedną rękę trzymał w kieszeni, palcami drugiej pstrykał i odchyliwszy głowę trochę do tyłu kroczył dostojnie, kaczym chodem i z taką miną jakby był bardzo zadowolony i z siebie, i z obiadu, i z trawienia, i z przyrody...

Na alei pojawiło się dwóch małych gimnazjalistów, dzieci ziemianki Czyżewskiej, dopiero co przyjechały, a z nimi student-guwner w białym mundurze i przyciasnych spodniach. Zrównawszy się z Piotrem Dmitryczem, dzieci i student zatrzymali się i pewnie złożyli mu życzenia imienninowe. Pięknie poruszając ramionami poklepał dzieci po policzkach i podał niedbale rękę studentowi. Student widocznie pochwalił pogodę i porównał ją z petersburską,

ponieważ Piotr Dmitrycz odpowiedział głośno i takim tonem jakby rozmawiał nie z gościem, a z komornikiem albo ze świadkiem:

– Co proszę? Macie zimno w Petersburgu? A u nas tu, mój drogi, piękne powietrze i obfitość płodów ziemi. Co? Jak?

Włożył do kieszeni jedną rękę, pstryknął palcami drugiej i ruszył dalej. Patrzyła w ślad za nim, aż zniknął za krzakami leszczyny, i dziwiła się. Skąd u tego trzydziestoczteroletniego człowieka ten dostojny, generalski chód? Skąd ten ciężki, piękny krok? Skąd ta władcza wibracja w głosie, skąd te wszystkie „co proszę”, „hm–tak” i „mój drogi”?

Przypomniała sobie, jak w pierwszych miesiącach małżeństwa, żeby nie zanudzić się w domu, jeździła do miasta na zjazdy, gdzie nieraz zamiast jej ojca chrzestnego, hrabiego Alekseja Pietrowicza, przewodniczył Piotr Dmitrycz. W fotelu przewodniczącego, w mundurze i z łańcuchem na piersi, radykalnie się zmieniał. Wzniosłe gesty, donośny głos, „co proszę”, „hm–tak”, lekceważący ton... Wszystko zwyczajnie ludzkie, jego własne, do czego przyzwyczaiła się w domu, tonęło w majestacie, i w fotelu siedział nie Piotr Dmitrycz, a jakiś inny człowiek, którego wszyscy nazywali panem przewodniczącym. Świadomość, że jest władzą, przeszkadzała mu siedzieć spokojnie, szukał pretekstu, żeby zadzwonić, karcąco spojrzeć na publikę, krzyknąć... Skąd brały się krótkowzroczność i głuchota, kiedy zaczynał nagle źle widzieć i słyszeć i, krzywiąc się wyniosłe, żądał, żeby mówili głośniej i podchodzili bliżej do stołu. Z wyżyn swego majestatu źle rozróżniał twarze i dźwięki, więc jakby podeszła do niego wtedy sama Olga Michajłowna, to i do niej by krzyknął: „Jak pani nazwisko?” Świadkom–chłopom mówił per ty, na publikę krzyczał tak, że jego głos słychać było nawet na ulicy, w stosunku do adwokatów zachowywał się niezdolnie. Kiedy adwokat zaczynał mówić, siadał do niego nieco bokiem i zmrużywszy oczy patrzył się w sufit, chcąc tym pokazać, że adwokat tu wcale nie jest potrzebny i że on go nie akceptuje i nie chce słyszeć; kiedy występował ubrany na szaro obrońca z urzędu, wyostrzał słuch i mierzył go ironicznym, druzgocącym spojrzeniem: o, proszę, jacy są teraz adwokaci! „No i co pan w końcu chce przez to powiedzieć?” – przerywał. Jeżeli adwokat–krasomówca używał jakiegoś obcego słowa i, dla przykładu mówił zamiast „fikcyjny” – „fiksyjny”, Piotr Dmitrycz nagle się ożywił i pytał: „Jak? Co takiego? Fiksyjny? A co to znaczy?” – i potem pouczająco zauważał: „Proszę nie używać słów, których pan nie rozumie”. I adwokat, kończąc mowę, odchodził na miejsce cały czerwony i spocony, a Piotr Dmitrycz, zadowolony z siebie, uśmiechał się, świętując zwycięstwo, i odchyłał się na oparcie krzesła. W swoim obchodzeniu się z adwokatami naśladował trochę hrabiego Alekseja Pietrowicza, ale kiedy hrabia, na przykład mówił: „Obrona, cisza!” – wychodziło to u niego naturalnie i po ojcowsku dobrodusznie, u Piotra Dmitrycza zaś arogancko i sztucznie.

## II

Rozległy się brawa. Młody człowiek skończył grać. Olga Michajłowna przypomniała sobie o gościach i pośpieszyła do bawialni.

– Zasłuchałam się w pana grę – powiedziała, podchodząc do fortepianu. – Zasłuchałam się. Ma pan nadzwyczajne zdolności! Ale czy pan nie uważa, że nasz fortepian jest nieco rozstrojony?

Tu akurat weszli do bawialni dwaj gimnazjaliści w towarzystwie studenta.

– Mój Boże, Mitia i Kola? – powiedziała przeciągle i radośnie, idąc im naprzeciw. – Jak urosli! Nie do poznania! A gdzie wasza mama?

– Moje gratulacje dla solenizanta – zaczął bezceremonialnie student – i wszystkiego najlepszego. Jekaterina Andriejewna prosiła przekazać życzenia i przeprosiny. Nie czuje się dobrze.

– Ależ ona niedobra! Przez cały dzień na nią czekałam. Dawno był pan w Petersburgu? – zapytała Olga Michajłowna studenta. – Jaka tam teraz pogoda? – Nie czekając na odpowiedź, czule popatrzyła się na gimnazjalistów i powtórzyła: – Jacy duzi urosli! Jeszcze nie tak dawno z guwernantką tu przyjeżdżali, a teraz gimnazjaliści! Stare się starzeje, a młode rośnie... Jedliście obiad?

– Ach, proszę się nie fatygować! – powiedział student.

– Nie jedliście?

– Proszę się nie fatygować!

– Ale przecież chcecie jeść? – zapytała Olga Michajłowna z niecierpliwością i irytacją szorstkim i nieprzyjemnym głosem – ale natychmiast zakaszłała, uśmiechnęła się i zaczerwieniła. – Jacy duzi urosli! – powtórzyła miękko.

– Proszę się nie fatygować! – powiedział jeszcze raz student.

Student prosił nie fatygować się, dzieci milczały; pewnie wszyscy troje chcieli jeść. Olga Michajłowna zaprowadziła ich do jadalni i kazała Wasylowi nakryć do stołu.

– Niedobra ta wasza mama! – mówiła sadzając ich przy stole. – Całkiem o mnie zapomniała. Niedobra, niedobra, niedobra... Możecie jej to przekazać. Na jakim pan jest wydziale? – zapytała studenta.

– Na lekarskim.

– A ja, proszę sobie wyobrazić, mam słabość do lekarzy. Bardzo żałuję, że mój mąż nie jest lekarzem. Jaką odwagę trzeba mieć, żeby, na przykład operacje robić czy kroić trupy! Koszmar! Nie boi się pan? Ja chyba ze strachu bym umarła. Napije się pan wódki?

– Proszę się nie fatygować.

– Po podróży trzeba, trzeba wypić. Jestem kobietą, a też nieraz wypiję. A Mitia i Kola malagi spróbują. Proszę się nie obawiać, to słabiutkie wino. Zuchy z nich, naprawdę! Nawet żenić już można.

Olga Michajłowna mówiła bez przerwy. Wiedziała z doświadczenia, że zabawiając gości o wiele łatwiej i wygodniej mówić niż słuchać. Kiedy mówisz, nie trzeba natężyć uwagi, wymyślać odpowiedzi i zmieniać wyrazu twarzy. Ale przypadkowo zadała studentowi jakieś poważne pytanie, student zaczął rozwlekle mówić i ona mimo woli musiała słuchać. Student wiedział, że była kiedyś na kursach, więc zwracając się do niej, próbował robić wrażenie poważnego człowieka.

– Na jakim pan jest wydziale? – zapytała zapomniawszy, że raz już zadawała to pytanie.

– Na lekarskim.

Olga Michajłowna przypomniała sobie, że dawno nie była u dam.

– Naprawdę? Więc będzie pan doktorem? – powiedziała wstając. – To dobrze. Żałuję, że nie poszłam na kursy medyczne. Zjedzcie, panowie, obiad i zapraszam do ogrodu. Przedstawię panów paniąkom.

Wyszła i spojrzała na zegarek: była za pięć szósta. Zdziwiła się, że czas tak się wlecze i przestraszyła, że do północy, kiedy gości zaczną się rozjeżdżać, zostało jeszcze sześć godzin. Jak zabić ten czas? Co mówić? Jak zachowywać się w stosunku do męża?

W bawialni i na werandzie nikogo nie było. Wszyscy rozeszli się po ogrodzie.

„Trzeba będzie zaproponować im przed herbatą spacer do brzeziny lub pływanie na łódkach – myślała spiesząc w stronę pola do krokietu, skąd słychać było głosy i śmiech. – A starszków usadzić do winta...”

Od strony pola do krokietu śpieszył do niej lokaj Grigorij z pustymi butelkami.

– Gdzie są panie?

– W maliniaku. I pan też.

– Ach, mój Boże! – z zacięciem krzyknął któryś z graczy. – Tysiące razy panu powtarzałem to samo! Żeby znać Bułgarów, trzeba ich zobaczyć! Nie można na podstawie gazet wyciągać wniosków!

Od tego krzyku, a może od czego innego, poczuła nagle silną słabość w całym ciele, zwłaszcza w nogach i w ramionach. Nie chciało jej się ani mówić, ani słuchać, ani się ruszać.

– Grigoriju – powiedziała melancholijnie i z wysiłkiem – kiedy będziecie podawać herbatę czy jeszcze coś, proszę nie zwracać się do mnie, o nic nie pytać, nie mówić...Róbcie wszystko sam i... i nie tupcie tak. Błagam... Nie zniosę tego, bo...

Nie dokończyła i poszła się w stronę pola do krokietu, ale po drodze przypomniała sobie o paniach i skręciła do maliniaka. Niebo, powietrze i drzewa były tak samo szare i zapowiadały deszcz; było gorąco i parno; ogromne stada wron z krzykiem miotaly się nad ogrodem, przeczuwając niepogodę. Im bliżej ogródka, tym aleje robiły się mniej zadbane, bardziej ciemne i wąskie; na jednej z nich, schowanej w gęstych zaroślach dzikich gruszek, jabłek, młodych dębów i chmielu, okrążyły ją całe chmury drobnych czarnych meszek; przykryła twarz i próbowała zmusić się do myślenia o małym człowieczku... Oczami wyobraźni widziała Grigorija, Mitię, Koleę, twarze chłopów, którzy przychodzili rano z życzeniami...

Usłyszała czyjeś kroki i otworzyła oczy. W jej stronę kierował się wujek Nikołaj Nikołaicz.

– To ty, moja droga? Bardzo się cieszę... – zaczął zasapany. – Kilka słów... – Wytarł chustką swój ogolony czerwoną podbródek, potem nagle zrobił krok do tyłu, machnął rękami i wytrzeszczył oczy. – Moja droga, czy temu będzie kiedyś koniec? – zaczął szybko, zachłystując się. – Pytam cię: czy będzie temu kres? Nie wspomnę już o tym, że ma poglądy dżerymordy, które demoralizują otoczenie, że znieważa we mnie i w każdym uczciwym człowieku wszystko, co święte i najlepsze – nie wspominam o tym, ale niech przynajmniej grzecznie się zachowuje! A on co? Krzyczy, warczy, kryguje się, Bonaparte jakiegoś udaje, do głosu nie dopuszcza... cholera go wie, o co mu chodzi! Jakieś napsuszone gesty, generalski śmiech, pobłażliwy ton! Ale proszę mi powiedzieć: kim on właściwie jest? Pytam cię: kim on jest? Mężem swojej żony, szlachcą szaraczkową z tytułarnych, któremu poszczęściło się z bogatą ożenić! Parwienusz i junkier, jakich dużo! Szczedryński typ! Albo cierpi na manię wielkości, albo rzeczywiście ma rację ten stary, obłąkany szczur, hrabia Aleksej Pietrowicz, kiedy mówi, że dzisiejsze dzieci i młodzi ludzie późno dorosną i do czterdziestki bawią się w woźniców i generałów!

– Tak, tak... – zgodziła się Olga Michajłowna. – Pozwól mi przejść.

– No sama pomyśl, do czego to może doprowadzić? – ciągnął wujek, zagradzając jej drogę. – Czym skończy się ta gra w konserwatyzm i w generałów? Już pod sąd trafił! Pod sąd! I bardzo dobrze! Dokrzyczał się i dostukał do tego, że na ławę oskarżonych trafił. W dodatku, nie w sądzie okręgowym czy jeszcze gdzieś, tylko w izbie sądowej! Gorzej to już chyba i być nie może! Po drugie, ze wszystkimi się pokłócił! Imieniny dziś ma, a popatrz, ani Wostriakow, ani Jachontow, ani Władimirow, ani Szewud, ani hrabia nie przyjechali... A już bardziej konserwatywnym niż hrabia Aleksej Pietrowicz i być chyba nie można, a i ten nie przyjechał. I nigdy więcej nie przyjedzie! Zobaczysz, że nie przyjedzie!

– Ach, mój Boże, a co ja mam z tym wspólnego? – zapytała Olga Michajłowna.

– Jak to co? Przecież jesteś jego żoną! Wykształcona, kursy ukończyłaś, więc możesz z niego porządnego człowieka zrobić!

– Na kursach nie uczą, jak wychowywać ludzi z trudnym charakterem. Chyba będę musiała was wszystkich przeproszać, że na kursach byłam! – powiedziała Olga Michajłowna ostro. – Słuchaj, wujku, jeżeli tobie nad uchem przez cały dzień będą grali te same gamy, nie wytrzymasz i uciekniesz. A ja przez cały rok, dzień w dzień, słyszę to samo, ciągle to samo. Panowie, zlitujcie się!

Wujek spoważniał, potem pytająco spojrział na nią i wykrzywił wargi w uśmiechu.

– A to tak! – zaśpiewał głosem staruszki. – Przepraszam! – powiedział i ceremonialnie się uklonił. – Jeżeli poddałaś się jego wpływowi i zmieniłaś przekonania, to trzeba było od razu mówić. Przepraszam!

– Tak, zmieniłam! – krzyknęła. – Ciesz się!

– Przepraszam!

Wujek po raz ostatni ceremonialnie się uklonił, jakoś tak krzywo i cały skulony, szurnął nogą i poszedł z powrotem.

„Dureń – pomyślała. – Mógłby już wracać do siebie do domu”.

Znalazła damy i młodzież w maliniaku. Jedni jedli maliny, inni, komu maliny już się przejadły, błędzili po grządkach z truskawkami lub grzebali w groszku. Obok maliniaka, koło rozłożystej jabłoni, podpartej dookoła kijami, powyciąganymi ze starego ogrodu, Piotr Dmitrycz kosił trawę. Włosy spadały mu na czoło, krawat się rozwiązał, łańcuszek od zegarka wysunął się z kieszeni. W każdym jego kroku i machnięciu kosą widać było wprawę i ogromną fizyczną siłę. Koło niego stała Luboczka i córki sąsiada, pułkownika Bukrijewa, Natalia i Walentyna, albo jak je nazywano, Nata i Wata, anemiczne i grube blondynki w wieku szesnastu – siedemnastu lat. Miały na sobie białe sukienki i były bardzo do siebie podobne. Piotr Dmitrycz uczył je kosić.

– To nic trudnego... – mówił. – Trzeba tylko umieć trzymać kosę i nie śpieszyć się, to znaczy nie używać za dużo siły. O tak... Może pani teraz spróbuje? – zaproponował kosę Luboczce. – Śmiało!

Luboczka niezręcznie wzięła do rąk kosę, nagle zaczerwieniła się i roześmiała.

– Śmiało, Lubow' Aleksandrownno! – krzyknęła Olga Michajłowna tak głośno, żeby wszystkie damy ją usłyszały i wiedziały, że jest z nimi. – Śmiało! Trzeba się uczyć! Wyjdzie pani za tołstojowca, a ten kosić zmusi.

Luboczka podniosła kosę, ale znów zaczęła się śmiać i słabnąć ze śmiechu, szybko ją opuściła. Czując strach i przyjemność, że rozmawiają z nią jak z dorosłą. Nata bez uśmiechu i obawy, z poważną, zimną twarzą, wzięła kosę, machnęła nią i zaplątała w trawie; Wata, również bez uśmiechu, poważna i zimna jak siostra, nic nie mówiąc, wzięła kosę i wbiła ją w ziemię. Po czym obie wzięły się pod rękę i bez słowa poszły w stronę maliniaka.

Piotr Dmitrycz śmiał się i wygłupiał jak chłopiec i ten dziecinnie swawolny nastrój, kiedy robił się nadmiernie dobroduszny, pasował do niego bardziej niż jakikolwiek inny. Kochał go takim. Ale jego łobuzerstwo nie trwało zwykle długo. Tak stało się i tym razem, po wygłupach z kosą nie wiadomo czemu postanowił nadać swym psotom poważny odcień.

– Kiedy koszę, czuję, że jestem zdrowszy i bardziej normalny – powiedział. – Jakbym był zmuszony prowadzić tylko życie umysłowe, chyba bym zwariował. Czuję, że nie urodziłem się cywilizowanym człowiekiem! Powiniennem kosić, orać, siać, konie ujeżdżać

I Piotr Dmitrycz zaczął rozmawiać z damami o zaletach fizycznej pracy, o kulturze, o szkodliwości pieniędzy, własności. Słuchając męża, przypomniawszy sobie o swoim posagu.

„A przecież nadejdzie czas – pomyślała – kiedy nie wybaczy mi, że jestem bogatsza od niego. Jest dumny i egocentryczny. Chyba mnie znienawidzi za to, że wiele mi zawdzięcza”.

Zatrzymała się obok pułkownika Bukrijewa, który jadł maliny i też uczestniczył w rozmowie.

– Proszę – powiedział, przepuszczając Olę Michajłowną i Piotra Dmitrycza. – Tu najbardziej dojrzała... Więc, jak twierdzi *Proudhon*, – kontynuował podwyższając głos – własność jest kradzieżą. Ale przyznam, że nie uznaję *Proudhona* i za filozofa go nie uważam. Dla mnie Francuzi nie są żadnymi autorytetami, Bóg z nimi!

– No, co dotyczy *Proudhonów* i różnych tam *Bucklejów*, nie znam się na tym – powiedział Piotr Dmitrycz. – W sprawie filozofii proszę do mojej małżonki się zwracać. Skończyła kursy i wszystkich tych *Schopenhauerów* i *Proudhonów* na wylot zna...

Znowu poczuła nudę. Znowu zaczęła chodzić po ogrodzie wąską ścieżką obok jabłoni i grusz i znowu wyglądała tak jakby śpieszyła się gdzieś z jakąś ważną sprawą. A oto i chata ogrodnika... Na progu siedziała żona ogrodnika, Warwara i jej czwórka dzieciaków z dużymi, ostrzyżonymi głowami. Warwara też była w ciąży i zbierała się rodzić, jak wyliczyła, na Ilję proroka.\* Olga Michajłowna przywitała się, obejrzała ją i dzieci i zapytała:

– No, jak się czujesz?

– W porządku...

Zapanowała cisza. Obie kobiety rozumiały się bez słów.

– Strasznie jest rodzić po raz pierwszy – powiedziała Olga Michajłowna po namyśle – wydaje mi się, że nie znośę, umrę.

– I mnie tak się wydawało, a żyję... To nic strasznego!

Warwara była w ciąży już po raz piąty i patrzyła na swą panią nieco z góry, mówiła tonem pouczającym, a Olga Michajłowna mimowolnie uznawała jej autorytet; chciało jej się mówić o swym strachu, o dziecku, o swych odczuciach, ale obawiała się, że Warwara uzna to za błahe i naiwne. Więc milczała i czekała, kiedy Warwara sama się odezwie.

– Olu, idziemy do domu! – krzyknął z maliniaka Piotr Dmitrycz.

Oldze Michajłownie podobało się ot tak milczeć, czekać i patrzeć na Warwarę. Mogłaby stać tak milcząc i bez żadnej potrzeby, aż do nocy. Ale musiała już iść. Nie zdążyła odejść od chaty, jak zobaczyła biegnących w jej stronę Luboczkę, Watę i Natę. Dwie ostatnie zatrzymały się naraz na sążeń przed nią jak wryte; Luboczka zaś dobiegła i uwiesiła się jej na szyi.

– Kochana! Dobra! Złociutka! – mówiła, całując ją w twarz i szyję. – Płyniemy na herbatę na wyspę!

– Na wyspę! Na wyspę! – powiedziały chórem jednakowe Wata i Nata bez cienia uśmiechu.

– Ależ zaraz padać będzie, moje drogie.

– Nie będzie, nie będzie! – krzyknęła Luboczka krzywiąc się jakby chciała się rozplakać. – Wszyscy zgodzili się płynąć! Droga, kochana!

– Tam wszyscy chcą płynąć na wyspę, herbatę pić – powiedział Piotr Dmitrycz podchodząc. – Zajmij się tym... Popłyniemy wszyscy łodziami, a samowary i resztę trzeba powozem ze służbą wysłać.

Poszedł obok żony biorąc ją pod rękę. Olga Michajłowna chciała powiedzieć mężowi coś nieprzyjemnego, uszczypliwego, wspomnieć choćby nawet o posagu, im ostrzej, tym, wydawało się, lepiej. Pomyślała i powiedziała:

– Czemu to hrabia Aleksej Pietrowicz nie przyjechał? Jaka szkoda!

– I bardzo dobrze, że nie przyjechał – skłamał Piotr Dmitrycz. – Mam tego błazna po dziurki w nosie.

– A przed obiadem tak na niego czekałeś!

### III

Pół godziny później goście tłumnie zebrawi się na brzegu koło pali, gdzie były przywiązane łódki. Wszyscy dużo mówili, śmiali się i przez zbytnie zamieszanie długo nie mogli wsiąść do łódek. Trzy łódki były już przepełnione, a dwie stały puste. Do tych dwóch przepadły gdzieś klucze i ktoś co chwilę biegł do domu ich szukać. Jedni mówili, że klucze ma Grigorij, drudzy – że są u zarządcy, trzeci radzili wezwać kowala i rozbić kłódki. Wszyscy mówili naraz,

---

\* 20 lipca - wg starego kalendarza (*przyp. tłum.*).

przerywając i przekrzykując jeden drugiego. Piotr Dmitrycz niecierpliwie przechadzał się po brzegu i wściekał się:

– A niech to wszyscy diabli! Klucze powinny zawsze leżeć w przedpokoju na parapecie! Kto śmiał je stamtąd zabrać? Zarządca niech będzie łaskaw kupić sobie własną łódź!

Wreszcie się odnalazły. Wtedy okazało się, że brakuje dwóch wiosła. Znow zaczęła się biegająca. Piotr Dmitrycz, któremu znudziło się chodzić, wskoczył do wąskiego i długiego czółna wydrążonego z pnia topoli, zachwiał się, mało nie wpadł do wody i odbił od brzegu. W ślad za nim, przy akompaniamencie gromkiego śmiechu i wrzasków pańienek, sznurem ruszyły inne łodzie.

W wodzie odbijały się jak w lustrze wyblakłe niebo w obłokach, przybrzeżne drzewa, szuwary i łódki z ludźmi i wiosłami; gdzieś w samej jej głębi, w bezdennej przepaści też było niebo i latały ptaki. Brzeg, na którym stała posiadłość, był wysoki, urwisty i cały porośnięty drzewami; na drugim, lekko spadzistym, zieleniły się szerokie, zatapiane łąki i lśniły zatoki. Łódki przepłynęły z pięćdziesiąt sążni; poprzez smętnie pochylone wierzby widać było chaty na łagodnym brzegu i stado krów; rozlegał się śpiew, pijane okrzyki i dźwięki harmonii.

Tu i tam przemykały czółna rybaków płynących by stawiać sieci na noc. W jednym czólnie siedzieli podpici muzykanci–amatorzy i grali na własnoręcznie zrobionych skrzypkach i wiolonczelach.

Olga Michajłowna siedziała koło steru. Mile się uśmiechała i wiele mówiła, żeby zabawić gości, zerkając jednocześnie z ukosa na męża. Płynął swoim czólnem pierwszy i pracował stojąc jednym wiosłem. Lekkie czółno ze spiczastym nosem, które wszyscy nazywali wywrotnym, a sam Piotr Dmitrycz, nie wiadomo czemu, Penderaklą, mknęło po wodzie. Wyglądało na ruchliwe i przebiegłe, a ciężki Piotra Dmitrycza nie bardzo do niego pasował. Wydawało się, że czółno tylko czeka, żeby wyślizgnąć się spod jego nóg. Olga Michajłowna patrzyła na męża i czuła wstręt do jego pięknego ciała, które wszystkim się podobało, do jego karku, pozy, familiarnego zachowania z kobietami; nienawidziła wszystkich kobiet siedzących w łódce, była zazdrosna, ale jednocześnie wzdrygała się co chwilę obawiając się, że zaraz chwiejne czółno się przewróci i z mężem stanie się coś złego.

– Spokojnie, Piotrze! – krzyczała i jej serce zamierało ze strachu. — Siadaj! I tak wierzymy, że jesteś odważny!

Siedzący z nią w łódce też ją denerwowali. Wszystko to byli zwykli, niezli ludzie, jakich wiele, ale teraz każdy wydawał jej się niezwykłym i złym. W każdym widziała tylko obłudę. „Oto – myślała – wiosłuje młody szatyn w złotych okularach i z piękną bródką, jest to bogaty, syty i wiecznie zadowolony maminsynek, którego wszyscy uważają za uczciwego, światłego, postępowego człowieka. Rok nie minął, jak skończył uniwersytet i zamieszkał w powiecie, a już mówi o sobie: „My, działacze ziemscy”. Ale po roku znudzi mu się tu jak wielu innym, wyjedzie do Petersburga i żeby jakoś usprawiedliwić swoją ucieczkę, zacznie rozpowiadać wszędzie, że ziemstwo jest do niczego i że się mylił. A z drugiej łódki nie może się na niego napatrzeć młoda żona, która wierzy, że jest działaczem ziemskim, tak samo jak rok później będzie mu wierzyła, że ziemstwo jest do niczego. A oto tęgi, starannie wygolony pan w słomkowym kapeluszu z szeroką wstęgą i drogim cygarem w zębach. Ten to lubi mawiać: „Pora już przestać fantazjować i wziąć się do pracy!” Ma yorkshirskie świnie, butlerowskie ule, rzepak, ananasy, tłocznię oleju, wytwórnię serów, włoską podwójną buchalterię. Ale każdego lata sprzedaje na wyrąb kolejny kawałek lasu i zastawia część ziemi, żeby móc zamieszkać jesienią z kochanką na Krymie. A oto wujaszek Nikołaj Nikołaicz, który gniewa się na Piotra Dmitrycza, a do domu i tak nie jedzie!”

Przyglądała się innym łódkom, ale i tam widziała tylko samych dziwaków, aktorów lub ograniczonych ludzi. Przypominała sobie wszystkich, kogo znała w powiecie i nie mogła znaleźć ani jednego człowieka, o którym mogłaby powiedzieć lub pomyśleć coś dobrego.



Wszyscy wydawali jej się beztalenciami, szaraczkami, ludźmi ograniczonymi, fałszywymi, bezdusznymi, wszyscy mówili nie to, o czym myślą, i robili nie to, co chcą. Dusił ją nuda i rozpacz; miała ochotę przestać nagle się uśmiechać, zerwać się z miejsca i krzyknąć: „Mam was wszystkich dość!” – a potem wyskoczyć z łódki i popłynąć do brzegu.

– Proszę państwa, bierzmy Piotra Dmitrycza na hol! – krzyknął ktoś.

– Na hol! Na hol! – podchwyciła reszta. – Olgo Michajłowno, niech pani bierze swego męża na hol.

Żeby wziąć na hol, Olga Michajłowna, która siedziała u steru, musiała zaczekać na odpowiednią chwilę i sprytnie schwycić Penderaklię koło dziobu za łańcuch. Kiedy przechyliła się za łańcuchem, Piotr Dmitrycz skrzywił się i popatrzył na nią wystraszony.

– Żebyś się nie przeziębiła! – powiedział.

„Jeśli martwisz się o mnie i o dziecko, to czemu mnie tak męczysz?” – pomyślała Olga Michajłowna.

Piotr Dmitrycz uznał się za pokonanego i nie chcąc płynąć na holu, skoczył z Penderaklii do łódki, która i bez niego była już przepelniona, ale tak nieostrożnie, że łódka mocno się przechyliła i wszyscy krzyknęli przerażeni.

„Skoczył, żeby kobietom się spodobać – pomyślała. – Wie, że to ładnie wygląda...”

Zadrżały jej ręce i nogi, chyba z nudów, irytacji, sztucznego uśmiechu i dyskomfortu, jaki czuła w całym ciele. I żeby ukryć przed gośćmi te dreszcze, starała się głośniejsze mówić, śmiać się, ruszać...

„Jeśli się rozplaczę – pomyślała – powiem, że mnie zęby bolą...”

Ale oto łódki przybiły wreszcie do wyspy Dobrej Nadziei. Był to właściwie półwysp, który powstał dzięki skrętowi rzeki pod kątem ostrym, porośnięty starym zagajnikiem z brzozy, dębu, wierzby i topoli. Pod drzewami stały już stoły, dymiły samowary, a koło naczyń krzątali się Wasylj i Grigorij we frakach i białych rękawiczkach. Na drugim brzegu, naprzeciw wyspy Dobrej Nadziei, stały powozy z prowiantem. Kosze i pakunki z prowiantem przewożono z powozów na wyspę w czólnie, bardzo podobnym do Penderaklii. Lokaje, stangreci i nawet siedzący w czólnie chłop mieli uroczyste, świąteczne miny, jaki miewają tylko dzieci i służba.

Póki Olga Michajłowna zaparzała herbatę i napelniała pierwsze szklanki, goście zajęci byli nalewką i słodyczami. Później zaczęło się zamieszanie, jak to zwykle bywa na piknikach w czasie picia herbaty, które jest nudne i męczące dla gospodyń. Nie zdążyli jeszcze Wasylj i Grigorij obsłużyć wszystkich, a już wyciągały się do Olgi Michajłowny ręce z pustymi szklankami. Jeden prosił bez cukru, drugi – mocniejszą, trzeci – słabszą, czwarty dziękował. Musiała o tym wszystkim pamiętać i co chwilę wołać: „Iwanie Pietrowiczu, to panu bez cukru?”, albo: „Kto, na Boga, prosił słabszą?” Ale ten, co chciał słabszą lub bez cukru, już nie pamiętał tego i zajęty przyjemną rozmową brał pierwszą lepszą szklankę. Na uboczu błdziły jak cienie ponure postacie i udawały, że szukają w trawie grzybów lub czytają nalepki na pudełkach – to ci, dla których nie starczyło szklanek. „Pił pan herbatę?” – pytała Olga Michajłowna i ten kogo pytała, prosił nie sprawiać sobie kłopotu i mówił, że poczeka, chociaż gospodyni wołała, żeby goście nie czekali, a pili szybciej.

Jedni, zajęci rozmową, pili herbatę powoli, zatrzymując szklanki na pół godziny, inni zaś, zwłaszcza ci, co dużo pili przy obiedzie, nie odchodzili od stołu i pili szklankę za szklanką i Olga Michajłowna nie nadążała nalewać. Jeden młody żartowniś pił herbatę przegryzając kostką cukru i cały czas powtarzał: „Lubię, grzeszna dusza, dogodzić sobie chińskim ziółkiem”. I co chwilę prosił ciężko wzdychając: „Poproszę o jeszcze jedną szklaneczkę!” Pił dużo, cukier gryzł głośno i uważał, że jest bardzo zabawny i oryginalny i że świetnie naśladuje kupców. Nikt nie zauważał, że wszystkie te drobiazgi były męczące dla gospodyni,

zresztą ciężko by było to zauważyć, bo Olga Michajłowna ciągle życzliwie się uśmiechała i plotła bzdury.

Ale czuła się nie najlepiej... Drażniły ją te tłumy, śmiech, pytania, żartowniś, zabiegani i zaganiani lokaje, dzieci, kręcące się koło stołu; drażniło ją, że Wata jest podobna do Naty, Kola do Miti i że nie można się połapać, kto z nich już pił herbatę, a kto jeszcze nie. Czuła, jak jej napięty życzliwy uśmiech przechodzi w wyraz złości, i ledwo powstrzymywała się od płaczu.

– Proszę państwa, deszcz! – krzyknął ktoś.

Wszyscy popatrzyli na niebo.

– Rzeczywiście, deszcz... – potwierdził Piotr Dmitrycz i wytarł policzek.

Z nieba spadło ledwo kilka kropli, prawdziwego deszczu jeszcze nie było, ale goście rzucili herbatę i zaczęli się zbierać. Najpierw chcieli jechać powozami, ale później się rozmyślili i pobiegli do łódek. Olga Michajłowna pod pretekstem, że musi jak najszybciej zająć się kolacją, przeprosiła towarzystwo i pojechała do domu powozem.

Siedząc w powozie mogła odpocząć wreszcie od uśmiechu. Ze złą miną jechała przez wieś i ze złą miną odpowiadała na ukłony napotkanych chłopów. Przyjechawszy do domu, przemknęła się kuchennym wejściem do sypialni i położyła się na chwilę na łóżku męża.

– Jezu Chryste – szeptała – i za co taka katorga? Po co ci ludzie tłoczą się tu i udają, że świetnie się bawią? Po co się uśmiecham i kłamie? Nie rozumiem, nie rozumiem!

Rozległy się kroki i głosy. Wrócili goście.

„A niech tam – pomyślała Olga Michajłowna. – poleżę jeszcze”.

Ale do sypialni weszła pokojówka i powiedziała:

– Proszę pani, Maria Grigorjewna wyjeżdża!

Olga Michajłowna zerwała się z łóżka, poprawiła fryzurę i pośpiesznie wyszła z sypialni.

– Mario Grigorjewno, co to ma znaczyć? – zaczęła obrażonym głosem, idąc naprzeciw Marii Grigorjewnie. – Gdzie pani tak się śpieszy?

– Nie mogę, gołąbeczko, nie mogę! I tak już się zasiedziałam. W domu dzieci czekają.

– Niedobra pani jest! I czemu pani ich ze sobą nie wzięła?

– Moja droga, jeżeli pani pozwoli, przywiozę je kiedyś w powszedni dzień, ale dziś...

– Ach, proszę bardzo – przerwała jej Olga Michajłowna – będzie mi bardzo miło! Pani ma takie śliczne dzieci! Proszę je wszystkie ucałować ode mnie... Ale naprawdę sprawia mi pani przykrość! Po co tak się śpieszyć, nie rozumiem!

– Nie mogę, nie mogę... Żegnaj, moja droga. Niech pani uważa na siebie. Przecież jest pani teraz w takim stanie...

I obie pocałowały się. Odprowadziwszy ją do powozu Olga Michajłowna poszła do bawialni do dam. Światła już były zapalone i mężczyźni siadali grać w karty.

#### IV

Wreszcie po kolacji, kwadrans po dwunastej, goście zaczęli się rozjeżdżać. Olga Michajłowna wyszła ich pożegnać na ganek:

– Niech pani weźmie szal! Chłodno się robi. Jeszcze pani się przeziębii, nie daj Boże!

– Proszę się nie niepokoić, Olgo Michajłowno! – odpowiadali goście siadając do powozów.

– Żegnamy panią! Niech pani nie zapomni, czekamy na panią! Nie zawiedzie nas pani?

– Prryy! – powstrzymywał woźnica konie.

– Ruszaj, Denis! Żegnamy, Olgo Michajłowno!

– Proszę dzieci ucałować!

Powóz ruszał i momentalnie zniknął w ciemnościach. W czerwonym kręgu, który rzucała na drogę lampa, pojawiała się nowa para lub trójka zniecierpliwionych koni i kontury woźnicy z

wyciągniętymi do przodu rękami. Znów zaczynały się pocałunki, wyrzuty i prośby przyjechać jeszcze raz lub wziąć szal. Piotr Dmitrycz wybiegał z przedpokoju i pomagał damom wsiąść do powozu.

– Jedź teraz na Jefriemowszczyne – pouczał woźnicę. – Przez Mankino bliżej, ale tam droga gorsza. Jeszcze, nie daj Boże, wywrócisz... Żegnam, moje śliczności! *Mille compliments*\* dla pani malarza!

– Żegnamy, kochana Olgo Michajłowno! Niech pani idzie do domu, bo się pani przeziębi! Chłodno jest!

– Pryy! Spokój!

– Co to za konie? – pytał Piotr Dmitrycz.

– W czasie Wielkiego Postu u Chajdarowa kupili – odpowiadał woźnica.

– Piękne koniki...

I Piotr Dmitrycz klepał lejcowego konia po zadzie.

– No, ruszaj! Dobrej drogi!

Nareszcie odjechał ostatni gość. Czerwony krąg na drodze zachwiał się, odplyną w bok, zmalął i zgasł – to Wasylj zabrał z ganku lampę. Kiedyś, odprowadziwszy gości, Piotr Dmitrycz i Olga Michajłowna zaczynali skakać w salonie twarzą do siebie, klaskać i śpiewać: „Pojechali! Pojechali, pojechali!” Ale tym razem nie miała na to siły. Poszła do sypialni, rozebrała się i położyła do łóżka.

Myślała, że zaraz zaśnie i będzie mocno spała. Nogi i ramiona przeszywał tępy ból, głowa była ciężka od rozmów, a w całym ciele wciąż czuła jakiś dyskomfort. Nakryła się z głową, poleżała tak parę minut, potem popatrzyła spod kołdry na lampkę nasłuchując ciszy i uśmiechnęła się.

– Jak dobrze, jak dobrze... – wyszeptwała zginając nogi, które po całym dniu chodzenia wydawały się za długie. – Spać, spać...

Ale nie mogła ich ułożyć, ciągle było niewygodnie, przewróciła się więc na drugi bok. W sypialni z brzęczeniem latała duża mucha i niespokojnie tłukła się o sufit. Słysząc było, jak w salonie, próbując nie hałasować, sprzątali ze stołów Grigorij i Wasylj; wydawało jej się, że zaśnie i poczuje się wygodnie dopiero wtedy, jak ucichną te dźwięki. I znów nerwowo przewróciła się na drugi bok.

Z bawialni słychać było głos męża. Widocznie ktoś został nocować, bo Piotr Dmitrycz do kogoś się zwracał:

– Nie powiem, żeby hrabia Aleksej Pietrowicz był fałszywym człowiekiem. Ale mimo woli na takiego wygląda, ponieważ wszyscy wy, panowie, chcecie widzieć w nim nie tego, kim jest w rzeczywistości. W jego dziwactwach upatrujecie oryginalność, w familiarnym zachowaniu – dobroduszość, w absolutnym braku poglądów – konserwatyzm. Załóżmy nawet, że rzeczywiście jest konserwatystą osiemdziesiątej czwartej próby. Ale cóż to takiego konserwatyzm?

Piotr Dmitrycz, zły i na hrabiego Alekseja Pietrowicza, i na gości, i na samego siebie, miał teraz okazję ulżyć sobie. Wymyślał i hrabiemu, i gościom i zirytowany samym sobą gotów był wypowiadać i głosić wszystko co chcecie. Odprowadziwszy gościa, przechadzał się przez chwilę po bawialni z kąta w kąt, przeszedł się po jadalni, korytarzu, gabinecie, potem znów po bawialni i wszedł do sypialni. Olga Michajłowna leżała na plecach przykryta kołdrą tylko po pas (było jej teraz gorąco) i ze złą miną obserwowała muchę, która tłukła się o sufit.

– Ktoś został nocować? – zapytała.

– Jegorow.

---

\* Tysiące pozdrowień – *fr. (przyp. tłum.)*.

Piotr Dmitrycz rozebrał się i położył do łóżka. Zapalił milcząc papierosa i też zaczął obserwować muchę. Jego spojrzenie było srogie i niespokojne. Olga Michajłowna patrzyła w milczeniu na jego piękny profil. Nie wiadomo czemu, ale wydawało jej się, że jakby mąż odwrócił teraz do niej twarz i powiedział: „Olu, jest mi ciężko”, rozplakałaby się lub roześmiała i od razu poczułaby się lepiej. Sądziła, że nogi ją bolą i jest jej niewygodnie dlatego, że serce ma ściśnięte.

– Piotrze, o czym myślisz? – zapytała.

– Tak, o niczym... – odpowiedział mąż.

– Masz ostatnio jakieś tajemnice przede mną. Niedobrze.

– Czemu niedobrze? – odpowiedział oschle i nie od razu. – Każdy ma własne życie, więc powinny być i własne tajemnice.

– Własne życie, własne tajemnice... wszystko to słowa! Zrozum, obrażasz mnie! – powiedziała Olga Michajłowna, podnosząc się i siadając na łóżku. – Jeżeli masz coś na sercu, czemu ukrywasz to przede mną? Dlaczego uważasz, że lepiej wynurzać się przed obcą kobietą niż przed żoną? Przecież słyszałam, jak skarżyłeś się dziś w pasiece Luboczce.

– Moje gratulacje. Bardzo mi miło, że słyszałaś.

Znaczyło to: zostaw mnie w spokoju, nie przeszkadzaj myśleć! Wzburzyło ją to. Irytacja, nienawiść i gniew, które tłumiła w sobie przez cały dzień, nagle wezbrały; miała ochotę natychmiast, nie odkładając do jutra, wygarnąć wszystko mężowi, obrazić go, zemścić się... Próbuje się opanować, żeby nie krzyczeć, powiedziała:

– Chcę ci powiedzieć, że zachowujesz się wstrętnie, wstrętnie, wstrętnie! Dziś przez cały dzień cię nienawidziłam – oto coś zrobił!

Piotr Dmitrycz też podniósł się i usiadł.

– Wstrętnie, wstrętnie, wstrętnie! – mówiła Olga Michajłowna, dostając na całym ciele dreszczy. – Nie masz mi czego gratulować! Sobie lepiej pogratuluj! Wstyd, hańba! Dokłamałeś się do tego stopnia, że wstydzisz się z żoną w jednym pokoju przebywać! Jesteś fałszywy! Widzę cię na wylot i rozumiem każdy twój krok!

– Olu, kiedy jesteś w złym humorze, to proszę cię, uprzedzaj. Będę wtedy spał w gabinecie.

Powiedziawszy to wziął poduszkę i wyszedł z sypialni. Olga Michajłowna nie przewidziała tego. Przez pierwsze chwile patrzyła z otwartymi ustami i drżąc na całym ciele na drzwi, za którymi zniknął, i próbowała zrozumieć, co to ma znaczyć. Czy jest to jedna z tych sztuczek, które stosują w sporach fałszywi ludzie, kiedy czują, że nie mają racji, czy zniewaga, umyślnie wymierzona w jej dumę? Jak to należy rozumieć? Przypomniała sobie kuzyna, oficera, wesołego młodzieńca, który często opowiadał jej ze śmiechem, że kiedy w nocy jego „połowica zaczyna marudzić”, bierze poduszkę i pogwizdując idzie do gabinetu, zostawiając żonę w głupiej i śmiesznej sytuacji. Oficer ten był żonaty z bogatą, kapryśną i głupią kobietą, której nie szanował i ledwo znosił.

Olga Michajłowna wyskoczyła z łóżka. Uważała, iż pozostało jej tylko jedno wyjście: ubrać się jak najszybciej i na zawsze opuścić ten dom. Należał do niej, ale tym gorzej dla Piotra Dmitrycza. Nie zastanawiając się szybko poszła do gabinetu, żeby powiedzieć mężowi o swojej decyzji („Babska logika!” – przemknęło jej w myślach) i jeszcze coś obraźliwego, złośliwego na pożegnanie...

Piotr Dmitrycz leżał na wersalce i udawał, że czyta gazetę. Obok niego paliła się świeca. Jego twarz była zasłonięta gazetą.

– Proszę łaskawie mi wyjaśnić, co to znaczy? Pytam pana!

– Pana... – zdziwił się Piotr Dmitrycz nie odsłaniając twarzy. – Mam tego dość, Olgo! Jestem naprawdę zmęczony i nie mam teraz do tego głowy... Jutro będziemy się kłócić.

– Nie, bardzo dobrze cię rozumiem! – ciągnęła Olga Michajłowna. – Nienawidzisz mnie! Tak, tak! Nienawidzisz mnie, bo jestem bogatsza od ciebie! Nigdy mi tego nie wybaczysz i zawsze będziesz mi kłamał! („Babska logika!” – znów przemknęło jej w głowie). Teraz chyba śmiejesz się ze mnie... Nawet jestem pewna, że ożeniłeś się ze mną, żeby mieć majątek i te przeklęte konie... O, ja nieszczęsna!

Piotr Dmitrycz upuścił gazetę i podniósł się. Te niespodziewane zarzuty oszołomiły go. Uśmiechnął się bezradnie jak dziecko, popatrzył zdumiony na żonę i jakby broniąc się przed uderzeniami, wyciągnął do niej rękę, mówiąc błagalnym tonem:

– Olu!

I oczekując, że ona znów powie coś okropnego, przycisnął się do oparcia wersalki, a cała jego wielka postać wyglądała teraz tak samo dziecinnie bezradna jak uśmiech.

– Olu, jak mogłaś coś takiego powiedzieć? – wyszeptał.

Od razu oprzytomniała. Poczwała nagle, że kocha tego człowieka, przypomniała sobie, że jest jej mężem, bez którego nie może dnia przeżyć i który kocha ją tak samo namiętnie. Zaszlochała głośno nie swoim głosem, chwyciła się za głowę i pobiegła z powrotem do sypialni.

Runęła na łóżko i drobne, histeryczne szloch nie pozwalające oddychać, po których drętwieją ręce i nogi, wypełniły sypialnię. Przypomniała sobie, że trzy–cztery pokoje dalej nocuje gość, i schowała głowę pod poduszkę, żeby przytłumić szloch, ale poduszka spadła na podłogę, a ona sama ledwo nie upadła, kiedy schyliła się po nią; pociągnęła ku twarzy kołdrę, ale ręce odmówiły jej posłuszeństwa i gorączkowo darły wszystko, za co się nie chwyciły.

Wydawało jej się, że wszystko już przepadło, że nieprawda, którą powiedziała mężowi, chcąc go zranić, zniszczyła całe jej życie. Mąż jej nie wybaczy. Znieważyla go tak mocno, że nie da się tego naprawić ani wyrazami czułości, ani żadnymi zapewnieniami... Jak go teraz przekona, że sama nie wierzyła w to, co mówiła?

– To koniec, koniec! – krzyczała nie zauważając, że poduszka znów spadła na podłogę. – Błagam, błagam!

Obudziła już pewnie swoim krzykiem i gościa, i służbę; nazajutrz cały powiat będzie wiedział, że miała histerię, i wszyscy będą za to winić Piotra Dmitrycza. Próbowwała się powstrzymać, ale szlochała coraz głośniejsze.

– Błagam! – krzyczała nie swoim głosem i nie rozumiała, dlaczego krzyczy. – Błagam!

Wydawało jej się, że łóżko pod nią się zapadło i nogi ugrzęzły w kołdrze. Do sypialni wszedł Piotr Dmitrycz w szlafroku i ze świecą w rękach.

– Olu, uspokój się! – powiedział.

Podniosła się i klęcząc na łóżku i mrużąc oczy od świecy, wydusiła z siebie przez szloch:

– Zrozum... zrozum...

Chciała powiedzieć, że zamęczyli ją goście, jego kłamstwa, jej kłamstwa, że miała już wszystkiego dosyć, ale potrafiła tylko powiedzieć:

– Zrozum... zrozum...

– Wypij! – powiedział podając jej wodę.

Posłusznie wzięła szklankę i próbowała się napić, ale woda wylała się i pociekła jej na rękę, pierś, kolana... „Chyba okropnie teraz wyglądam!” – pomyślała. Piotr Dmitrycz pomógł jej się położyć, wziął świecę i wyszedł.

– Błagam! – znów krzyknęła Olga Michajłowna. – Piotrze, zrozum, zrozum!

Nagle coś ścisnęło ją w dole brzucha i pleców z taką siłą, że ugryzła z bólu poduszkę, i jej płacz się urwał. Ale ból szybko minął i znów zaszlochała.

Weszła pokojówka i zapytała z niepokojem poprawiając kołdrę:

– Proszę pani, gołabeczek, co się stało?

– Wynocha! – rzucił ostro Piotr Dmitrycz podchodząc do łóżka.  
– Zrozum, zrozum... – zaczęła Olga Michajłowna.  
– Olu, proszę cię, uspokój się! – powiedział. – Nie chciałem cię obrazić. Nie wyszedłbym z sypialni, jakbym wiedział, że to tak na ciebie podziała. Było mi po prostu ciężko. Szczerze cię mówię...

– Zrozum... Ty kłamałeś, ja kłamałam...  
– Rozumiem... No, starczy już! Rozumiem... – mówił Piotr Dmitrycz siadając na jej łóżku.  
– Poniosło cię, rozumiem... Przysięgam, że kocham cię ponad wszystko, i kiedy żeniłem się z tobą, ani razu nie pomyślałem, że jesteś bogata. Bardzo cię kochałem – to wszystko... Zapewniam cię. Nigdy nie wiedziałem, co to jest bieda i jaką wartość mają pieniądze, więc nie widzę różnicy między twoim majątkiem i moim. Zawsze mi się wydawało, że jesteśmy jednakowo bogaci. A to, że w drobiazgach bywam nieszczerzy... masz całkowitą rację. Moje życie do tej pory było takie niepoważne, że nie mogłem się obejść bez drobnego kłamstwa. Sam teraz z tego powodu cierpię. Zostawmy tę rozmowę, proszę cię!..

Olga Michajłowna znów poczuła silny ból i chwyciła męża za rękaw.

– Boli, boli, boli – powiedziała szybko. – Ach, boli!  
– Diabli by wzięli tych gości! – wymamrotał Piotr Dmitrycz wstając. – Nie powinnaś była dziś jechać na wyspę! – krzyknął. – Ależ dureń ze mnie! Czemu cię nie powstrzymałem? Jezu Chryste!

Podrapał się zirytowany w głowę, machnął ręką i wyszedł z sypialni.

Wchodził później kilka razy, siadał na jej łóżku i dużo mówił, raz bardzo czule, raz gniewnie, ale źle go słyszała. Szloch przeplatał się z okropnym bólem, a każda nowa jego fala była coraz silniejsza i dłuższa. Na początku wstrzymywała w czasie bólu oddech i gryzła poduszkę, ale później zaczęła krzyczeć nieprzyzwoitym, rozdzierającym głosem. Raz zobaczyła koło siebie męża, przypomniała sobie, że go skrzywdziła, i nie zastanawiając się czy to zjawą, czy prawdziwy Piotr Dmitrycz, chwyciła obiema rękami jego rękę i zaczęła ją całować.

– Ty kłamałeś, ja kłamałam... – zaczęła się tłumaczyć. – Zrozum, zrozum... Zameczyli mnie, wyprowadzili z równowagi...

– Olu, nie jesteśmy sami! – powiedział Piotr Dmitrycz.

Podniosła głowę i zobaczyła Warwarę, która klęczała przed komodą, wysuwając dolną szufladę. Górne szuflady były już wysunięte. Skończywszy z komodą, Warwara podniosła się i cała czerwona z wysiłku, z zimną, uroczystą miną zaczęła otwierać szkatułkę.

– Mario, nie otworzę! – wyszeptwała. – Ty spróbuj!

Pokojówka Maria dłubała nożyczkami w świeczniku, żeby wstawić nową świecę; podeszła do Warwary i pomogła jej otworzyć szkatułkę.

– Żeby niczego zamkniętego nie było... – szepotała Warwara. – Otwórz, kochana, i to pudełko też. Panie – zwróciła się do Piotra Dmitrycza – posłałby pan do ojca Michała, żeby carskie wrota otworzył! Tak trzeba!

– Róbcie, co chcecie – powiedział Piotr Dmitrycz, oddech miał urywany. – Tylko błagam, jak najszybciej doktora lub położną! Wasylj pojechał? Jeszcze kogoś pošlij. Męża swego pošlij!

„Rodzę” – domyśliła się Olga Michajłowna. – Warwara – wyjęczała – przecież martwego urodzę.

– To nic, to nic, pani... – wyszeptwała Warwara. – Bóg da, żywy będzie (tak właśnie wymawiała słowo „będzie”)! Będzie żywy.

Kiedy ocknęła się z bólu następnym razem, już nie szlochała i nie rzucała się, tylko jęczała. Nie mogła powstrzymać się od jęków nawet w przerwach, kiedy bólu nie było. Świece jeszcze się paliły, ale przez zasłony przebijał się już poranny świt. Było gdzieś koło piątej. W sypialni

przy okrągłym stoliku siedziała jakaś nieznajoma kobieta w białym fartuchu z pocziwą miną. Po tym, jak siedziała, wynikało, że była tu od dawna. Olga Michajłowna domyśliła się, że była to położna.

– Kiedy to się skończy? – zapytała i usłyszała w swoim głosie jakąś wyjątkową, nieznajomą nutę, jakiej nigdy przedtem nie było. „Pewnie umieram” – pomyślała.

Do sypialni ostrożnie wszedł Piotr Dmitrycz ubrany jak za dnia i stanął koło okna plecami do żony. Uniósł zasłonę i wyjrzał na zewnątrz.

– Ależ leje! – powiedział.

– Która godzina? – zapytała Olga Michajłowna, żeby jeszcze raz usłyszeć w swym głosie ową nieznajomą nutkę.

– Za piętnaście szósta – powiedziała położna.

„A co, jeśli rzeczywiście umieram? – pomyślała Olga Michajłowna, patrząc na męża i na szybę, za którą bębnił deszcz. – Jak będzie beze mnie żył? Z kim będzie pił herbatę, jadł obiad, rozmawiał wieczorami, spał?”

I wydał jej się malutki, osierocony; zrobiło jej się go żal, chciała powiedzieć mu coś przyjemnego, czulego, pocieszającego. Przypomniała sobie, jak chciał na wiosnę kupić sobie psy gończe i jak ona, uważając polowanie za okrutną i niebezpieczną zabawę, przeszkodziła mu w tym.

– Piotrze, kup sobie gończych! – wyjęczała.

Opuścił zasłonę i podszedł do łóżka, chciał coś powiedzieć, ale Olga Michajłowna poczuła ból i zakrzyczała nieprzyzwoitym, rozdzierającym głosem.

Była otepiąta od bólu, krzyków i jęków. Wszystko słyszała, widziała, czasami mówiła, ale źle rozumiała i wiedziała tylko, że boli ją albo za chwilę zacznie boleć. Wydawało jej się, że imieniny były dawno temu, nie wczoraj, a rok temu, i że jej nowe bolesne życie ciągnie się dłużej niż jej dzieciństwo, studia, kursy, małżeństwo i będzie trwać jeszcze długo–długo, bez końca. Widziała, jak przyniesiono położnej herbatę, jak zawołano ją w południe na śniadanie, a potem na obiad; widziała, jak Piotr Dmitrycz nabrał przyzwyczajenia wchodzić, długo stać przy oknie i wychodzić, jak ciągle wchodzili jacyś obcy mężczyźni, pokojówka, Warwara... Warwara mówiła tylko „bedzie, bedzie” i gniewała się, kiedy ktoś zasuwał szufladę w komodzie. Olga Michajłowna widziała, jak w pokoju i za oknami zmieniało się światło; raz było blade, raz mętne jak mgła, to jasne, dzienne, jakie było wczoraj w czasie obiadu, to znów blade... I każda z tych zmian trwała tak samo długo jak dzieciństwo, nauka na studiach, kursy...

Wieczorem dwaj doktorzy – jeden kościsty, łysy, z szeroką rudą brodą, drugi z żydowskim nosem, czarny i w tanich okularach – robili Oldze Michajłownie jakąś operację. Nic ją nie obchodziło, że obcy mężczyźni dotykali jej ciała. Nie miała już ani wstydu, ani woli i każdy mógłby robić z nią, co chciał. Jakby teraz ktoś rzucił się na nią z nożem albo znieważył Piotra Dmitrycza, czy odebrał jej prawo do malutkiego człowieczka, nie powiedziałyby ani słowa.

W czasie operacji dali jej chloroform. Kiedy później się obudziła, wciąż miała bóle, które wydawały się nie do zniesienia. Była noc. Pomyślała, że taka sama cicha noc ze świecą, z położną, nieruchomo siedzącą koło łóżka, z wysuniętymi szufladami, z Piotrem Dmitryczem, stojącym koło okna, już była, ale kiedyś bardzo, bardzo dawno temu...

## V

„Nie umarłam...” – pomyślała Olga Michajłowna, kiedy życie zewnętrzne znów zaczęło do niej docierać, a bóle ustały.

Przez dwa otwarte na oścież okna zaglądał do sypialni jasny letni dzień; w ogrodzie darły się wróble i sroki.

Szuflady w komodzie były już zasunięte, pościel męża schowana. W sypialni nie było ani położnej, ani Warwary, ani pokojówki; tylko Piotr Dmitrycz stał jak zwykle koło okna i patrzył na ogród. Nie słyhać było dziecięcego płaczu, nikt nie gratulował i nie cieszył się, widocznie małej dziewczynki urodził się martwy.

– Piotrze! – zawołała męża.

Piotr Dmitrycz obejrzał się. Wyglądało na to, że od tego czasu, jak wyjechał ostatni gość i Olga Michajłowna obraziła męża, upłynęło sporo czasu, bo Piotr Dmitrycz wyraźnie zmizerniał i schudł.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytał podchodząc do łóżka.

Patrzył w bok, poruszał wargami i uśmiechał się po dziecinnemu bezbrannie.

– Już po wszystkim? – zapytała Olga Michajłowna.

Piotr Dmitrycz chciał coś powiedzieć, ale wargi mu zadrżały i usta wykrzywiły się jak u bezzębnego wujka Nikołaja Nikołajewicza.

– Olu! – powiedział załamując ręce i z jego oczu pociekły wielkie łzy. – Olu! Nie chcę ani twojego majątku, ani zjazdów (tu zaszlochał), ani odrębnego zdania, ani tych gości, ani twojego posagu... niczego nie potrzebuję! Dlaczego nie uważaliśmy na nasze dziecko? Ach, co tu teraz mówić!

Machnął ręką i wyszedł z sypialni.

A jej było absolutnie wszystko jedno. Głowę miała ciężką po chloroformie, w sercu pustkę... Tępa obojętność, którą poczuła, kiedy dwaj doktorzy przeprowadzali operację, wciąż jej nie opuszczała.

1888



## STRACH

### Opowiadanie mojego przyjaciela

Dmitrij Pietrowicz Silin pracował po studiach w Petersburgu w urzędzie, ale w wieku trzydziestu lat rzucił pracę i zajął się gospodarstwem rolnym. Chociaż szło mu nie najgorzej, doszedł jednak do wniosku, że to nie dla niego i że dobrze by było wrócić do Petersburga. Kiedy opalony, zmęczony i szary od kurzu witał mnie koło bramy albo wejścia do domu, a później walczył przy kolacji ze snem i żona odprowadzała go jak małe dziecko do łóżka, albo kiedy przewyciężywszy sen zaczynał miękkiem, serdecznym jakby błagającym głosem dzielić się swoimi praktycznymi spostrzeżeniami, widziałem w nim nie gospodarza czy agronoma, ale zwyczajnie zmęczonego człowieka i rozumiałem wtedy, że nie potrzebuje żadnego gospodarstwa, a tylko żeby dzień jakoś minął – i dzięki Bogu.

Lubiłem u niego bywać i nieraz gościłem w jego posiadłości kilka dni. Lubiłem jego dom i park, i duży ogród owocowy, i rzeczkę, i jego filozofię, trochę ospałą i kwiecistą, a mimo to jasną. Chyba jego samego też lubiłem, chociaż nie jestem tego pewien, bo do tej pory nie mogę połapać się w tamtych uczuciach. Był to inteligentny, dobry, ciekawy i szczerzy człowiek, ale pamiętam bardzo dobrze, że kiedy zwierzał mi się ze swoich najskrytszych tajemnic i nazywał nasze stosunki przyjaźnią, działało to na mnie jakoś nieprzyjemnie i czułem się skrępowany. W jego przyjaźni było coś kłopotliwego, uciążliwego, wolałbym zwykle przyjacielskie stosunki.

Chodzi o to, że bardzo mi się podobała jego żona, Maria Sergiejewna. Nie byłem w niej zakochany, ale podobała mi się jej twarz, oczy, głos, chód, tęskniłem za nią, kiedy długo jej nie widziałem, i nikt inny nie zajmował tak mojej wyobraźni jak ta młoda, piękna i elegancka kobieta. Nie miałem w stosunku do niej żadnych określonych zamiarów i o niczym nie marzyłem, ale za każdym razem, kiedy zostawaliśmy sami, przypominałem sobie nagle, że jej mąż uważa mnie za swego przyjaciela, i czułem się skrępowany. Kiedy grała dla mnie na fortepianie moje ulubione utwory, albo opowiadała mi coś ciekawego, z przyjemnością jej słuchałem, pamiętając cały czas, że kocha swego męża, który jest moim przyjacielem, i że ona również uważa mnie za jego przyjaciela; psuł mi się humor i robiłem się apatyczny, skrępowany i przygnębiony. Zauważała tę zmianę i zwykle mówiła:

– Nudzi się pan bez swojego przyjaciela. Trzeba posłać za nim w pole.

A kiedy przychodził Dmitrij Pietrowicz, mówiła:

– A oto i pański przyjaciel. Zadowolony pan?

Ciągnęło się to z półtora roku.

Pewnej lipcowej niedzieli wybraliśmy się z nudów z Dmitrijem Pietrowiczem do dużej wioski Kluszyno, żeby kupić tam coś na kolację. Póki chodziliśmy po sklepach, słońce zaszło i nastał wieczór, którego chyba nigdy w życiu nie zapomnę. Kupiliśmy ser przypominający mydło i skamieniałą kielbasę, od której zanosilo dziegiem, i poszliśmy do karczmy po piwo. Nasz woźnica pojechał do kuźni, żeby podkuć konie, powiedzieliśmy mu, że będziemy czekać na niego koło cerkwi. Chodziliśmy, rozmawialiśmy, śmieliśmy się z naszych zakupów, a za nami w milczeniu i z tajemniczą jak u szpicla miną kroczył człowiek, którego w naszym powiecie przezywali dosyć dziwnie: Czterdziestu Męczenników. Był to nikt inny, jak Gawriła Sewierow, albo po prostu Gawriuszka, który był u mnie przez krótki okres lokajem i został zwolniony za pijaństwo. Pracował również u Dmitrija Pietrowicza, który też go zwolnił za ten sam grzech. Był skończonym pijanicą, zresztą taki był już jego los. Jego ojciec był duchownym, a matka szlachcianką, należał więc do klasy uprzywilejowanej, ale ile nie wpatrywałem się w jego wynędzniałą, pełną szacunku, zawsze spoconą twarz, w rudą, już siwiejącą brodę, w lichą podartą marynarkę i czerwoną wypuszczoną koszulę, za nic w

świecie nie mogłem doszukać się nawet śladu tego, co u nas przyjęto nazywać przywilejami. Zaliczał siebie do wykształconych i opowiadał, jak się uczył w szkole kościelnej, której nie skończył, bo wyrzucili go za palenie; śpiewał później w chórze archijerejskim i ze dwa lata przybywał w klasztorze, skąd go też wyrzucili, już nie za palenie, a za „słabość”. Obszedł na piechotę dwie gubernie, składał nie wiadomo po co podania w różnych urzędach, cztery razy był sądzony. Osiedlił się wreszcie w naszym powiecie, pracował jako lokaj, gajowy, psiarz, stróż cerkiewny, ożenił się z puszczającą się wdową–kucharką i całkowicie ugrzązł w lokajskim życiu i tak się oswoił z jego brudem i swarami, że nawet sam mawiał o swoim uprzywilejowanym pochodzeniu z pewnym niedowierzaniem, jak o jakimś micie. W tym czasie, o którym mówię, pętał się bez pracy, podając się za konowała i myśliwego, a jego żona przepadła gdzieś bez wieści.

Z karczmy poszliśmy w stronę cerkwi i usiedliśmy na jej schodkach, czekając na woźnicę. Czterdziestu Męczenników stał niedaleko z podniesioną do ust dłoń, żeby grzecznie kaszlnąć do niej, kiedy będzie trzeba. Było już ciemno; mocno pachniało wieczorną wilgocią i wychodził księżyc. Na czystym, gwiazdnym niebie były tylko dwa obłoki, akurat nad nami: jeden duży, drugi mniejszy; biegły samotnie jeden za drugim w stronę gasnącego zachodu jak matka z dzieciątkiem.

– Piękny dziś był dzień – powiedział Dmitrij Pietrowicz.

– Nadzwyczajny... – zgodził się Czterdziestu Męczenników i grzecznie kaszlnął w dłoń. – Jak to się stało, Dmitrze Pietrowiczu, że akurat tutaj pan przyjechał? – zapytał przymilnym głosem, chcąc widocznie zawiązać rozmowę.

Dmitrij Pietrowicz nie odpowiedział. Czterdziestu Męczenników ciężko westchnął i powiedział cicho, nie patrząc na nas:

– Cierpię wyłącznie przez coś, za co będę musiał przed Panem naszym odpowiedzieć. Ano fakt, że człowiek stracony i do niczego, aliści proszę wiarę mi dać: bez kawałka chleba jam gorszy od psa... Proszę łaskawie wybaczyć, Dmitrze Pietrowiczu!

Silin nie słuchał go i podparłszy głowę pięściami o czymś rozmyślał. Cerkiew stała na wysokim brzegu na końcu ulicy, widzieliśmy przez kraty ogrodzenia rzekę, zatapiane łąki po tamtej stronie i jasny, purpurowy ogień od ogniska, wokół którego poruszali się ludzie i konie. Dalej, za ogniskiem, znów światełka – z wioski... Śpiewali tam pieśń.

Nad rzeką i gdzieś nad łąką unosiła się mgła. Długie, wąskie strzępy mgły, gęste i białe jak mleko, błdziły nad rzeką, zasłaniając odbicia gwiazd i czepiając się o wierzby. Zmieniały co chwilę swój kształt i wydawało się, że jedne się obejmowały, drugie kłaniały, trzecie unosiły ku niebu ręce z obszernymi jak u popów rękawami jakby w modlitwie... Widocznie nasunęły Dmitrijowi Pietrowiczowi myśl o zjawach i nieboszczykach, bo odwrócił do mnie twarz i zapytał ze smutnym uśmiechem:

– Proszę mi powiedzieć, mój drogi, dlaczego, jeśli chcemy opowiedzieć o czymś strasznych, tajemniczym i fantastycznym, czerpiemy materiał nie z życia, a wyłącznie ze świata upiórów i pozagrobowych zjaw?

– Straszne jest to, czego nie rozumiemy.

– A czy życie pan rozumie? Proszę mi powiedzieć: czy życie rozumie pan lepiej niż świat pozagrobowy?

Dmitrij Pietrowicz przesunął się tak blisko mnie, że czułem jego oddech na swoim policzku. Jego blada szczupła twarz wydawała się w wieczornym zmierzchu jeszcze bledsza, a ciemna broda – czarna jak węgiel. Oczy miał smutne, szczere i trochę przestraszone jakby miał zamiar opowiedzieć mi coś straszego. Patrzył mi prosto w oczy i mówił swoim jak zwykle błagającym głosem:

– Nasze życie jest tak samo niezrozumiałe i straszne jak świat pozagrobowy. Kto się boi upiórów, ten powinien się bać i mnie, i tych ogni, i nieba, bo to wszystko, jeśli się dobrze

zastanowić, jest nie mniej niepojęte i fantastyczne niż przybysze z tamtego świata. Książę Hamlet nie mógł się zabić, bo lękał się tych zjaw, które, być może, nawiedziłyby go po śmierci; podoba mi się ten jego słynny monolog, ale prawdę mówiąc, nigdy mnie nie poruszał. Wyznam panu jak przyjacielowi: wyobrażałem sobie nieraz w chwilach przygnębienia swój własny koniec, fantazja moja malowała tysiące najbardziej mrocznych obrazów, udawało mi się doprowadzać siebie do koszarnej egzaltacji i obłędu i wcale nie wydawało mi się to straszniejsze od rzeczywistości, zapewniam pana. Co tu dużo gadać, zjawy są straszne, ale życie również. Ja, mój drogi, nie rozumiem i lękam się życia. Nie wiem, może jestem chorym, zwariowanym człowiekiem. Normalnemu, zdrowemu człowiekowi wydaje się, że rozumie wszystko, co widzi i słyszy, a ja straciłem owo „wydaje się” i codziennie zatruwam siebie strachem. Jest taka choroba – lęk przestrzeni, a ja mam chorobliwy lęk życia. Kiedy leżę w trawie i długo patrzę na robaka, który dopiero wczoraj się urodził i nic nie rozumie, wydają mi się, że jego życie składa się z ciągłego kosmaru, i widzę w nim siebie.

– Czego tak w ogóle pan się boi? – zapytałem.

– Wszystkiego. Z natury jestem człowiekiem powierzchownym i mało się interesuję takimi kwestiami, jak świat pozagrobowy czy ludzkie losy i w ogóle rzadko zastanawiam się nad wzniosłymi sprawami. Boję się głównie codzienności, przed którą nikt z nas nie ucieknie. Nie jestem zdolny rozróżnić, co w moim postępowaniu jest prawdą, a co kłamstwem, i to mnie niepokoi; zdaję sobie sprawę z tego, że warunki życia i wychowanie zamknęły mnie w ciasnym kręgu zakłamania, że całe moje życie – to nic innego jak codzienna troska o to, żeby okłamywać siebie i ludzi i nie zauważać tego, i robi mi się strasznie na myśl, że aż do śmierci nie wygrzebię się z tego zakłamania. Dzisiaj coś robię, a nazajutrz już nie rozumiem, po co to robiłem. Poszedłem w Petersburgu na urzędnika i wystraszyłem się, przyjechałem tutaj, żeby zająć się gospodarstwem, i też się wystraszyłem... Widzę, że za mało mamy wiedzy i dlatego co chwilę robimy błędy, bywamy niesprawiedliwi, szkalujemy, zadrażniamy bliźniego, trwonimy swoje siły na bzdury, które nie są nam potrzebne i przeszkadzają nam żyć – tego się boję, bo nie rozumiem, na co i komu to wszystko jest potrzebne. Ja, mój drogi, nie rozumiem ludzi i boję się ich. Lękam się, kiedy patrzę na chłopów, bo nie wiem, dla jakich to wyższych celów mają się męczyć i po co żyją. Jeżeli życie ma być przyjemnością, to są zbędni, niepotrzebni; jeżeli zaś cel i sens życia – w nędzy i bezgranicznej, beznadziejnej ciemności, nie rozumiem, komu i czemu taka inkwizycja ma służyć. Nikogo i niczego nie rozumiem. Niech pan będzie łaskaw zrozumieć tego oto osobnika! – powiedział Dmitrij Pietrowicz i wskazał na Czterdziestu Męczenników. – Proszę się zastanowić!

Zauważywszy, że oboje popatrzyliśmy na niego, Czterdziestu Męczenników grzecznie kaszlnął w pięść i powiedział:

– U dobrych państwa zawsze oddanym sługą byłem, ale główna przyczyna – alkohol. Jakby mnie teraz nieszczęsnego uszanowali i miejsce dali, obraz święty bym ucałował. Obietnicy dotrzymywać zwykłem!

Obok przeszedł stróż cerkiewny, spojrzął na nas ze zdziwieniem i pociągnął za linę. Dzwon powoli i przeciągle, burząc gwałtownie ciszę wieczoru, wybił dziesiątą.

– Już dziesiąta! – powiedział Dmitrij Pietrowicz. – Pora jechać. Tak, mój drogi – westchnął – żeby pan wiedział, jak ja się boję swoich codziennych, powszednich myśli, w których, wydaje się, nie powinno być niczego strasznego. Żeby nie myśleć, bawię się pracą i próbuję się zmęczyć, aby móc mocno spać w nocy. Dzieci, żona – dla innych to zwyczajne rzeczy, ale dla mnie jakim to wszystko jest ciężarem, mój drogi!

Pomasował rękami twarz, chrząknął i roześmiał się.

– Jakbym mógł opowiedzieć panu, jaki byłem w życiu głupi! – powiedział. – Wszyscy mówią do mnie: ma pan miłą żonę, śliczne dzieci i sam pan jest wspaniałym, rodzinnym człowiekiem. Myślą, że jestem szczęśliwy i zazdroszczą mi. Ale jak już zacząłem mówić,

wyznam panu, że moje szczęśliwe życie rodzinne – to tylko smutne nieporozumienie, boję się go.

Jego blada twarz zbrzydła od wymuszonego uśmiechu. Objął mnie i ciągnął półgłosem:

– Jest pan moim najlepszym przyjacielem, ufam panu i głęboko szanuję. Niebo zsyła nam przyjaźń, żebyśmy mogli wyznawać i ratować się przed tajemnicami, które nas gnębią. Proszę mi pozwolić wykorzystać pański przyjazny stosunek do mnie i wyznać panu prawdę. Moje życie rodzinne, które wydaje się panu takim wspaniałym, to moje główne nieszczęście i mój główny lęk. Ożeniłem się głupio i dziwnie. Trzeba powiedzieć, że do ślubu kochałem Maszę namiętnie i zalecałem się do niej przez dwa lata. Proponowałem jej małżeństwo pięć razy, a ona odmawiała mi, bo byłem jej absolutnie obojętny. Za szóstym razem, kiedy pełzałem przed nią na kolanach odurzony miłością i błagałem o jej rękę jak o jałmużnę zgodziła się... Powiedziała mi: „Nie Kocham pana, ale będę panu wierna...” Taki warunek przyjąłem z zachwytem. Wtedy rozumiałem, co to znaczy, ale teraz, jak Boga Kocham, nie rozumiem. „Nie Kocham pana, ale będę panu wierna” – co to znaczy? Mętne to jest, niejasne... Kocham ją teraz tak samo mocno jak w pierwszy dzień ślubu, ale wydaje mi się, że jestem jej jak dawniej obojętny i chyba cieszy się, kiedy nie ma mnie w domu. Nie jestem pewien czy mnie Kocha, nie wiem tego, nie wiem, ale przecież mieszkamy pod jednym dachem, mówimy sobie po imieniu, śpimy razem, mamy dzieci, wspólny majątek... Co to ma znaczyć? Po co to? A czy pan coś z tego rozumie, mój drogi? Okrutna męka! Przez to, że nic nie rozumiem w naszych stosunkach, nienawidzę raz jej, raz siebie, albo oboje naraz, wszystko pomieszało się w mojej głowie, zadręczam siebie i robię się coraz bardziej tępy, a ona, jak na złość, robi się coraz piękniejsza, nadzwyczajna... Włosy ma przepiękne i uśmiecha się jak żadna inna kobieta. Kocham ją i wiem, że Kocham beznadziejnie. Beznadziejna miłość do kobiety, z którą się ma dwójkę dzieci! Czy nie jest to niezrozumiałe i straszne? Nie jest to straszniejsze od upiorów?

Znajdował się w takim stanie, że gadałby jeszcze bardzo długo, ale na szczęście usłyszałem głos woźnicy. Przyszły nasze konie. Gdy wsiadaliśmy do powozu, Czterdziestu Męczenników zdjął czapkę i podsadził nas z taką miną jakby od dawna czekał na okazję dotknięcia naszych drogocennych ciał.

– Dmitrze Pietrowiczu, niech pan łaskawie pozwoli przyjść do pana – powiedział, usilnie mrugając oczyma i przechyliwszy głowę na bok. – Niech pan okaże łaskę Bożą! Z głodu ginę!

– No dobrze – powiedział Silin. – Przyjdź, pomieszkasz ze trzy dni, a tam zobaczymy.

– Tak jest! – ucieszył się Czterdziestu Męczenników. – Nawet dziś jeszcze przyjdę.

Do domu było z sześć wiorst. Dmitrij Pietrowicz, zadowolony, że w końcu wypowiedział się przed przyjacielem, przez całą drogę mnie obejmował i już nie z rozgoryczeniem i strachem, ale wesoło mówił, że jakby w rodzinie było wszystko w porządku, wróciłby do Petersburga i zajął się nauką. Ów prąd, powiadał, co wypędził na wieś tylu zdolnych młodych ludzi, był smutnym zjawiskiem. Żyta i pszenicy mamy w Rosji pod dostatkiem, ale kulturalnych ludzi nie ma wcale. Trzeba, żeby zdolna, zdrowa młodzież zajmowała się nauką, sztuką i polityką; nie robić tego – znaczy postępować lekkomyślnie. Filozofował z przyjemnością i wyrażał ubolewanie, że jutro się nie zobaczymy, bo jedzie na targ drzewny.

A ja odczuwałem zakłopotanie i smutek i wydawało mi się, że oszukuję człowieka. I jednocześnie było mi przyjemnie. Patrzyłem na olbrzymi purpurowy księżyc, który właśnie wschodził, i wyobrażałem sobie wysoką zgrabną blondynkę z bladą twarzą, zawsze dobrze ubraną, pachnącą jakimiś niezwykłymi perfumami przypominającymi piżmo i było mi, nie wiem czemu, przyjemnie na myśl, że nie Kocha swego męża.

Przyjechawszy do domu, usiedliśmy do kolacji. Maria Sergiejewna śmiejąc się częstowała nas jedzeniem, które kupiliśmy, i doszedłem do wniosku, że rzeczywiście ma piękne włosy i

uśmiech jak żadna inna kobieta. Obserwowałem ją i chciałem widzieć w każdym jej ruchu i spojrzeniu, że nie kocha swego męża, i wydawało mi się, że to widziałem.

Dmitrij Pietrowicz zaczął wkrótce walczyć ze snem. Po kolacji posiedział z nami z dziesięć minut i powiedział:

– Nic nie poradzę, moi drodzy, ale muszę jutro wstać o trzeciej. Proszę mi wybaczyć.

Czule pocałował żonę, mocno, z wdzięcznością uściśnął mi rękę i prosił, żebym mu obiecać, że koniecznie przyjadę w przyszłym tygodniu. Żeby nie zasnąć, poszedł nocować do oficyny.

Maria Sergiejewna kładła się spać późno, według petersburskiego zwyczaju, i teraz byłem czemuś z tego zadowolony.

– Więc? – zacząłem, kiedy zostaliśmy sami. – A więc bardzo proszę coś zagrać.

Nie chciałem muzyki, ale nie wiedziałem, od czego zacząć rozmowę. Usiadła przy fortepianie i zagrała, nie pamiętam co. Siedziałem obok, patrzyłem na jej białe pulchne ręce i próbowałem wyczytać coś z jej chłodnej, obojętnej twarzy. Ale oto uśmiechnęła się i popatrzyła na mnie.

– Nudzi się pan bez swojego przyjaciela – powiedziała.

Zaśmiałem się.

– Dla przyjaźni wystarczyłoby jeździć tu raz w miesiącu, a ja bywam kilka razy w tygodniu.

Powiedziawszy to podniosłem się i zacząłem niespokojnie się przechadzać z kąta w kąt. Ona też wstała i podeszła do kominka.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytała, spoglądając na mnie swoimi dużymi, jasnymi oczami.

Nic nie odpowiedziałem.

– Mówi pan nieprawdę – powiedziała po namyśle. – Bywa tu pan wyłącznie dla Dmitrija Pietrowicza. No cóż, bardzo mnie to cieszy. W obecnych czasach taka przyjaźń – to rzadkość.

„Tu cię mam!” – pomyślałem i nie wiedząc, co powiedzieć, zapytałem:

– Chce pani przejść się po ogrodzie?

– Nie.

Wyszedłem na werandę. Czulem mrowienie w głowie i było mi zimno ze zdenerwowania. Byłem już przekonany, że wprawdzie rozmowa nasza będzie o niczym i niczego nadzwyczajnego sobie nie powiemy, na pewno stanie się tej nocy to, o czym nie śmiałem nawet marzyć. Właśnie tej nocy albo nigdy.

– Piękna pogoda! – powiedziałem głośno.

– Jest to dla mnie absolutnie obojętne – usłyszałem odpowiedź.

Wróciłem do bawialni. Nadal stała koło kominka z założonymi do tyłu rękami, rozmyślając o czymś i patrząc w bok.

– Czemuż to jest to dla pani absolutnie obojętne? – zapytałem.

– Ponieważ się nudzę. Pan się nudzi bez pańskiego przyjaciela, a mnie zawsze jest nudno. Zresztą... pana to mało obchodzi.

Usiadłem przy fortepianie i zagrałem kilka akordów czekając, co powie.

– Proszę się nie przejmować – rzekła, patrząc na mnie gniewnie jakby miała zamiar rozplakać się ze złości. – Jeżeli chce się panu spać, niech pan idzie... Niech pan nie sądzi, że jeżeli jest pan przyjacielem Dmitrija Pietrowicza, to powinien pan zanudzać się z jego żoną. Nie chcę ofiar. Proszę, niech pan idzie.

Oczywiście nie poszedłem. Wyszła na werandę, a ja zostałem w bawialni i z pięć minut przerzucałem nuty. Potem też wyszedłem. Staliśmy obok siebie w cieniu zasłon, a przed nami były schody zalane księżycowym blaskiem. Przez klomby z kwiatami i żółty piasek alei ciągnęły się czarne cienie drzew.

– Też muszę jutro jechać – powiedziałem.

– Oczywiście, jak pan może tu zostać, kiedy męża nie ma – rzuciła ironicznie. – Wyobrażam sobie, jakby pan cierpiał, jeżeliby zakochał się pan we mnie! Doczeka się pan, że kiedyś zwyczajnie rzucę się panu na szyję... Zobaczę, w jakim popłochu będzie pan przede mną uciekał. Zabawne.

Jej słowa i blada twarz były gniewne, ale oczy przepełnione namiętą miłością. Patrzyłem już na te śliczności jak na swoją własność i po raz pierwszy zobaczyłem wtedy, że ma złociste brwi, cudowne brwi, jakich nigdy przedtem nie widziałem. Myśl, że mogę ją zaraz objąć, pieścić, dotykać jej pięknych włosów, wydała mi się tak potworną, że roześmiałem się i zamknąłem oczy.

– Późno się robi... Dobranoc – rzekła.

– Nie chcę spać... – powiedziałem śmiejąc się i idąc za nią do bawialni. – Przeklnę tę noc, jeżeli będę musiał ją przespać.

Ściskając jej rękę i odprowadzając do drzwi, czytałem z jej twarzy, że rozumie mnie i cieszy się, że też ją rozumiem.

Poszedłem do swojego pokoju. Na stole obok książek leżała czapka Dmitrija Pietrowicza, która przypominała mi o naszej przyjaźni. Wziąłem laskę i wyszedłem do ogrodu. Unosiła się tu już mgła i koło drzew i krzaków, obejmując je, błękały się takie same wydłużone i wąskie zjawy, jak te, które widziałem przedtem nad rzeką. Jaka szkoda, że nie mogłem z nimi porozmawiać!

W niezwykle przezroczystym powietrzu wyraźnie było widać każdy listek, każdą kropelkę – wszystko to uśmiechało się do mnie w ciszy przez sen i przechodząc obok zielonych ławek, przypominałem sobie słowa z jakiejś sztuki Szekspira: Jak słodko śpi na ławie blask księżycy!

W ogrodzie była górka. Wszedłem na nią i usiadłem. Ogarnęło mnie cudowne uczucie. Wiedziałem z całą pewnością, że będę zaraz ją obejmował, tulił jej piękne ciało, całował złociste brwi, nie chciałem w to wierzyć, drażniłem siebie i było mi szkoda, że tak mało mnie dręczyła i tak szybko uległa.

Usłyszałem nagle ciężkie kroki. Na alei pojawił się mężczyzna średniego wzrostu i od razu poznałem w nim Czterdziestu Męczenników. Usiadł na ławce i głęboko westchnął, potem trzy razy przeżegnał się i położył. Za chwilę wstał i położył się na drugim boku. Komary i nocny chłód nie dawały mu zasnąć.

– Co za życie! – powiedział. – Marne, paskudne życie!

Patrząc na jego wychudłe, skręcone ciało i słuchając ciężkich, zachrypniętych westchnień, przypominałem sobie jeszcze o jednym marnym, paskudnym życiu, które dziś wypowiedało się przede mną, i zrobiło mi się nieprzyjemnie i strasznie przykro, że tak wspaniale się czuję. Zszedłem z górki i skierowałem się w stronę domu.

„Życie według niego jest straszne – myślałem – więc nie cackaj się z nim, korzystaj z okazji i bierz wszystko, co możesz od niego wyrwać, póki cię nie zniszczyło”.

Na werandzie stała Maria Sergiejewna. Objąłem ją bez słowa i zacząłem namiętnie całować jej brwi, skronie, szyję...

Przyznała mi się w moim pokoju, że od dawna mnie kocha, ponad rok. Wyznawała mi miłość, płakała, błagała, żebym ją zabrał ze sobą. Co chwilę ciągnąłem ją do okna, żeby przy świetle księżycy przyjrzeć się jej twarzy, wydawała mi się pięknym snem, więc śpieszyłem ją mocno objąć, żeby uwierzyć w rzeczywistość. Od dawna już nie przeżywałem takiego uniesienia... Ale głęboko w sercu czułem zakłopotanie i niepokój. W jej miłości do mnie było coś krepującego i uciążliwego, jak w przyjaźni Dmitrija Pietrowicza. Była to wielka, poważna miłość ze łzami i zapewnieniami o miłości, a ja nie chciałem niczego poważnego – ani łez, ani zapewnień, ani rozmów o przyszłości. Chciałem, żeby ta noc przemknęła przez nasze życie jak świetlisty meteor – i na tym koniec.

Wyszła ode mnie dokładnie o trzeciej, a kiedy stojąc w drzwiach patrzyłem w ślad za nią, na końcu korytarza pojawił się nagle Dmitrij Pietrowicz. Zobaczywszy go wzdrygnęła się i ustąpiła mu z drogi i cała jej postać wyrażała wstręt. On jakoś dziwacznie się uśmiechnął, zakaszłał i wszedł do mojego pokoju.

– Zapomniałem tu wczoraj czapki... – powiedział nie patrząc na mnie.

Znalazł ją i obiema rękami założył sobie na głowę, potem spojrzał na moją zmieszaną twarz, na moje pantofle i powiedział nie swoim, a jakimś dziwnym, zachrypniętym głosem:

– Widocznie taki już mój los, że nic nie rozumiem. Jeżeli pan coś z tego rozumie... gratuluję. Mam mgłę przed oczami.

I wszedł pokaszłując. Widziałem później przez okno, jak własnoręcznie zaprzęgał koło stajni konie. Jego ręce drżały, śpieszył się i oglądał na dom; widocznie się bał. Potem wszedł do powozu i z dziwną miną, jakby obawiając się pościgu, pognął konie.

Trochę później i ja wyjechałem. Wschodziło już słońce i wczorajsza mgła nieśmiało tuliła się do krzaków i pagórków. Na koźle siedział Czterdziestu Męczenników, który zdążył już się upić i plótł jakieś bzdury.

– Jestem wolnym człowiekiem! – krzyczał do koni. – Hej, złociutkie! Jestem urodzonym szlachcicem, jeżeli chcecie wiedzieć!

Cały czas myślałem o strachu Dmitrija Pietrowicza, aż w końcu sam zacząłem się bać. Rozmyślałem o tym, co się stało i nic nie rozumiałem. Patrzyłem na gawrony i byłem zdziwiony i przerażony, że latają.

– Po co to zrobiłem? – pytałem siebie z zakłopotaniem i rozpaczą. – Dlaczego wszystko stało się tak, a nie inaczej? Komu i po co było potrzebne, żeby ona zakochała się we mnie, a on zjawiał po czapkę? Co wspólnego ma z tym czapka?

Jeszcze tego samego dnia wyjechałem do Petersburga i nigdy już nie spotkałem ani Dmitrija Pietrowicza, ani jego żony. Powiadają, że nadal żyją razem.

## WOŁODIA DUŻY I WOŁODIA MAŁY

– Puście mnie, sama chcę powozić! Siądę obok woźnicy! – mówiła głośno Zofia Lwowna.  
– Woźnica, czekaj, siadam obok ciebie na koźle.

Stała w saniach, a jej mąż Władimir Nikitycz i przyjaciel z dzieciństwa Władimir Michajłycz trzymali ją za ręce, żeby nie upadła. Trójka leciała szybko.

– Mówiłem, żeby nie dawać jej koniaku – szepnął z irytacją Władimir Nikitycz do swojego towarzysza. – Ależ ty jesteś!

Pułkownik wiedział z doświadczenia, że u takich kobiet jak jego żona po gwałtownej, trochę pijanej wesołości przychodzi zwykle histeryczny śmiech, a później płacz. Obawiał się, że zaraz po powrocie do domu, zamiast iść spać, trzeba będzie męczyć się z okładami i kroplami.

– Prrr! – krzyczała Zofia Lwowna. – Chcę powozić!

Czuła prawdziwą radość i tryumf. Przez ostatnie dwa miesiące, od samego ślubu, dręczyła ją myśl, że wyszła za pułkownika Jagicza z wyrachowania i, jak to się mówi, *par depot*\*; ale dziś, w podmiejskiej restauracji, przekonała się wreszcie, że kocha go namiętnie. Mimo pięćdziesięciu czterech lat, był taki zgrabny, zwinny, gibki, tak mile żartował i wtórował Cygankom. Trzeba przyznać, że staruszkowie są teraz o wiele ciekawsii od młodych i wygląda na to, że starość i młodość zamieniły się rolami. Pułkownik był o dwa lata starszy od jej ojca, ale czy ma to jakieś znaczenie, jeśli, mówiąc szczerze, miał w sobie więcej siły witalnej, energii i świeżości niż ona, która miała dopiero dwadzieścia trzy lata?

„O, mój miły! – myślała. – Cudowny!”

W restauracji przekonała się również, że jej dawniejsze uczucie zniknęło bez śladu. Do przyjaciela dzieciństwa Władimira Michajłycza, czyli po prostu Wołodii, którego jeszcze wczoraj kochała do szaleństwa, czuła teraz absolutną obojętność. Wydawał jej się dziś wieczorem ospały, senny, nieciekawy i szary, a jego spokój, z jakim jak zwykle unikał płacenia rachunku w restauracji, tym razem ją oburzył i ledwo powstrzymała się, żeby mu nie powiedzieć: „Jeżeli pana nie stać, niech pan siedzi w domu”. Płacił wyłącznie pułkownik.

Chyba przez to, że przed jej oczami przemykały drzewa, słupy telegraficzne i śnieżne zasy, przychodziły jej do głowy najrozmaitsze myśli. Zastanawiała się: rachunek w restauracji wynosił sto dwadzieścia rubli i Cyganom – sto. Jutro, jak będzie chciała, może wyrzucić w błoto nawet tysiąc rubli, a jeszcze dwa miesiące temu nie miała nawet własnych trzech rubli i o byle co musiała zwracać się do ojca. Jaka zmiana w życiu!

Jej myśli płątały się; przypomniała sobie, jak pułkownik Jagicz, jej obecny mąż, zalecał się do jej ciotki, kiedy Zofia miała dziesięć lat, i wszyscy w domu mówili, że doprowadził ją do zguby – ciotka rzeczywiście często siadała do obiadu z zapłakanymi oczami i ciągle gdzieś wyjeżdżała, mówiono, że biedactwo nie może znaleźć sobie miejsca. Był wtedy bardzo przystojny i miał niezwykle powodzenie u kobiet, znało go całe miasto i gadano o nim, że codziennie jeździ z wizytami do swoich adoratorek jak doktor do pacjentów. I nawet teraz, mimo siwizny, zmarszczek i okularów, jego smukła twarz, zwłaszcza z profilu, wydaje się być piękna.

Ojciec Zofii Lwowny był lekarzem wojskowym i służył kiedyś w jednym pułku z Jagiczem. Ojciec Wołodii też był lekarzem wojskowym i też służył kiedyś w jednym pułku z jej ojcem i z Jagiczem. Mimo miłosnych przygód, często bardzo zawiłych i burzliwych, Wołodia uczył się wspaniale; bardzo dobrze ukończył uniwersytet i zajmował się teraz literaturą obcą i, jak powiadają, pisze pracę doktorską. Mieszka u swojego ojca w koszarach i nie ma własnych pieniędzy, chociaż skończył już trzydzieści lat. W dzieciństwie Zofia

---

\* na złość (*fr.*).



Lwowna i on mieszkali w jednym domu i on często przychodził do niej się bawić, uczyli się razem tańczyć i mówić po francusku; ale kiedy wyrósł na smukłego, bardzo przystojnego młodzieńca, zaczęła się go wstydzić, później zakochała się bez pamięci i kochała do ostatniej chwili, póki nie wyszła za Jagicza. Też miał niezwykle powodzenie u kobiet, prawie od tego czasu, kiedy ukończył czternaście lat, a damy, które zdradzały z nim swych mężów, tłumaczyły się tym, że jest jeszcze przecież mały. Ktoś opowiadał niedawno o nim, że niby kiedy był studentem, wynajmował mieszkanie blisko uniwersytetu i za każdym razem, jak ktoś do niego pukał, słychać było za drzwiami kroki i półgłosem szeptane usprawiedliwienia: „*Pardon, je ne suis pas seul!*”<sup>\*</sup>. Jagicz był nim zachwycony i pobłogosławił go, jak kiedyś Dzierżawin Puszkina, i chyba go lubił. Oboje całymi godzinami grali mileząc w bilard czy w pikietę, a kiedy Jagicz jechał gdzieś trójką, brał ze sobą i Wołodię i tajemnice swojej pracy doktorskiej Wołodia powierzał tylko jednemu Jagiczowi. Kiedy pułkownik był młodszy, często rywalizowali ze sobą, ale nigdy nie byli o siebie zazdrośni. W towarzystwie, gdzie bywali razem, Jagicza nazywali Wołodią Dużym, a jego przyjaciela – Wołodią Małym.

W saniach, oprócz Wołodii Dużego, Wołodii Małego i Zofii Lwowny, była jeszcze jedna osoba – Margarita Aleksandrowna lub, jak wszyscy ją nazywali, Rita, kuzynka Jagicza, paniąka już po trzydziestce, bardzo blada, z czarnymi brwiami, w *pince-nez*<sup>\*</sup>, paląca papierosy jednego za drugim, nawet na silnym mrozie; jej pierś i kolana zawsze były obsypane popiołem. Mówiła przez nos, przeciągając każde słowo, zawsze bardzo opanowana, likier i koniak mogła pić w ogromnych ilościach i nigdy nie była pijana, a dwuznaczne dowcipy opowiadała beznamytnie, bez żadnego smaczku. W domu od rana do wieczora czytała grube czasopisma, obsypując je popiołem, albo wcinała mrożone jabłka.

– Soniu, przestań szaleć – powiedziała przeciągle. – Doprawdy, głupio nawet.

Na widok rogatek trójka spowolniła, można było już rozróżnić domy i ludzi i Zofia Lwowna ucichła, przytuliła się do męża i wpadła w głęboką zadumę. Wołodia Mały siedział naprzeciwko. Teraz obok myśli wesołych, lekkich miała również mroczne. Myślała: ten oto człowiek, co siedzi naprzeciwko, wiedział, że ona go kochała, i oczywiście wierzył plotkom, że wyszła za pułkownika *par depot*. Nigdy jeszcze nie wyznała mu miłości i nie chciała, żeby wiedział, ukrywała swoje uczucie, ale z jego twarzy można było wyczytać, że wspaniale ją rozumiał – i jej duma cierpiała. Ale najbardziej poniżającym dla niej było to, że po ślubie nagle zaczął zwracać na nią uwagę, czego przedtem nigdy nie robił, przesiadywał z nią całymi godzinami nic nie mówiąc albo plotąc bzdury i teraz w saniach, nie zwracając się do niej, nadeptywał jej na nogę i ścisnął rękę; pewnie tylko czekał na to, kiedy wyjdzie za mąż; pewnie gardził nią i interesował się wyłącznie dlatego, że uważał za złą, nieuczciwą kobietę. A kiedy tryumf i miłość do męża plątały się w jej sercu z uczuciem poniżenia i znieważonej dumy, ogarniała ją zapalczywość i miała wtedy ochotę sięść na koźle i krzyczeć, gwizdać...

Kiedy przejeżdżali obok żeńskiego klasztoru, rozległo się uderzenie wielkiego, tysiącpułkowego dzwonu. Rita przeżegnała się.

– W tym klasztorze nasza Ola – powiedziała Zofia Lwowna i również się przeżegnała wzdrygając się.

– Po co ona do klasztoru wstąpiła? – zapytał pułkownik.

– *Par depot* – ze złością odpowiedziała Rita, widocznie robiąc aluzję do małżeństwa Zofii Lwowny z Jagiczem. – Teraz ów *par depot* w modzie jest. Wyzwanie całemu światu. Śmieszka była, skończoną kokietką, uwielbiała bale i kawalerów, aż nagle – proszę! Zaskoczyła!

---

\* Przepraszam, nie jestem sam (*fr.*).

\* binokle (*fr.*).

– To nieprawda – powiedział Wołodia Mały, opuszczając kołnierz futra i odsłaniając swą piękną twarz. – Tu nie *par depot*, a zupełny koszmar. Jej brata Dmitrija wysłano na katorgę i teraz nie wiadomo, gdzie on jest. Matka nie zniosła tego i zmarła.

Znów podniósł kołnierz.

– I dobrze zrobiła – dodał głucho. – Mieszkać jako wychowanka, w dodatku z takim skarbem jak Zofia Lwowna. – cóż w tym dobrego!

Zofia Lwowna dosłyszała w jego głosie pogardliwy ton i chciała mu odpowiedzieć coś aroganckiego, ale powstrzymała się. Znów owładnęło nią takie samo zuchwalstwo jak przedtem; podniosła się i krzyknęła płaczącym głosem:

– Chcę na jutrznię! Woźnica, zawracaj! Chcę się z Olą widzieć!

Zawrócili. Dźwięk klasztornego dzwonu był głęboki i coś w nim przypominało Zofii o Oli i jej życiu. Zadzwonili i w innych cerkwiach. Nie zdążył woźnica osadzić trójki, jak Zofia Lwowna wyskoczyła z sań i szybko poszła sama w stronę bramy.

– Proszę cię, szybciej! – krzyknął mąż. – Późno już!

Przeszła przez ciemną bramę i znalazła się na alei, która prowadziła od bramy do głównej cerkwi, śnieżek chręścił pod jej nogami, a dźwięk dzwonu unosił się już nad samą głową i przesywał ją na wskroś. Oto cerkiewne drzwi, trzy schodki w dół, kruchta z obrazami świętych po obu stronach, zapachniało jałowcem i kadzidłem, znów drzwi, które otwiera jakaś ciemna figurka i klania się nisko–nisko... Nabożeństwo jeszcze się nie zaczęło. Jedna mniszka chodziła koło ikonostasu i zapalała świece na podstawkach, inna zapalała wielki świecznik. Tu i tam, koło kolumn i bocznych ołtarzy, stały nieruchomo czarne postacie. „Zostaną tak chyba do samego rana” – pomyślała Zofia Lwowna i wydało jej się tu ciemno, chłodno, tęsknie – gorzej niż na cmentarzu. Z tęsknotą patrzyła na nieruchome, zastygłe postaci, aż nagle ścisnęło jej się serce. Poznała w jednej z mniszek niedużego wzrostu ze szczupłymi ramionami i z czarną chustą na głowie Olę, chociaż była pulchna i wyglądała na wyższą, kiedy wstępowała do klasztoru. Nieśmiało, nie wiedząc czemu strasznie się denerwując, podeszła do mniszki, spojrzała jej w twarz i poznała Olę.

– Olu! – rzekła machnąwszy rękami i nic więcej nie zdołała powiedzieć ze wzruszenia. – Olu!

Mniszka od razu ją poznała, podniosła ze zdziwieniem brwi, a jej blada, dopiero co umyta, czysta twarz i nawet, jak się wydawało, jej biała chustka wyglądająca spod dużej chusty, rozjaśniły się radośnie.

– Ależ Pan niespodziankę sprawił – powiedziała i też machnęła swoimi wychudłymi, bladymi rączkami.

Zofia Lwowna mocno ją objęła i ucałowała uważając, żeby Ola nie poczuła od niej zapachu wina.

– Przejeżdżaliśmy właśnie obok i przypomniał mi się, że tu jesteś – mówiła zdyszana jak po szybkim marszu. – Jakaś blada jesteś, Jezu! Bardzo... się cieszę, że cię widzę. No i jak? Co u ciebie? Tęsknisz?

Zofia Lwowna obejrzała się na inne mniszki i dalej mówiła już cichym głosem:

– Tyle zmian u nas... Wysłam za mąż za Jagicza, Władimira Nikitycza. Pamiętasz go chyba... Jestem z nim bardzo szczęśliwa.

– No i chwała Bogu. A tatuś twój jak się czuje?

– Dobrze. Często ciebie wspomina. A ty, Olu, przyjdź do nas na święta. Słyszysz?

– Przyjdę – powiedziała Ola z uśmiechem. – Drugiego dnia przyjdę.

Zofia Lwowna rozplakała się sama nie wiedząc czemu i płakała tak milcząco przez chwilę, potem wytarła oczy i powiedziała:

– Rita będzie bardzo żałowała, że cię nie zobaczyła. Też jest z nami. I Wołodia. Koło bramy są. Ależ by się ucieszyli, jakby zobaczyli się z tobą! Chodźmy do nich, przecież nabożeństwo jeszcze się nie zaczęło.

– Chodźmy – zgodziła się Ola.

Przeżegnała się trzy razy i poszła z Zofią Lwową do wyjścia.

– Więc, powiadasz, Sonieczko, żeś szczęśliwa?

– Bardzo.

– No i chwała Bogu.

Wołodia Duży i Wołodia Mały na widok mniszki wysiedli z sań i z szacunkiem się przywitani; obaj byli wyraźnie poruszeni jej bladą twarzą i czarną suknią zakonnicy i ucieszyli się, że pamiętała o nich i przyszła się przywitać. Zofia Lwowna otuliła ją kocem i przykryła połą swojego futra, żeby nie zmarzła. Po niedawnych łzach poczuła się lepiej, cieszyła się, że ta burzliwa, niespokojna i w zasadzie brudna noc niespodziewanie kończyła się takim czystym i łagodnym akcentem. I żeby jak najdłużej zatrzymać przy sobie Olę, zaproponowała:

– Chodźcie weźmiemy ją na przejażdżkę! Olu, wsiadaj, tylko na trochę.

Mężczyźni sądzili, że mniszka odmówi – święte nie jeżdżą trójkami – ale ku ich zdumieniu zgodziła się i wsiadła do sań. Kiedy trójka mknęła do rogatek, wszyscy milczeli i tylko starali się, żeby jej było wygodnie i ciepło, i każdy myślał o tym, jaka była przedtem i jaka jest teraz. Twarz miała teraz obojętną, bez wyrazu, zimną i bladą, przezroczystą jakby w jej żyłach płynęła woda, a nie krew. A jeszcze dwa–trzy lata temu była pulchna, rumiana, mówiła o narzeczonych, śmiała się z byle czego...

Koło rogatek trójka zawróciła; dziesięć minut później zatrzymała się obok klasztoru i Ola wyszła z sań. Rozbrzmiewały dzwony.

– Niech Bóg ma was w swojej opiece – powiedziała Ola i nisko, po mniszemu się ukloniła.

–Więc ty przyjdź, Olu.

–Przyjdę, przyjdę.

Szybko poszła i wkrótce zniknęła w ciemnej bramie. Kiedy trójka ruszyła, wszystkim zrobiło się nagle smutno. Siedzieli milcząc. Zofia Lwowna poczuła w całym ciele słabość i upadła na duchu; to, że zmusiła mniszkę by wsiadła do sań i przejechała się trójką w pijanym towarzystwie wydawało jej się teraz głupie, nietaktowne i podobne do bluźnierstwa; alkohol wyparował jej z głowy, a razem z nim i chęć oszukiwania siebie; wiedziała już na pewno, że męża swojego nie kocha i kochać nie może, że wszystko to bzdury i głupota. Wyszła za niego z wyrachowania, bo był, jak mówiły jej koleżanki z kursów, okropnie bogaty, bo bała się zostać starą panną jak Rita, bo miała dosyć ojca i chciała zrobić na złość Wołodii Małemu. Jakby wiedziała przed ślubem, że będzie jej tak ciężko, strasznie i okropnie, za nic w świecie nie poszłaby do ołtarza. Ale jest już za późno. Trzeba z tym się pogodzić.

Przyjechali do domu. Kładąc się do miękkiego łóżka i przykrywając się kołdrą, przypomniała sobie ciemną kruchtę, zapach kadzidła i postacie koło kolumn i zrobiło jej się strasznie na myśl, że postacie te będą stały nieruchomo przez cały czas, póki ona będzie spała. Jutrznia jest długa – przydługa, później msza, nabożeństwo...

„Ale przecież Bóg istnieje, na pewno istnieje i ja na pewno będę musiała umrzeć, więc wcześniej czy później trzeba zadbać jak Ola o duszę i wieczne życie. Ola teraz jest zbawiona, wszystko dla niej jest jasne... Ale jeśli Boga nie ma? Wtedy jej życie jest zmarnowane. Co to znaczy zmarnowane? Dlaczego?”

A za chwilę zaczynała od początku: „Bóg istnieje, śmierć jest nieuchronna, trzeba zadbać o duszę. Jeżeli Ola w tej chwili napotka swoją śmierć, nie przestraszy się jej. Jest przygotowana. A najważniejsze, że rozwiązała już dla siebie kwestię życia. Bóg istnieje... tak... Ale czy nie ma innego wyjścia, jak tylko iść do klasztoru? Przecież iść do klasztoru – znaczy zrezygnować z życia, zmarnować je...”

Ogarniał ją powoli strach; schowała głowę pod poduszkę.

–Nie trzeba o tym myśleć –szeptała. –Nie trzeba...

Jagicz przechadzał się w pokoju obok i delikatnie dzwonił ostrogami rozmyślając nad czymś. Przyszła jej do głowy myśl, że człowiek ten jest jej bliski i drogi tylko z jednego powodu: też ma na imię Wołodia. Usiadła na łóżku i zawołała czule:

–Wołodia!

–Czego chcesz? –odezwał się mąż.

–Nic.

Znów się położyła. Rozległy się dzwony, może znowu dzwonił w klasztorze, znów przypomniała sobie kruchę i ciemne postacie, znów zaczęły chodzić jej po głowie myśli o Bogu i nieuchronności śmierci, przykryła się z głową, żeby nie słyszeć dzwonów; pomyślała, że zanim nadejdzie starość i śmierć, będzie się ciągnęło długie –przydługie życie i codziennie trzeba będzie się liczyć z obecnością niekochanego człowieka, który właśnie przyszedł do sypialni i kładzie się spać, trzeba będzie tłumić w sobie beznadziejną miłość do innego – młodego, czarującego i niezwykłego. Popatrzyła na męża i chciała mu powiedzieć dobranoc, ale zamiast tego nagle się rozplakała. Była zła na siebie.

– No, zaczyna się muzyka! –powiedział Jagicz wydzielając zy.

Uspokoiła się dopiero koło dziesiątej rano; przestała płakać i dygotać na całym ciele, poczuła natomiast silny ból głowy. Jagicz śpieszył się na późne nabożeństwo i poganiał w sąsiednim pokoju ordynansa, który pomagał mu się ubierać. Wszedł do sypialni raz, delikatnie dzwoniąc ostrogami i coś wziął, potem drugi – już z naramiennikami i orderami, z lekka kuśtykając od reumatyzmu, i Zofii Lwownie wydawało się, że chodzi i patrzy jak drapieżnik.

Słyszała, jak rozmawiał przez telefon.

–Proszę mnie połączyć z koszarami na Wasylewskim! –powiedział; i za chwilę: –Koszary Wasylewskie? Poproszę do telefonu doktora Salimowicza... – I znów za chwilę: –Kto mówi? To ty, Wołodia? Bardzo mi miło. Poproś, kochaniutki, ojca, żeby wstąpił do nas, bo moja połowica mocno się rozkleiła po wczorajszym. Nie ma go, powiadasz? Hm... Dziękuję. Pięknie... bardzo będę cię wdzięczny... *Merci*.

Jagicz po raz trzeci wszedł do sypialni, pochylił się nad żoną, przeżegnał ją, pozwolił ucałować swoją rękę (kobiety, które go kochały, całowały go w rękę, był przyzwyczajony do tego) i powiedział wychodząc, że wróci na obiad.

Po jedenastej pokojówka zapowiedziała Władimira Michajłowicza. Zofia Lwowna, chwiejąc się od zmęczenia i bólu głowy, szybko włożyła swój przepiękny, nowy szlafrok w kolorze bzu wykończony futrem, szybko, byle jak się uczesała; czuła niezwykłą tkliwość i drżała z radości i obawy, że może Wołodia odejść. Chciała go tylko zobaczyć.

Wołodia Mały zjawił się z wizytą jak należy, we fraku i białym krawacie. Kiedy Zofia Lwowna weszła do salonu, pocałował ją w rękę i wyraził szczerą ubolewanie z powodu jej niedyspozycji. Kiedy usiedli, pochwalił jej szlafrok.

–Przygnębiło mnie wczorajsze spotkanie z Olą –powiedziała. –Najpierw było mi strasznie, ale teraz zazdroszczę jej. Jest jak góra z kamienia, z miejsca jej nie ruszysz; ale czy nie miała innego wyjścia? Czy można rozwiązać problem życia grzebiąc siebie za życia? Przecież to jest śmierć, nie życie.

Na wspomnienie Oli na twarzy Wołodii Małego ukazało się rozczulenie.

– Jest pan, Wołodia, mądrym człowiekiem – powiedziała Zofia Lwowna – proszę mnie podpowiedzieć, co mam robić. Oczywiście, jako niewierząca nie poszłabym do klasztoru, ale przecież można uczynić coś równie ważnego. Niełatwo mi się żyje – ciągnęła po chwili milczenia. – Niech pan mnie nauczyc... Niech pan mi powie coś przekonującego. Chociażby jedno słowo.

– Jedno? Proszę bardzo: tararabumbia.

– Wołodia, za co pan mną pogardza? – zapytała ożywiając się. – Mówi pan ze mną jakimś szczególnym, proszę mi wybaczyć, fircykowatym językiem, jakim nie rozmawia się z przyjaciółmi i z porządnymi kobietami. Ma pan powodzenie jako naukowiec, kocha pan naukę, ale czemu pan nigdy nie porozmawia ze mną o tym? Czemu? Nie zasługuję?

Wołodia Mały skrzywił się poirytowany i powiedział:

– Czemu to pani nagle nauki się zachciało? A może konstytucji pani chce? Albo jesiotra z chrzanem?

– No, dobrze, jestem nędzną, podłą, głupią kobietą bez zasad... Narobiłam mnóstwo błędów, jestem psychopatką, zepsutą i trzeba mną za to pogardzać. Ale przecież pan, Wołodia, jest starszy ode mnie o dziesięć lat, a mąż o trzydzieści. Wyrosłam na waszych oczach i jakbyście zechcieli, mogliście zrobić ze mnie wszystko, co chcecie, nawet anioła. Ale wy... (jej głos zadrżał) postępujecie ze mną okrutnie. Jagicz ożenił się ze mną, kiedy się zestarzał, a pan...

– No, dobrze już, dobrze – powiedział Wołodia, siadając bliżej i całując jej obie ręce. – Zostawimy *Schopenhauerom* filozofowanie i udowadnianie wszystkiego, co tylko zechcą, a sami będziemy całować te oto rączki.

– Gardzi pan mną, żeby pan wiedział, jak mnie to dręczy! – powiedziała nieśmiało wiedząc, że jej nie uwierzy. – Żeby pan wiedział, jak chciałabym się zmienić, zacząć nowe życie! Myślę o tym z zachwytem – powiedziała i rzeczywiście wzruszyła się do łez. – Być dobrym, uczciwym, czystym człowiekiem, nie okłamywać, mieć cel w życiu.

– No, no, dosyć już tego zgrywania się! Nie cierpię! – powiedział Wołodia i na jego twarzy pojawił się kapryśny wyraz. – Jak Boga kocham, nie jesteśmy w teatrze. Zachowujmy się normalnie!

Żeby go nie pogniewać i zatrzymać przy sobie, zaczęła tłumaczyć się przed nim i przymilać z wymuszonym uśmiechem, znów mówiła o Oli i o tym, że chce coś zrobić ze swym życiem.

– Tara...ra...bumbia... – zaśpiewał półgłosem.

– Tara...ra...bumbia!

I nagle objął ją za kibić. A ona nie wiedząc co czyni, położyła mu ręce na ramiona i patrzyła przez chwilę z zachwytem, jak w jakimś zaślepieniu, na jego inteligentną, ironiczną twarz, czoło, oczy, piękną brodę...

– Dobrze wiesz, że kocham cię od dawna – wyznała i strasznie się zaczerwieniła i poczuła, jak nawet jej wargi kurczowo skrzywiły się ze wstydu. – Kocham cię. Po co mnie męczysz?

Zamknęła oczy i mocno pocałowała go w usta i długo, chyba z minutę, nie mogła skończyć tego pocałunku, chociaż wiedziała, że to nieprzyzwoite, że może ją osądzić, może wejść służba...

– O, jak mnie męczysz! – powtórzyła.

Kiedy pół godziny później siedział w jadalni dopiąwszy swego i jadł, klęczała przed nim na kolanach i zachłannie patrzyła mu w twarz, a on mówił jej, że jest podobna do pieska, który czeka, jak mu rzucą kawałek szynki. Potem posadził ją sobie na kolanie i huśtając jak dziecko zaśpiewał:

– Tara... rabumbia... Tara... rabumbia!

A kiedy zbierał się do wyjścia, zapytała go namiętnym głosem:

– Kiedy? Dziś? Gdzie?

I wyciągnęła obie ręce do jego ust jakby chciała chwycić odpowiedź rękami.

– Dzisiaj chyba nie wypada – powiedział po namyśle. – Może jutro.

I rozstali się. Przed obiadem Zofia Lwowna pojechała do Oli do klasztoru, ale powiedziano jej, że Ola gdzieś czyta Psałterz nad zmarłym. Z klasztoru pojechała do ojca i też nie zastała go w domu, potem zmieniła woźnicę i jeździła po ulicach i zaułkach bez żadnego celu do

samego wieczoru. I nie wiadomo dlaczego przypomniła jej się ciotka z zapłakanymi oczami, która nie mogła sobie znaleźć miejsca.

A w nocy znów jeździli trójką i słuchali Cyganów w podmiejskiej restauracji. I kiedy znów przejeżdżali obok klasztoru, Zofia Lwowna pomyślała o Oli i zrobiło jej się źle na myśl, że dla dziewczyn i kobiet z jej kręgu nie ma innego wyjścia, jak tylko jeździć trójkami i kłamać albo iść do klasztoru umartwiać ciało... Następnego dnia miała randkę, a potem znów jeździła po mieście sama z woźnicą i wspominała ciotkę.

Po tygodniu Wołodia Mały ją rzucił. Życie potoczyło się po staremu, tak samo nieciekawe, smutne, a czasami nawet męczące. Pułkownik i Wołodia Mały godzinami grywali w bilard i w pikietę, Rita bez smaczku i ospale opowiadała dowcipy, Zofia Lwowna jeździła z woźnicą i prosiła męża, żeby zabrał ją na przejażdżkę trójką.

Wpadając prawie codziennie do klasztoru, zanudzała Olę, skarżyła się na swoje okropne cierpienia, płakała i czuła, jak razem z nią wchodziło do celi coś brudnego, nędznego, zużytego, a Ola machinalnie, tonem wyuczonej lekcji mówiła jej, że wszystko to nic, wszystko minie i Bóg wybaczy.